

John Updike

Brazylia

Tytuł oryginału: Brasil

Wiesz przecież że to rzecz zwyczajna. Życie

Kończy się śmiercią. Nasz pobyt na ziemi

Wiedzie nas ku wieczności.

(William Shakespeare *Hamlet*, akt I, scena II, przekład Stanisława Barańczaka)

Witaj brazylijski bracie — czekają na ciebie bezkresne przestrzenie;

Kochająca dłoń — uśmiech z północy — słoneczne pozdrowienie!

Walt Whitman *A Christmas Greeting*

I. Plaża

Czerń jest odcieniem brązu. Gdy się dobrze przyjrzeć, biel również. Na plaży Copacabana, najbardziej demokratycznej, zatłoczonej i niebezpiecznej z plaż Rio de Janeiro, wszystkie kolory zlewają się w jeden — kolor radosnych, otumanionych słońcem ciał, pokrywających piasek drugą żywą warstwą.

Dawno temu, pewnego dnia wkrótce po świętach Bożego Narodzenia, w czasach gdy w dalekiej Brazylii byli u władzy wojskowi, słońce prażyło, rojna plaża wręcz oślepiła. Takie wrażenie odniósł Tristao, który wracał z kąpieli w przybrzeżnych falach za ławicą piasku, mrużąc oczy podrażnione słoną morską wodą. Grudniowe słońce było tak silne, że pył wodny tworzył nad mieniącą się w promieniach głową chłopca okrągłe tęczowe obłoczki, które wyglądały jak duszki. Mimo to, kierując się w stronę rzuconej na piasek spłowiałej koszulki, która spełniała również rolę ręcznika, Tristao wypatrzył jasnoskóra dziewczynę w pastelowym dwuczęściowym kostiumie kąpielowym, stojącą w miejscu, gdzie było mniej plażowiczów. Dalej rozciągały się boiska do gry w siatkówkę oraz Avenida Atlantica ze swoim mozaikowym pasiastym chodnikiem.

Była z drugą dziewczyną, niższą i ciemniejszą, która nacierała jej plecy emulsją do opalania. Jasnoskóra wiała się pod chłodnym dotykiem, wyginając kręgosłup, wypinając do przodu piersi, kręcąc lśniącymi, natłuszczonymi już biodrami. Ale to nie błądź jej skóry najbardziej przyciągała płonący wzrok Tristao. Tę słynną plażę często odwiedzały bardzo białe cudzoziemki, Kanadyjki i Dunki, Brazylijki niemieckiego i polskiego pochodzenia z Sao Paulo i z południa. Jego uwagę zwróciła nie jasna karnacja dziewczyny, lecz wyzywający efekt kompletnej nagości w miejscu publicznym, spowodowany tym, że skąpy kostium miał niemal identyczny kolor co jej skóra.

No, może nie kompletnej — na głowie miała czarny słomkowy kapelusz z płaskim denkiem, podwiniętym rondem i lśniącą czarną wstążką. Tristao pomyślał, że taki kapelusz włożyłaby dziewczyna z arystokratycznej rodziny z Leblonu na pogrzeb swego ojca.

— Anioł czy dziwka? — spytał swego przyrodniego brata Euclidesa.

Euclides, który miał krótki wzrok, w sytuacjach gdy nie widział dobrze, pokrywał swoje zmieszanie filozoficznymi uwagami.

— A czemu nie może być i jednym, i drugim? — spytał.

— Myślę, że ta laleczka została stworzona dla mnie — rzekł impulsywnie Tristao, z przekonaniem wypływającym z tych wewnętrznych głębi, gdzie jego przeznaczenie kształtowało się nagłymi, niezdarnymi skokami, które porywały naraz całe jego życie. Wierzył w duchy i w przeznaczenie. Miał dziewiętnaście lat i nie był *abandonado*, ponieważ miał matkę. Niestety, matka była dziwką, a nawet gorzej, sypiała bowiem po pijanemu z facetami bez grosza i rodziła bachora za bachorem — ludzkie bagno i ofiara przygodnej żądzy. On i Euclides urodzili się rok po roku. Obaj nie znali swoich ojców, mogli jedynie wnioskować z odziedziczonych po nich cech genetycznych, że byli różni. Spędzili w szkole dość czasu, by umieć czytać szyldy oraz reklamy i nie poza tym. Pracowali we dwóch — kradli i włamywali się, gdy głód dawał im się mocno we znaki, i żyli w strachu zarówno przed gangami, które chciały ich wchłonąć, jak i przed żandarmerią. Owe gangi składały się z dzieciaków, równie bezlitosnych i niewinnych, jak stada wilków. W tamtych latach w Rio ruch uliczny był znacznie mniejszy niż obecnie, mniej też było przemocy, ubóstwa i przestępczości, jednakże ludziom, którzy wówczas zamieszkiwali to miasto, wydawało się ono właśnie bardzo hałaśliwe, pełne przemocy, ubóstwa i przestępczości. Od pewnego czasu Tristao czuł, że ma dosyć kradzieży i takiego życia, że musi poszukać drogi do tego lepszego świata, z którego pochodzą reklamy, telewizja i samoloty. Duchy powiedziały mu teraz, że ta jasnoskóra daleka dziewczyna stanowi taką właśnie drogę.

Trzymając w ręku mokrą, zapiaszczoną koszulkę, przepychał się ku nieznamomej przez tłum innych niemal nagich ciał. Stała sztywno, wiedząc, że stała się obiektem polowania. Na spłowiałej pomarańczowej koszulce chłopca widniał napis LONE STAR, reklamujący restaurację dla cudzoziemców w Leblonie. W małej kieszonce czarnych kąpielówek, tak obcisłych, że widać było dokładnie jego spłaszczone genitalia, miał żyletkę o jednym ostrzu, z napisem GEM, ukrytą w kawałku starannie naciętej grubej skóry. Niebieskie gumowe sandały z Tajwanu wsunął pod niewielki krzaczek na skraju chodnika.

W skład jego dobytku wchodził jeszcze jeden przedmiot — pierścionek ściągnięty z palca podstarzałej zagranicznej turystki, koloru mosiądzu, z wyrytym napisem DAR. Owe litery wydawały mu się nieskończenie

dziwne, ponieważ oznaczały „dawać”. W tej chwili przyszło mu na myśl, by podarować pierścionek bladej piękności, której skóra wionęła zapachem strachu i wrogości, gdy podszedł bliżej. Choć z daleka dziewczyna wydawała się wysoka, Tristao był od niej wyższy o szerokość dłoni. Pachniała emulsją do opalania, a może był to zapach jej strachu i zaskoczenia, który przywiódł mu na pamięć budę jego matki, słodkawą woń lekarstwa, które mu dawała, gdy miał gorączkę czy robaki, zanim alkohol tak dokładnie wyniszczył jej organizm, że już tylko wegetowała w ich ciemnym, pozbawionym okien baraku w *favela*, dzielnicy ruder. Matka — przedmiot litości, wieczne zmartwienie. Zapewne wybłągała lekarstwo od lekarza z misji, mieszczącej się u podnóża góry, gdzie po drugiej stronie torów tramwajowych zaczynały się domy zamożnych ludzi. Sama była wówczas właściwie dziewczynką o ciele równie jędrnym jak nieznajoma, choć nie tak smukłym, on zaś był miniaturką samego siebie, rączki i stopki miał pulchne jak bułeczki, oczka jak czarne bąbelki tkwiące w okrągłej czaszce. Nie pamiętał jednak chwili, w której ów delikatny, łagodny zapach zadomowił się w nim, rozprzestrzenił niczym senne łkanie. Obudził się tutaj, w tej słonecznej, przesyconej solą atmosferze, gdy stał naprzeciwko jasnowłosej laleczki, a wiatr przynosił mu zapach jej ciała.

Mimo oporu, jaki stawiała jego pomarszczona od morskiej wody, mokra skóra, ściągnął pierścionek z małego palca, na który pasował jak ulał. Starszawa cudzoziemka o kręconych sinoniebieskich włosach nosiła go na tym palcu, na którym na drugiej ręce powinna znajdować się obrączka. Przydybał ją pod zepsutą latarnią uliczną w Cinelandii, gdy tymczasem jej mąż pożerał wzrokiem wywieszane na rogu reklamy klubu nocnego — zdjęcia czekoladowych tancerek rewiowych. Gdy przyłożył żyłkę do policzka niebieskowłosej cudzoziemki, niemal omdlała, jak dziwka. Dzieliło ją od grobu zaledwie kilka lat, a mimo to przerażała ją myśl, że jej pokryta zmarszczkami twarz może zostać okaleczona. Euclides przeciął paski torebki, a Tristao w tym samym czasie ściągnął jej z palca tombakowy pierścionek; na moment ich dłonie splotły się niczym dłonie kochanków. Teraz wyciągnął pierścionek w stronę obcej dziewczyny. Jej twarz ukryta w cieniu kapelusza przypominała pyszczek małpki, kąciki ust miała uniesione do góry, co stwarzało wrażenie uśmiechu nawet w chwili, gdy się nie uśmiechała, tak jak teraz. Wargi miała pełne, zwłaszcza górną.

— Czy mogę ofiarować pani ten drobny prezent, *senhorita*?

— Czemu miałby pan to uczynić, *senhor*? — To uprzejme odezwanie się odebrał również jako uśmiech, chociaż sytuacja była napięta i przysadzista towarzyska dziewczyny wyglądała na przestraszoną. Obronnym gestem przyłożyła dłoń do stanika kostiumu kąpielowego, jak gdyby ukrywał skarby, które można ukraść. Znajdowały się tam jednak tylko brązowe tobołki tłuszczu, nic specjalnego ani godnego uwagi dla Tristao. Wzrok miał utkwniony tylko w jeden punkt.

— Ponieważ jest pani piękna i, co znacznie rzadsze, nie wstydzi się pani swojej urody.

— Wstydzić się to niemodne w dzisiejszych czasach.

— A jednak wiele osób pani płci się wstydzi, na przykład pani przyjaciółka, która zasłania swoje potężne zderzaki.

Oczy niższej dziewczyny zabłyśły gniewnie, jednak jej oburzenie rozwiało się, gdy spojrzała na Euclidesa, i zaczęła chichotać. Tristao skreślił się wewnętrznie z obrzydzenia, słysząc ten śmiech współwiny i poddania. Potrzeba uległości u kobiety zawsze denerwowała Tristao, który lubił podboje. Euclides postąpił krok naprzód, biorąc w posiadanie oddany bez walki teren. Miał szeroką twarz ze zmarszczonymi brwiami, srogą i zakłopotaną, koloru gliny. Jego ojciec musiał mieć sporą domieszkę krwi indiańskiej, ojciec Tristao natomiast szczyił się czystą krwią afrykańską, o ile w Brazylii można w ogóle mówić o czystości krwi.

— Niebezpiecznie jest być piękną — powiedziała do Tristao roztaczająca blask biała dziewczyna, zadzierając wysoko brodę. — To dlatego kobiety nauczyły się wstydzić.

— Przysięgam, że z mojej strony nie grozi pani żadne niebezpieczeństwo. Nie wyrządę pani najmniejszej krzywdy.

Obietnica zabrzmiała uroczyście, głos chłopca przybrał męskie tony. Teraz ona mierzyła go wzrokiem, przyglądała się murzyńskim, wyrazistym rysom szczupłej twarzy, świadczącym, że obce mu jest obżarstwo, chłopięcemu błyskowi w wypukłych oczach, wydatnym łukom brwiowym, miedzianemu połyskowi mocno skręconych włosów, których pojedyncze nitki płonęły czerwienią w ostrym blasku słońca. W jego twarzy był fanatyzm i dystans, ale, jak sam zapewnił, ani śladu wrogości wobec niej.

Wyciągnęła rękę i dotknęła lekko pierścionka.

— „Dawać” — przeczytała i wyprostowała figlarnie palce, żeby mógł włożyć jej pierścionek. Serdeczny palec, na którym nosiła go cudzoziemka, był zbyt szczupły. Pierścionek trzymał się jedynie na najgrubszym, środkowym palcu. Dziewczyna podniosła pierścionek do góry, aż zabłysnął w słońcu, i spytała swoją towarzyszkę:

— Podoba ci się, Eudóxia?

Eudóxia była najwyraźniej wstrząśnięta.

— Oddaj go natychmiast, Isabel! To źli chłopcy, ulicznicy. Bez wątpienia jest kradziony!

Euclides popatrzył spod zmrużonych powiek na Eudóxię, jak gdyby usiłując zrozumieć potok jej wymowy i przyjrzeć się kolorowi jej skóry, przypominającemu jego własny, pośredniemu, zbliżonemu do koloru terakoty.

— Świat składa się z kradzionych rzeczy. Cała własność to jedno wielkie złodziejstwo, a ci, którzy ukradli najwięcej, ustanawiają prawa dla całej reszty.

— To porządni chłopcy — uspokajała Isabel swoją towarzyszkę. — Przecież nic się nam nie stanie, jeśli pozwolimy im opalać się wspólnie z nami i porozmawiamy sobie. Nudzi nam się już we dwójkę. Nie mamy nic, co mogliby nam ukraść, oprócz ręczników i ubrań. Opowiedzą nam o swoim życiu. Albo poczęstują nas stekiem kłamstw — co będzie równie zabawne.

W rezultacie Tristao i Euclides nie opowiedzieli prawie nic o swoim życiu, którego się wstydzili — o matce, która nie była matką, o domu, który nie był domem. To nie było życie, lecz nieustanna bezładna bieżanina i przepychanka, napędzana przez ich puste żołądki. Dziewczeta natomiast, niby rozmawiając ze sobą, odsłoniły przed nimi kulisy swego luksusowego, lekkiego życia, tak jak gdyby zdejmowały jedwabną bieliznę. Opowiedziały o zakonnicach ze szkoły, do której obie chodziły — tych, które były tak bardzo podobne do mężczyzn, że miały wąsy, tych, które podejrzewano, że są lesbijkami żyjącymi w namiastkach związków małżeńskich, tych, które były „siurkami”, i tych, które były „cipkami”, tych, które chciały uwieść swoje uczennice, tych, które były kochankami księży, tych, które płaciły ogrodnikom, żeby je pieprzyli, tych, które obwieszały ściany swoich cel zdjęciami papieża i masturbowały się, mając przed oczami jego zatroskaną twarz. Wszystko to przypominało książkę, książkę na temat seksu, słowny haft, wydziergany misternie zwinnymi paluszkami dziewcząt z kółka szyjącego na cele dobroczynne, a ich śmiech skrzył się w owym hańcie niczym srebrna nitka. Tristao i Euclides — którzy żyli w świecie, gdzie seks stanowił coś tak powszedniego jak czerwona fasola czy *farinha* i nie był wart więcej od kilku wytartych *cruzeiros*, rzuconych na poplamiony winem drewniany stół, i którzy stracili cnotę, gdy byli niemal dziećmi — nie odznaczyli się szczególną elokwencją, słuchali jednak, oczarowani fantastycznymi domysłami, które snuły dziewczęta, zaśmiewając się niemal do łez.

Opowiadając o szkole klasztornej, wspomniały o niedozwolonym odbiorniku radiowym, który skonfiskowała jedna z zakonnice. To dało Tristao okazję, by zaprezentować swoją wiedzę na temat samby, *choro*, *farró* i bossa novy oraz gwiazd — Caetano, Gil, Chico — każdej z form muzyki. Cały elektroniczny świat, w którym piosenkarze, aktorzy oper mydlanych, sławni piłkarze i najwięksi bogacze szybowali niczym obwieszone błyskotkami anioły, zniżył się ku nim i stał się czymś zwyczajnym. Iskry miłości i nienawiści, wypowiedane z emfazą młodzieńcze opinie, przelatywały między czterema osobami, które były sobie tak samo równe pod względem nieskończonego oddalenia od tego świata, jak i tego, że miały po dwie ręce i dwie nogi, dwoje oczu i gładką skórę. Niczym pobożni wieśniacy ze Starego Świata, wierzyli, że to niebo, które przesyła im swoje wiadomości na niewidocznych falach, zwróciło właśnie ku nim swoje uśmiechnięte, pełne uczucia oblicze, tak jak niewyczuwalne sklepienie błękitnego nieba znajduje się dokładnie nad każdypię, kto w nie patrzy.

Upał panujący na plaży dawał się im coraz bardziej we znaki, piasek parzył. Ogarnęło ich wielkie znużenie, rozmowa przestała się kleić. Gdy Euclides i Eudóxia podnieśli się z ociąganiem i poszli się wykapać w morzu, pomiędzy pozostałą dwójką zapanowało napięte milczenie. Isabel wyciągnęła dłoń, na której lśnił kradziony owalny pierścionek, i wzięła chłopca za rękę.

— Czy chciałbyś pójść ze mną?

— Tak, zawsze — odpowiedział Tristao.

— Wobec tego chodźmy.

— Teraz?

— Teraz — rzekła, wbijając spojrzenie niebieskoszarych oczu w jego twarz i w zamyśleniu wydymając górną pełną wargę — nastał nasz czas.

II. Apartament

Isabel miała ze sobą cienką jak mgiełka plażową sukienkę, żółtopomarańczową, w kolorze owoców *maracuja*, postanowiła jednak nie wkładać jej, wychodząc z plaży, wsunęła tylko na stopy sandaalki z cienkiej białej skórki, żeby przejść słynnym chodnikiem Avenida Atlantica w czarno-białe faliste pasy. Umieściła zmiętą suknię i ręcznik w zgięciu łokcia, tak że co najmniej jeden przechodzień zerknął ciekawie, spodziewając się zobaczyć zawinięte w pieluszki niemowlę. Jej ciemny słomkowy kapelusz, który wyglądał, jak gdyby ufarbowała go sokiem owoców *genipapo*, szybował przed Tristao niczym latający talerz, furkotały zwisające końce czarnej wstążki. Szła szybciej, bardziej wysportowanym krokiem, niż się spodziewał, aż potykał się i podskakiwał, żeby ją dogonić. Jego własne poczucie przyzwoitości nakazało mu wciągnąć zapiaszczoną koszulkę z napisem LONE STAR; klapał zniszczonymi gumowymi sandałami, które zabrał spod krzaczka.

Jasnokóra dziewczyna, której długie gołe nogi stwarzały złudzenie, iż jest znacznie wyższa niż w rzeczywistości, kroczyła ze ślepą determinacją lunatyczki, jak gdyby w obawie, że chwila wahania może zniweczyć jej postanowienie. Szła na południe, w stronę fortu, następnie skręciła w prawo, w ulicę wiodącą do Ipanemy — Avenida Rainha Elisabete, a może Rua Joaquim Nabuco, Tristao był zbyt oszołomiony i przestraszony, by zwrócić uwagę na nazwę. Tam, w cieniu budynków i drzew, pośród sklepów i restauracji, banków z aluminium oraz szkła, ze stojącymi na baczność portierami i strażnikami w mundurach, niemal całkiem nagie ciało dziewczyny jarzyło się niesamowicie i przyciągało więcej spojrzeń. Tristao zbliżył się do niej z opiekuńczym gestem, mimo że zupełna obojętność jej lodowatej dłoni na jego dotyk sprawiła, iż poczuł się niezdarzy i obcy. W tym świecie eleganckich bloków mieszkalnych i strzeżonych ulic to ona była przewodniczką. Skręciła pod oznaczony numerem bordowy daszek i weszła do ciemnego holu, gdzie Japończyk za wysokim kontuarem z czarnego marmuru poznaczonego zielonkawymi żyłkami zamrugał ze zdziwienia, ale podał jej mały klucz i przycisnął guzik, który sterował wewnętrznymi szklanymi drzwiami. Drzwi rozsunęły się. Przechodząc przez nie, Tristao miał uczucie, że prześwietlają go promienie rentgenowskie, że uwiera go żyłeczka w kieszonce obcisłych wilgotnych kąpielówek, czuł też mrowienie w penisie, skurczonym jak orzech nerkowca.

Winda o drzwiach ze srebrzystego metalu, zdobionych na podobieństwo tkaniny w trójkątne wzory, ruszyła w górę niczym nóż wyslizgujący się z pochwy. Pomalowane w paski ściany krótkiego korytarza miały ten sam złocisty kolor co pognieciona plażowa sukienka Isabel, tylko bardziej zgaszony. Kasetonowe drzwi z czerwonego drewna brezyłkowego, wywoskowane do połysku, ustąpiły otwarte jej małym kluczykiem, nie większym od jego żyłeczki. Wewnątrz panowała cisza kosztownych przedmiotów — wazonów, dywanów, poduszek z frędzlami, złożonych grzbietów oprawnych w skórę książek. Nigdy dotąd nie był w takim miejscu, czuł, że braknie mu tchu, ruchy miał skrzepowane.

— Czyje to mieszkanie?

— Mojego stryja Donaciana — odpowiedziała dziewczyna. — Nie martw się, nie spotkasz go. Pracuje cały dzień w Centro. Albo gra w golfa i popija drinki ze swoimi przyjaciółmi od interesów. Właściwie jego praca polega na popijaniu drinków z przyjaciółmi. Powiem służącej, żeby nam też przyniosła coś do picia. A może coś zjesz?

— Och, nie, *senhorita*, nie jestem głodny. Wystarczy mi szklanka wody albo odrobina *suco*. — W ustach mu zaschło, gdy rozglądał się dokoła. Istna gratka dla złodzieja! Za jedną srebrną papierośnicę, za dwa kryształowe świeczniki przeżyliby z Euclidesem ponad miesiąc. Obrazy — koła, kwadraty, zamaszyste krechy — nie mogły być wiele warte, być może poza wartością, jaką przedstawiały dla autora w chwili malowania, ale litery na grzbietach książek były ze złota. Patrzył z podziwem na półki z książkami, dorównujące wysokością drzewom palmowym. Pokój, w którym się znajdowali, miał dwa wewnętrzne balkony na dwóch ścianach, a na suficie wypukłą różę o płatkach z matowego szkła. W samym środku kwiatu umocowany był łańcuch, tak długi jak ten, który podtrzymuje wieczną lampkę w kościele, a na nim wisiał zyrandol o mosiężnych ramionach wygiętych w kształcie litery S. Dotychczas wnętrze domu oznaczało dla Tristao mroczną norę slumsów. Tutaj było równie

jasno jak na dworze, tyle że miejsce było osłonięte przed najbliższym choćby powiewem wiatru, panował tu całkowity spokój.

— Mario! — zawołała władcym tonem Isabel.

Młoda przysadzista służąca, która stawiała się bez pośpiechu na jej wezwanie, jak gdyby przebywała w jakimś odległym pomieszczeniu, zmierzyła Tristao pogardliwym spojrzeniem, w jej głęboko osadzonych oczach błysnęły strach. Twarz miała nalaną, szeroką jak Indianka, albo opuchniętą wskutek pobicia, dziobatą, skórę ponurego tabaczkowego koloru, co było zapewne wynikiem mieszanej krwi. Przejrzała go, odgadła jego złodziejskie myśli i pomyślała, że sama jest ponad to. Jak gdyby zamieszkiwanie w domach bogaczy i paradowanie w otrzymany od nich czystych ubraniach nie było samo w sobie formą kradzieży.

— Mario — powiedziała Isabel, starając się, by jej głos nie brzmiał ani ostro, ani nieśmiało — przyrządź dwa koktajle *vitaminas* z bananem lub avocado, jeśli masz pod ręką. Mnie to wystarczy, ale może przyniosłabyś mojemu gościowi coś, co upitrasiałś sobie na lunch? To mój przyjaciel, Tristao. Masz ochotę na kanapkę? — spytała chłopca.

— Nie, to doprawdy zbyt cenne, przysięgam — zaprotestował Tristao ze śmiałością, która emanowała z jego szerokiego, wypukłego czoła, dużych błyszczących oczu i pełnej rezerwy miny.

Mimo to, gdy służąca przyniosła jedzenie — podgrzane *acaraje* ze smażonymi kulkami *vatapa*, krewetkami i papryką — zjadł wszystko z wilczym apetytem. Nauczył się przeczekiwać głód, ale widok jedzenia go obudził, toteż chłopak zmiótł z talerza wszystko, nie zostawiając na nim nawet tłustej plamki. Isabel popchnęła w jego stronę po intarsjowanym blacie niskiego stolika swój talerz ze zjedzonym do połowy daniem. Spalaszował je również do końca.

— Podać kawę? — spytała Maria, która weszła, żeby sprzątnąć talerze. Wyczuwało się w niej jeszcze nienawiść i nikłą woń spisku, przypominającą zapach oleju *dende*, którym przyprawione są wszystkie potrawy z północy. Być może w dziwnym domu, w którym mieszkała dziewczyna oraz jej wuj, było coś nie w porządku, czego służąca nie aprobowała. Jak inni ludzie niskiego pochodzenia, chętnie skłaniała się ku intrygom i zmianom; świat nie jest dla nich cenną relikwią pod szkłem, która ma być zachowana po wsze czasy.

— Tak, a potem zostaw nas samych — poleciła Isabel. Zdjęła swój mały kapelusz, długie jasne włosy załśniły, pogłębiając wrażenie jej nagości i przypominając chłopcu, jak poczuł się oślepiiony, wracając z morskiej kąpieli.

— Lubisz mnie? — spytała, odwracając oczy i rumieniąc się.

— Tak. Nawet więcej niż lubię.

— Uważasz mnie za flirtiarkę? Zepsutą dziewczynę?

— Myślę, że jesteś bogata — odpowiedział, rozglądając się — a bogactwo czyni ludzi dziwnymi. Bogacze robią, co chcą, i nie znają ceny niczego.

— Ale ja nie jestem bogata — rzekła Isabel z nową nutą skargi i rozdrażnienia. — Mój wuj jest bogaty, mój ojciec, który przebywa teraz w Brasilii, również, ale ja nie mam nic własnego — trzymają mnie niczym rozpieszczaną niewolnicę, żeby oddać po ukończeniu szkoły u zakonnic jakiemuś chłopcu, który gdy dorośnie, będzie taki sam jak oni — elegancki, uprzejmy i nieczuły.

— A gdzie jest twoja matka? Co ona mówi o twojej przyszłości?

— Moja matka nie żyje. Małeńki braciszek, którego chciała mi sprawić, udusił się pępownią podczas porodu i umierając, uszkodził jej macicę. Przynajmniej tak mi powiedziano. Miałam cztery lata, gdy się to stało.

— Jakie to smutne, Isabel. — Mimo iż słyszał, że tym właśnie imieniem nazywała ją Eudóxia, nie wymówił go wcześniej ani razu. — Ty nie masz matki, a ja nie mam ojca.

— A gdzie jest twój ojciec?

— Może nie żyje — wzruszył ramionami Tristao. — A w każdym razie zniknął. Moja matka spała z wieloma mężczyznami i nie ma pewności, który z nich jest moim ojcem. Mam dziewiętnaście lat, musiało to więc zdarzyć się dwadzieścia lat temu. Matka pije dużo *cachaca* i nie przejmuje się niczym. — A jednak zdobyła kiedyś dla niego potrzebny lek. Karmiła go piersią, wybierała mu wszy z włosów i szukała robaków w jego kale.

— Ja mam dopiero osiemnaście lat — oznajmiła Isabel, chcąc zwrócić z powrotem na siebie jego uwagę.

Uśmiechnął się do niej i odważył się dotknąć jej lśniących włosów, w których igrały migotliwe pasemka niczym światła nocą w Rio, widziane z Sugar Loaf.

— Cieszę się. Nie chciałbym, żebyś była starsza ani bogatsza.

Nie wzdrzgnęła się, gdy jej dotknął, ale też nie odwzajemniła uśmiechu.

— Podarowałeś mi pierścionek. — Wyciągnęła rękę, na której nosiła jego tombakowy owalny pierścionek. — I ja muszę ci teraz coś dać.

— To nie jest konieczne.

— Prezent, który mam na myśli, będzie również prezentem dla mnie. Przyszedł na to czas. Czas w moim życiu.

Wstała i przyłgnęła wargami — do jego ust. Trudno to było nazwać prawdziwym pocałunkiem, raczej imitacją pocałunków widzianych w czasopiśmie lub w telewizji. Jej dotychczasowe życie polegało na przyglądaniu się historiom innych ludzi, teraz tworzyła własną. Zaprowadziła go do spiralnych metalowych schodów, pokrytych farbą w przydymionym różowym kolorze, prowadzących na wyższą kondygnację. Ciało wspinającej się przed nim dziewczyny rozłamywało się w skrócie perspektywicznym na płaty, trójkąty, migające w prześwitach pomiędzy trójkątnymi stopniami krętych schodów. Sunąc lekko palcem po balustradzie, niczym po powierzchni wody, Isabel weszła do korytarza znajdującego się na wysokości żyrandola o wygiętych węzowo ramionach, a następnie do swojego pokoju, wciąż pełnego pluszowych zwierzątek, którymi bawiła się w czasach dzieciństwa, oraz plakatów długowłosych piosenkarzy z Anglii. Tutaj Tristao czuł nieco mniejszy ucisk w płucach, jak gdyby wśród ścian tego dzieciennego pokoju wiatr pieniędzy nie wiał z taką dziką siłą. Isabel zdjęła swój jasny mikroskopijny kostium kąpielowy, kręcąc biodrami i wzruszając ramionami z na wpół przekornym, na wpół pytającym uśmiechem na swej wojowniczej twarzy małpki. Była tylko nieco bardziej naga niż przed chwilą. Nigdy nie widział takich włosów łonowych — jasnych i prostych. Jasnobrązowe sutki stwardniały pod wpływem powietrza i jego spojrzenia.

— Musimy się umyć — powiedziała stanowczo. Wewnątrz marmurowej kabiny znajdowały się liczne kurki

od prysznic, które regulowały natężenie i stopień rozpylenia wody — raz były to cienkie delikatne igielki, raz grubsze, ostre strumyczki siekące skórę w szybkim, pulsującym rytmie. Stojąc z nią pod ciepłym wodospadem, mydląc jej jedwabistą skórę, aż pokryła ją gruba warstwa białej piany, pozwalając, by również go namydliła, poczuł, jak orzech nerkowca zmienia się w banan, a następnie w ciężką, naprężoną bulwę ignamu. Mydląc go tam z całą powagą, pochylała głowę pod silny strumień wody, żeby lepiej widzieć nabrzmiałe żyły, purpurowoczną skórę, fioletową jednooką żołądź w kształcie serca. Gdy tak przeprowadzała tę szczegółową inspekcję, włosy rozdzieliły się jej na głowie, ukazując różową skórę czaszki — nie białą, jak się spodziewał. Gdy się wreszcie splukali, powiedziała, wciąż się przyglądając i muskając palcami wypukłą żyłę:

— A więc tak to wygląda. Podoba mi się. Jest brzydki, ale niewinny, jak ropucha.

— Nigdy przedtem? — spytał zakłopotany, wdzięczny, że może się na chwilę ukryć w ogromnym białym ręczniku, który wyjęła z szafy. W lustrzanych ścianach łazienki widział swoje odbicie, poszatkwane na czarne i białe kawałki. Jego twarz przypominała twarz surowego wojownika, sfotografowaną jednocześnie pod wieloma kątami.

— Nie, nigdy. Czy to cię przeraża, Tristao?

Owszem, przerażało go, ponieważ skoro była dziewicą, kochanie się z nią stawało się przeżyciem religijnym, niosącym ze sobą wieczną inkryminację. Ale pulsowanie krwi w bulwie ignamu, którą niósł przed sobą owinięty puszystym ręcznikiem, kazało mu podążać za zjawą, która narzuciła własny ręcznik jak pelerynę, odsłaniając dolną część ciała, jędrne, kołyszące się pośladki. Gdy pochyliła się nad marmurową posadzką łazienki, żeby podnieść rzucone tam przez niego czarne kąpielówki, jej białe pośladki rozchyliły się, ukazując brązową plamę skóry wokół odbytu, co wzbudziło w nim lekkie obrzydzenie.

Następnie, strzepując i składając starannie kąpielówki, żeby je powiesić, krzyknęła, zaskoczona. Żyłka, którą trzymał w kieszonce, wyślizgnęła się ze swojej prymitywnej pochewki i skaleczyła ją w palec. Pokazała mu smuzkę jasnoczerwonej krwi na białej skórze. To go również przeraziło, poczytał to za złą wróżbę — przyczyni jej cierpienia.

Mimo to, krzywiąc się z — bólu i ssąc palec, osuszając skaleczenie różkiem wielkiego ręcznika, nie przestawała posuwać się w stronę swego wąskiego dziewczęcęgo łóżka, nakrytego lekką atlasową narzutą w delikatnym odcieniu zieleni, jaki Tristao widywał w dzielnicy ubogich na porcelanowych dzbanach i nocnikach na pokrytym pianą pasku poniżej brzegu naczynia. Nad mosiężną poręczą u wezłowania łóżka wisiał mały olejny obrazek Matki Boskiej z aureolą przypominającą zsunięty do tyłu kapelusz z szerokim rondem, nienaturalnie poważnej, trzymającej na kolanach duże dziecko unoszące tłuste paluszki w niezdarnym geście. Isabel z wyrazem powagi i zdecydowania na swojej małpiej twarzyczce zdjęła obrazek ze ściany i schowała go pod łóżkiem. Kładąc się na narzucie, przełożyła na jedną z półek obok łóżka leżące na nim zwierzątka o szklanych oczach. Każda z półek została kiedyś pomalowana na inny kolor tęczy, żeby sprawić radość dziecku. Jej ruchy były szybkie, pewne. Uprzątnąwszy wszystko, opadła na plecy na samym środku łóżka, nie zostawiając mu miejsca obok i zmuszając tym samym, żeby położył się na niej. Jednakże gdy posłusznie zastosował się do jej życzenia, wsparła się dłońmi o jego pierś, jak gdyby chciała go powstrzymać, odwlec tę chwilę. W jej szaroniebieskich oczach błysnął niemal gniew.

— Nie przypuszczałam, że to będzie takie duże — przyznała.

— Nie musimy teraz nic robić. Możemy po prostu przytulić się, popieścić trochę i opowiedzieć o swoim życiu. Możemy spotkać się znowu jutro.

— Nie. Jeśli to odłożymy, nic się nie zdarzy. To jest nasz czas.

— A gdybyśmy spotkali się jutro, na plaży?

— Stracimy odwagę. Przeszkodzą nam inni.

Niepewnie, wpatrując się w jego twarz, jak gdyby szukała

w niej wskazówek, rozłożyła białe nogi.

— Miałaś wiele dziewcząt? — spytała.

Skinął głową, zawstydzony, że nie wszystkie były dziewczętami, że na początku były to kobiety dwa razy starsze od niego, dojrzałe pijane kobiety, przyjaciółki jego matki, rzucające mu ochłap siebie niczym resztki jedzenia zabawnej małej śwince.

— Może więc masz dla mnie jakąś radę?

Jego żołądź, przypominająca fioletowe serce wyrwane z piersi stworzenia wielkości królika, spoczywała na jasnych włosach jej wzgórka łonowego. Zwykle to kobieta, z którą był, ujmowała penis w palce i kierowała nim. Dziewczyna uniosła niezdarnie pośladki i spojrzała mu pytająco w oczy. Jego ciemne tęczęwki prawie nie różniły się kolorem od rozszerzonych źrenic.

— Mogę ci tylko poradzić — powiedział niskim, męskim głosem — abyś dała się ponieść zmysłom aż do momentu, kiedy twoja i moja rozkosz będą jednakowe. Za pierwszym razem nie będzie to łatwe. Będzie bolało.
— Jego oddech pachniał ostro przyprawionymi *acaraje*.

Wsunął dłoń pomiędzy jej uda, znalazł miejsce, gdzie lepkie wargi zaczynały się rozdzielać, i sam wziął na siebie funkcję przewodnika. W chwilę później, jak gdyby zwątpiwszy we własną radę, spytał:

— Czy to boli?

Isabel zeszywniała pod nim, próbując pokonać instynktowną niechęć i strach. Jej jasna skóra pokryła się nagle drobnymi kropelkami ciepłego potu. Kręciła głową, jak gdyby bała się poruszyć jakąkolwiek inną częścią przyszpilonego ciała. On również pocił się, zmartwiony jej dziewiczą wąskością. To ogromne obciążenie być prawdziwym kochankiem, a nie małą świnką zadowolającą się byle ochłapem. Mimo to wiedział, że za ciemnym murem, który muszą pokonać, znajduje się raj.

— Czy mam przestać? Może się wycofam?

Pokręciła wściekle głową. Nie, nie, nie!

— Zrób to, na miłość boską — powiedziała. Zanurzył się w ciemność, każde pchnięcie pogłębiało

odcień czerwieni pod jego zaciśniętymi powiekami. Wewnątrz jego ciała, w miejscu poza epicentrum żądz, zwężone przejście usiłowało powstrzymać rwący strumień, złagodzić dławienie, dygot, rosnące ciśnienie, które wprawilo jego pięty w szalony taniec, gdy zbliżył się punkt kulminacyjny, i doprowadziło do eksplozji powodującej, że świat przestał na chwilę istnieć. Wstrząsający nim spazm odwrócił uwagę dziewczyny od jej własnego ciała. Jej białe dłonie przesunęły się czule, ze zdumieniem, po wygiętych w łuk czarnych plecach, starając się uśmierzyć wielkie rozdarcie, jakiego doznał w jej kleistych głębiach, w oplocie jej jedwabistych nóg. Oddech mu się uspokoił, spytał rozsądnie, z zatroskaniem:

— Bardzo bolało?

— Tak. O, Boże, tak. Dokładnie tak, jak mówiły zakonnice, to kara za grzech Ewy. — Mimo to, gdy chciał w rycerskim porywie uwolnić ją od swego ciężaru, objęła go mocniej nogami i ramionami.

— Kochana Isabel — westchnął. Nie potrafił zdobyć się na czulsze słowa i wciąż wstydził się wymawiać jej imię. Jedno wypełnione bohatercko zadanie nie upoważniało go do poufałości z tą patrycjuszowską pięknoscią. Gdy wreszcie pozwoliła mu wyjąć penis, był cały pokryty jej krwią i najwyraźniej miała do chłopca pretensję o to, że poplamiał jej zielonkawą atlasową narzutę.

— Maria zobaczy i poskarży mojemu stryjowi! — wykrzyknęła.

— Szpieguje cię?

— Są... przyjaciółmi.

Wyskoczyła z łóżka, przyniosła z łazienki mokrą ścierkę i pospiesznie zaczęła trzeć nią nieregularną plamę. Z powodu jego wahania i propozycji, by odłożyli wszystko na później, plama miała kształt kielicha, z czaszą, podstawką oraz cienką czerwoną nóżką.

— Powinnaś była podścielić ręcznik — powiedział, poirytowany, że ma do niego pretensję z powodu własnej krwi i że tak szybko przeszła od momentu uniesienia do zwykłej domowej krzątania.

Dosłyszała ton urazy w jego głosie i poszukała sposobu, by podreperować jego męską dumę. Odwróciła się ku niemu i zaczęła potulnie ocierać zakrwawioną ścierką to, co odzyskało obecnie swoje dawne wymiary orzecha nerkowca. Dziewicza krew zdążyła już zaschnąć, zbrązowiła na pomarszczonej skórze koloru bakłazana. Czując coraz większy ból między nogami, gdy minął szok defloracji, niecierpliwie wepchnęła mu mokrą szmatkę do ręki.

— Masz, Tristao, to również twoja sprawka.

Tristao, mimo iż przepełniała go szczególna duma, typowa dla nawet najbiedniejszych brazylijskich mężczyzn, wziął od niej ściereczkę, rozumiejąc jej nastrój. Była upojona śmiałością tego, co uczyniła, co jest już

nieodwracalne. Niepokromione nastroje kobiet są ceną, jaką mężczyźni płacą za ich nieziemską urodę oraz powszednie cierpienie.

Gdy Tristao wrócił z łazienki w wilgotnych kąpielówkach, Isabel była wciąż naga. Miała tylko na palcu pierścionek z napisem DAR oraz na głowie słomkowy kapelusz, taki sam jak tamten czarny, który nosiła na plaży, tyle że ufarbowany na truskawkowy kolor. Na tęczowych półkach, zajmujących dwie ściany małego pokoiku, leżało kilka zabawnych kapeluszy obok mnóstwa zabawek podarowanych jej przez stryja, który chciał, by na zawsze pozostała małą dziewczynką.

Zadarła głowę i przybrała pozę tancerki z klubu nocnego — białe pośladki wypięte, jedno kolano zgięte nad łukiem naprężonej stopy. Palce u nóg zbieleły z napięcia, na wewnętrznej stronie uda widniała zaschnięta smużka krwi. Pomyślała, że to cudowne uczucie pozwolić oglądać się nago mężczyźnie i nie odczuwać wstydu.

— Czy wciąż mnie lubisz? — spytała ze smutną powagą. Spod zuchwałego ronda kapelusza ledwie było widać jej wzniesione w górę oczy.

— Nie mam wyboru — odpowiedział. — Teraz jesteś moja.

III. Stryj Donaciano

— Nie, nie uważam tak, moja droga — powiedział stryj Donaciano. Jego korpulentną postać okrywał szary garnitur, który w pewnym oświetleniu błyszczał jak aluminium. — Nie uważam, że mieści się to w dopuszczalnych granicach, nawet w naszej tolerancyjnej epoce, nawet w całym tym zbyt postępowym społeczeństwie.

Minął miesiąc. Maria powiedziała swemu chlebodawcy o wizycie chłopca tamtego dnia i ciągłej nieobecności Isabel, która rzekomo spędzała czas na plaży. Ponieważ jednak nie była ani trochę opalona, nasuwało się podejrzenie, że chodziła razem z chłopcem do kina albo kryła się z nim w hotelowym pokoju na godziny. Z pewnością nie spotykała się z Eudóxią. Rodzice Eudóxi, uciekając z Rio przed upałami, zabrali ją wraz z trzema braćmi w góry — do Petrópolis, gdzie z polecenia cesarza Dom Pedra II wzniesiono letni pałac, w którym obecnie mieści się Museu Imperial. Można tam wciąż korzystać z koni i karet, jak również z kanałów i krętych górskich uliczek rezydencji. Następnie udali się do Nova Friburgo, gdzie kolonia szwajcarskich imigrantów zbudowała niegdyś, z tęsknoty za ojczyzną, drewniane chaty. Górskie wspinaczki, tenis, przejażdżki łodzią, konie, wiecznie kwitnące kwiaty; gdy Isabel była młodsza, często cieszyła się tymi przyjemnościami razem ze swoim stryjem i jego żoną, wdzięcznie smukłą stryjenką Luną, jeszcze przed ich niefortunną separacją — ich *desquite*, ponieważ rozwód był zabroniony. Stryjenka pochodziła z salvadorskiej arystokracji, a obecnie mieszkała w Paryżu, skąd na każde święta Bożego Narodzenia przysyłała Isabel to apaszkę Hermesa, to pasek Chanel. Była dla Isabel osobą, która najbardziej spośród wszystkich ludzi zastępowała jej matkę. Podczas ich pobytów w Petrópolis zdarzało się, wprawdzie niezwykle rzadko, że ojciec Isabel zdołał oderwać się od swoich oficjalnych obowiązków i przyjeżdżał na weekend z Brasílii. Jakież to było podniecające, gdy siedziała obok niego w eleganckiej hotelowej restauracji, ubrana jak dorosła kobieta, wystrojona i sztywna, a wykrochmalona kreza przy dekolcie sukni delikatnie drapała jej nagą skórę! W oddali lśniła w słońcu między zielonymi stożkami dwóch gór cienka nitka wodospadu, widoczna przez duże okno wychodzące na błękitne jezioro, na którym narciarze wodni pozostawiali zygzakowate ślady w jaśniejszym odcieniu błękitu. Ale wszystkie te przyjemności należały do dzieciństwa i trwały tak krótko jak uśmiech na zdjęciu.

— O jakich granicach tutaj, w Brazylii, mówisz? — spytała Isabel stryja. — Myślałam, że jest to kraj, w którym każdy człowiek tworzy sam siebie, niezależnie od koloru skóry.

— Nie mówię o kolorze skóry. Jestem ślepy na kolory, podobnie jak nasza konstytucja, zgodnie z narodowym temperamentem, który odziedziczyliśmy po naszych ognistych plantatorach trzciny cukrowej. Na szczęście nie mieszkamy w Republice Południowej Afryki ani w Stanach Zjednoczonych. Ale człowiek nie może stworzyć siebie z powietrza, musi mieć środki.

— Które znajdują się w rękach garstki osób, tam, gdzie zawsze były — powiedziała Isabel, niecierpliwym ruchem wyciągając z pudełka jeden z angielskich papierosów stryja.

Stryj Donaciano włożył głębiej do ust cygarniczkę z hebanu i kości słoniowej — pustą, próbował bowiem odzwyczaić się od palenia i używał jej w charakterze substytutu, żeby oszukać głód nikotynowy — krzywiąc

wargi w ponurym, przemądrzałym grymasie. Usta miał wąskie, ale intensywnie czerwone, jakby właśnie je wytarł.

— Gdyby znajdowały się w rękach wielu, zostałyby rozdrapane — wyjaśnił. — Mimo to Rio mojej młodości zmieniło się w jeden wielki slums. A było takie piękne, takie pełne rozrywek — tramwaj kursujący po Ogrodzie Botanicznym, kolejka linowa na Santa Teresa, Casino, do którego przyjeżdżał na występy Bing Crosby. Oryginalne i urocze niczym niezwykle przedmiot z weneckiego szkła, jedyne w swoim rodzaju. Teraz zgniło w skorupie swego piękna. Brakuje powietrza, ciszy. Wszystko zdominował uliczny hałas i muzyka, dźwięki idiotycznej samby, wszędzie cuchnie ludzkimi wydzielinami. Wszędzie, *bodum*.

— A my nie śmierdzimy, ty i ja? Nie wydzielamy niczego? — Przy każdej sylabie Isabel gniewnie wydmuchiwała obłoczki dymu.

Szyderczo uśmiechnięty Donaciano zmierzył ją spojrzeniem, starając się przywołać ponownie na twarz minę pełną stryjowskiej miłości. Wyjął z ust pustą cygarniczkę. Jego wysokie, gładkie czoło — opalone stale na orzechowy kolor dzięki starannie zaplanowanemu reżimowi kąpeli słonecznych — zmarszczyło się, gdy pochylił się ku bratanicy z nową szczerością i powagą.

— Wykorzystałaś tego chłopca. Nie doradziłbym ci tego, ale masz rację, pewnej części życia nie da się przeżyć, korzystając z rad starszych. Pewne rzeczy robi się przez przekorę, wbrew zasadom. Nie ma dorastania bez wybuchów, bez cierpienia. Prymitywne narody w swojej mądrości uważają cierpienie za najważniejsze w inicjacji. Dobrze, moja droga, przeszłaś inicjację. Wybrałaś się na plażę i poderwałaś narzędzie do okaleczenia siebie. Wykorzystałaś to żywe narzędzie, żeby stać się kobietą. Zrobiłaś to poza mną i postąpiłaś ładnie, stosownie. Ale dalsza znajomość toczyłaby się na oczach moich, twojego znakomitego ojca i naszego środowiska. A nawet, jeśli wierzysz w to, co wpajały ci zakonnice, na oczach twojej drogiej matki, naszej świętej pamięci ukochanej Cordelii, która ze łzami w oczach spogląda na ciebie z nieba.

Isabel zmieniła pozycję na okazałej karmazynowej kanapie — prążkowany aksamit zaszeleścił pod jej udami — i zgasła papierosa. Nie miała ochoty, żeby matka ją szpiegowała. Nie chciała innej kobiety w swoim życiu. Jej matka umarła, próbując urodzić brata; Isabel nigdy jej nie wybaczyła tej podwójnej zdrady, chociaż często porównywała fotografie matki — wszystkie wyblakłe i zmatowiałe przez sam fakt jej śmierci — z odbiciem własnej twarzy w lustrze. Matka miała ciemniejszą karnację, jej uroda była znacznie bardziej typowo brazylijska. Isabel odziedziczyła jasną karnację po rodzinie Leme'ów, ze strony ojca.

— A zatem — zakończył stryj Donaciano — nie będziesz się więcej widywała z tym *moleque*. Po karnawale rozpoczniesz studia na uniwersytecie, naszym znakomitym Pontificia Universidade Católica do Rio de Janeiro. Mam nadzieję, że uczęszczając tam, zainteresujesz się tak modnymi obecnie lewicowymi fantazjami i zaangażujesz się w antyrządowe protesty w sprawie reformy rolnej i zaprzestania okrucieństw wobec Indian amazońskich. Biorąc udział w takim donkiszotowskim ruchu, możesz zakochać się w innym kontestatorze. On zaś po zakończeniu studiów zostanie, mimo młodzieńczych skrupułów, członkiem rządu, który być może do tego czasu odzyska swój cywilny charakter. Albo — nie przerywaj jeszcze, kochanie, wiem, jak nieufnie twoje pokolenie traktuje małżeństwa zawierane pod kątem stosowności, aczkolwiek, wierz mi, stosowność pozostaje, gdy zanika wzajemny pociąg — będziesz woląla zostać prawnikiem, lekarzem, dyrektorem Petrobrasu. Obecnie kobiety mają w Brazylii takie możliwości, choć muszą pokonywać pewne stereotypy, walczyć z wizerunkiem kobiety ozdoby i rodzicielki, który stworzyli nasi szacowni przodkowie. Niemniej jednak, jeśli chcesz zrezygnować z macierzyństwa i tradycyjnych przyjemności prowadzenia domu, możesz przystąpić do gry o władzę. Ach, wierz mi, moja droga bratanico, to ogromnie nudna gra, gdy już pozna się zasady i zastosuje się kilka pierwszych sztuczek.

Westchnął. Jak to zwykle bywało ze stryjem Donacianem, stracił werwę, temat wyraźnie zaczynał go nudzić. Po piętnastu minutach wszystko go nudziło. „Właśnie w taki sposób odsuniemy go na bok — pomyślała Isabel. — Młodzi nie nudzą się tak szybko”.

Po chwili jednak ożywił się znowu, przyszedł mu do głowy nowy pomysł.

— Albo — szczerze mówiąc, ta myśl budzi moją zazdrość — czemu nie miałabyś wyjechać za granicę? Czy musimy na tym kurczącym się globie ziemskim ograniczać się do Brazylii — z jej okrutną historią, jej brudnym, tępym ludem, jej wiecznym zacofaniem, jej sambą na krawędzi chaosu? Nie jesteśmy tylko Brazylijczykami — jesteśmy obywatelami świata! Jedź do Paryża, zamieszkaż ze swoją stryjenką Luną! A jeśli pragniesz większej

samodzielności, spędź rok w Londynie lub Rzymie albo nawet w starej zaniedbanej Lizbonie, gdzie mówią po portugalsku tak szybko, że nie będziesz ich rozumiała! Czytałem w gazetach, że w San Francisco rozkwitły dzieci-kwiaty, Los Angeles zaś stało się stolicą krajów basenu Oceanu Spokojnego! — Pochylił się ku niej, unosząc długie, cienkie brwi, jaśniejsze od opalonego na brąz czoła, w sposób nasuwający podejrzenie, że składał tę fascynującą propozycję dziesiątkom kobiet przed nią. — Isabel, pozwól, że powiem ci przekornie, z pozycji dobrośliwego wuja, choć wiem, że mój stateczny brat nie pochwalałby tego, wręcz by mnie potępił: jeśli postanowiłaś nie liczyć się z konwenansami, chcesz zostać awanturką — aktorką, piosenkarką, fantomem w owym elektronicznym świecie, który w coraz większym stopniu wypiera nudny, uporządkowany, trójwymiarowy świat — zapomnij o nas! Wyrusz w podróż do gwiazd! Przed tobą bogactwo najrozmaitszych możliwości, jeśli rzucisz tego, tego...

— Tristao — podpowiedziała Isabel, sprzedając niewątpliwy epitet. — Mojego mężczyznę. Prędeży odebrałabym sobie życie.

Stryj Donaciano lekko skrzywił czerwone wargi w dziwnym grymasie, po czym zauważył, że jego wysoki kieliszek, który był przedtem napełniony srebrzystym płynem, przypominającym kolorem garnitur, który miał na sobie, jest pusty.

— Jesteś bezwstydną, moja droga. Prostacki romantyzm w najgorszym stylu, który czyni życie biedoty łatwiejszym do zniesienia. Ale ty, my, mamy ten przywilej, że jesteśmy istotami rozumnymi. Nadzieją dla Brazylii jest nasza zdolność rozumowania po tych nieszczęsnych wiekach iberyjskich mrzonek i zachłanności mieszańców.

Isabel roześmiała się wesoło, znając zwykły rozkład dnia swego stryja — przechadzka o świcie wzdłuż plaży w Ipanema i Leblonie; poranna rozmowa z maklerem, zdolnym *mulatto claro*, który studiował w London School of Economics i zajmował się finansami Donaciana; w południe lunch i sjesta z jedną z kochanek w którymś z ukrytych w zieleni podmiejskich domów; następnie, późnym popołudniem, popijanie dżinu na tarasie Jockey Club, gdy tymczasem niebo nad Corcovado różowało w promieniach zachodzącego słońca. Pocałowała go radośnie w opalone czoło i wyszła z salonu, po czym wbiegła na górę po krętych schodach, w przekonaniu (fałszywym), że stryj po prostu wygłosił kazanie wyłącznie po to, żeby udobruchać rodzinne duchy.

Odkąd zaczęła sypiać z przedstawicielem biedoty, czuła się znacznie swobodniejsza z Marią — mniej bała się jej zawziętej indiańskiej krwi i małomówności.

— Mój stryj — parsknęła do niej w kuchni — zapomina, że nie jestem już dzieckiem pilnowanym przez zakonnice.

— Kocha cię bardzo i pragnie tylko tego, co jest dla ciebie najlepsze.

— Czemu opowiedziałas mi o wszystkim? Nie mogę więcej przyprowadzić Tristao do mojego pokoju, zdradziłaś nas.

— Nie będę oszukiwała twojego wuja. Jest dla mnie bardzo dobry.

— Ha! — wykrzyknęła Isabel z ironią, biorąc talerz, żeby nałożyć sobie *caruru*, które Maria ugotowała dla siebie. — Płaci ci marne grosze, pieprzy cię i bije. Wiem, że cię bije, słyszałam odgłosy dochodzące z twojego pokoju, choć nigdy nawet nie krzyknęłaś.

Owa kobieta o wydatnych kościach policzkowych, na których widniały dwie pary niewielkich ukośnych nacięć, rzuciła Isabel konspiracyjne spojrzenie. Szparki głęboko osadzonych oczu błyszcząły w pulchnej czerwonawobrazowej twarzy.

— Twój stryj jest grzecznym człowiekiem — powiedziała. — Jeśli czasami mnie bije, to dlatego, że jest zły na siebie. Wścieka się z powodu stresów, jakie przeżywa bogaty człowiek w biednym kraju. Jest rozczarowany, ponieważ ten kraj nie stwarza dostatecznych możliwości dla wytwornego człowieka jego pokroju. Zagarnęli go prostytutki z *sertao*. Rozumiem, że to nie mnie bije. Jego razy są lekkie, jak gdyby kotek bawił się, uderzając łapką papierową kulkę.

— A pieprzy cię też delikatnie?

Maria skwitowała to pytanie milczeniem. Wyjęła z kredensu drugi talerz. *Caruru*, przyprawione na ostro tartymi strąkami pieprzu *malagwa* zmieszanych z pastą z pizmianu i olejem *dende*, z kawałkami smażonej *garoupa* na wierzchu podzieliła na dwie porcje, jak gdyby podkreślając, że teraz, gdy Isabel zaczęła rozmowę o pieprzeniu, są równe.

— Twój stryj jest grzecznym człowiekiem — powtórzyła. — Ale nie możesz go zbyt naciskać. Musisz pójść na uniwersytet i spotykać się z miłymi chłopcami. Tristao nie jest chłopakiem dla ciebie. To chłopak, jakiego ja mogłam mieć, gdy byłam młodszą. Przystojny ulicznik. Jest ładny jak ptaszek z dżungli, ale nie zarobi na jedzenie. To tylko dziób, pazury i krzykliwe pióra.

Isabel odrzuciła włosy, żeby nie wpadły do jedzenia, które niosła do ust, potem przełknęła, zawiadacko unosząc brodę do góry. Wiedziała, że przekora pasuje do niej, podkreśla zuchwały wyraz jej twarzy.

— Odnaleźliśmy się — powiedziała — na plaży, pośród tłumów ludzi. Żadne z nas nigdy nie pozwoli odejść drugiemu. Co może na to poradzić mój stryj? Nic. Mam osiemnaście lat. To już nie dawne czasy, kiedy można było zamykać młode dziewczyny w ich alkowach, spowite w koronki i czarną taftę, wyglądające lekliwie przez okratowane okna i czekające, aż zostaną zapłodnione, jak gołębie.

— On może wysłać cię do Brazylii, żebyś zamieszkała ze swoim ojcem — powiedziała Maria. — Nikomu nie uda się uciec z Brazylii, słyszałam, że wokół niej rozpościera się istne bezludzie, w dodatku całe miasto otoczone jest gigantyczną fosą.

Isabel zeskoczyła z kuchennego stołka, jak gdyby ją oparzył. Miotła się po kuchni, można by pomyśleć, że wszystkie sprzęty, których dotyka, są gorące.

— Czy tak właśnie ci mówił, Mario? Że pojedę do Brazylii, żeby zamieszkać z ojcem? Powiedz mi! — Perspektywa wyjazdu do Brazylii przerażała tę rodowitą mieszkankę Rio.

Maria milczała, tocząc wewnętrzną walkę. Musiała wybierać między lojalnością wobec chlebobdawcy i zarazem kochanka a wobec młodszej siostry w cierpieniu, opętanej przez miłość, niewolę, którą seks narzuca kobietom, mimo że Isabel naiwnie oznajmiła, że jest wolna.

— Nie wiem niczego na pewno, panienko — odezwała się wreszcie Maria — ale słyszałam, jak rozmawiał z bratem przez telefon. Myślę, że jeśli nie rzucisz tego chłopca, nie spędzisz tegorocznego karnawału w Rio.

IV. Rudera

Wnętrze budy, w której mieszkała matka Tristao, przecinały wąskie smugi światła przesączającego się pomiędzy arkuszami cynkowej blachy, kawałkami malowanego drewna i tekturą, z których zrobione były ściany. Błękitna jasność, która przedzierała się do wewnątrz ostrymi drzazgami, niewiele mogła zdziałać w dusznej atmosferze, powietrzu gęstym nie tylko od dymu papierosowego i kuchennych wyciewów, lecz również od kurzu wzbijającego się z klepiska i z kruchej budulca ściennego, wciąż odnawianego warstwami, kradzionego, przywłaszczanego, który chronił przed kaprysmi pogody — palącym słońcem, ulewnym deszczem, wiatrem wiejącym od oceanu w bezksiężycowe noce. Buda była wkomponowana w przyrodę, znajdowała się bowiem na jednym z najwyższych i najbardziej stromych stoków Morro do Babilonia, i gdy jej mieszkańcy odsłaniali po omacku zasłonę ze zniszczonych łachmanów, zastępujących drzwi, przed ich zmrużonymi oczami otwierał się nieludzko wspaniały widok zalanego słońcem oceanu, z żaglówkami i wyspami.

Isabel, która dotarła tutaj, gdy było ciemno, i nie ośmieliła się dotąd wytknąć nosa na światło dzienne, była pod wrażeniem tej mglistej przestrzeni, wciąż nie mając pojęcia, ile osób znajduje się w chacie poza nią samą, Tristao i jego matką. Było tu kilka pomieszczeń, na różnych poziomach; odwiedziła już jedno, które służyło jako łazienka, z uginającą się podłogą ze sklejki nad niespodziewanym uskokiem nagiej pomarańczowej ziemi, gdzie uryna i ekskrementy znikają z pola widzenia, spływając na teren innego lokatora. Głos matki Tristao, niewyraźny i niski, dobiegał nie z odrębnego pomieszczenia, lecz z najciemniejszego i najbardziej osłoniętego przed zjawiskami atmosferycznymi kąta, gdzie podłoga stawała się nierówna, z widocznymi wyrzuszeniami i zapadlinami, przypominającymi te, które światło brzasku żłobi w dalekim łańcuchu górskim.

Isabel dowiedziała się, że jego matka ma na imię Ursula. Ursula Raposo. Kobieta obudziła się, gdy zdyszani wchodzili nocą do chaty. Wspinaczka stromym zboczem Morro do Babilonia trwała długo. Po zalanych światłem księżyca krętych górskich ścieżkach wewnątrz wydawało się ciemno jak w kałamarzu z atramentem. Błysnął płomień zapałki, tak blisko twarzy Isabel, że opalił jej długie rzęsy, po czym został zdmuchnięty. Poczula czyjś oddech cuchnący słodkawo wódką z trzciny cukrowej.

— Ta biała dziewczyna jest czyjaś — odezwał się głos osoby, do której należał nieswieży oddech oraz zapałka.
— Jak ci się udało ją ukraść?

— Nie ukradłem jej, matko. Stryj chciał ją odesłać do ojca. Ona nie chce jechać. Chce być ze mną. Kochamy się. Ma na imię Isabel — szeptał żarliwie Tristao tuż przy uchu Isabel.

W ciemności rozległo się pełne dezaprobaty burknięcie, potem szmer, Isabel poczuła szybki ruch powietrza. Po głośnym plaśnięciu tuż obok swej głowy domyśliła się, że Tristao otrzymał właśnie policzek.

— Masz dla mnie pieniądze?

— Trochę, matko. Wystarczy na *cachaca* przez tydzień.

Usłyszała cichy szelest papierków, po czym słodko-kwaśne opary alkoholu wraz z ciepłem bijącym od czyjegoś ciała oddaliły się, poczuła, że silna dłoń kochanka popycha ją lekko w kierunku, w którym ledwie odważyła się postąpić, albowiem klepisko było nierówne i zaśmieczone, a wokół panowała kompletna ciemność. Coś — skorpiony albo czułki ogromnych wijów — łaskotało ją w kostki, raz uderzyła łokciem w rozwidloną drewnianą podporę, którą Tristao ominął, nie puszczając jej ręki. Wyczuwała w nim napięcie i zakłopotanie z powodu jej obecności w jego domu.

— Tutaj, Isabel — powiedział, popychając ją w ciasny kąt, gdzie goła glina była pokryta szorstkimi workami, wypełnionymi — sądząc po nikłym zapachu — suszonymi kwiatami albo szkielecikami bardzo małych i kruchych martwych stworzonek. Wyciągnąwszy na tym posłaniu swe delikatne ciało i czując się tak bezpieczna przed pościgiem jak nieboszczyk w grobowcu, zakwiliła w oczekiwaniu nadchodzącej rozkoszy.

— Cicho tam — warknęła nagle Ursula. Isabel miała wrażenie, że głos kobiety rozległ się tuż nad jej uchem, mimo że oddalili się od niej spory kawałek w ciemności pełnej ludzkich istot i różnych przedmiotów. Gdzieś obok ktoś zaczął cichutko chrapać, słychać było rytmiczny oddech kilku osób. Matka Tristao zaczęła śpiewać, cicho, nieskładnie, bez przerwy. Melodia wznosiła się i opadała, lecz się nie kończyła. Dźwięk nie był nieprzyjemny, zlewał się ze szmerami dochodzącymi zza niewidocznych ścian chaty, z odgłosem kroków niżej, w *favela*, z nocnym szumem samochodów pędzących po ulicach Rio i z nerwowym, pulsującym rytmem samby płynącym najpierw z jednego kierunku, od strony leżącego w dole miasta, a później z innego, wyżej w górach, jak gdyby nawet anioły czekały z niecierpliwością na karnawał.

Mimo że sytuacja była niebezpieczna i dziwna, Isabel odczuwała przyjemne znużenie, była śpiąca po gorączkowej ucieczce z Ipanemy, ostrym biegu po plaży Copacabana i długiej wspinaczce na *morro*, na którym *favela* zawisła niczym zamrożona lawina w świetle księżyca. Obok niej leżał jej kochanek, napięty i czujny. Podłożył jej pod głowę zamiast poduszki zwinięty łachman cuchnący czymś potem. Przestrzeń zacieśniała się wokół niej, szmerząc krwią i oddechem tej wszechobecnej pijanej matki.

Tristao, spięty i niespokojny, położył między nimi to, co przytaszczył na górę: dwa worki marynarskie zawierające ubrania Isabel i cenne przedmioty, które ukradli z apartamentu stryja Donaciana — srebrną papierošnicę, kryształowe świeczniki, wysadzany szlachetnymi kamieniami krzyż, zrabowany niegdyś z osiemnastowiecznego kościoła w Minas Gerais i sprzedany stryjowi Isabel przez handlarza antyków, oraz spięty gumką zwitek banknotów zawierający dziesięć tysięcy cruzeiros, który znaleźli wetknięty pomiędzy perfumowaną pastelową bielizną — kobiecą bielizną, co odnotował ze zdumieniem Tristao. Gdy teraz zdenerwowany upychał owe worki, ostre krawędzie zdobytego łupu wbiły się w ciało Isabel. Te bolesne dźgnięcia zdawały się mówić jej, że pozostawiła już za sobą okres dziewczęcy, gdy spełniano wszystkie jej zachcianki, i wkroczyła na drogę kobiecości, która naznaczona jest cierpieniem. Matka Tristao, nucała ochrypłym, zapitym głosem swoją mrużankę, próbowała powiedzieć jej to samo. Mimo to nic nie przeszkodziło jej zasnąć w tym ciepłym wnętrzu nędzy, gdy tymczasem mąż Isabel (tak go chyba teraz trzeba nazwać) kręcił się bezsensnie w atramentowej ciemności planując ich przyszłość.

Gdy się obudziła, dzień oznajmił swoje nadejście błękitnymi sztyletami światła w otoczce dymu. Ktoś szykował jedzenie — dziewczynka w wieku dwunastu, może trzynastu lat, kucała przy ognisku, nad którym była umocowana zaimprovizowana płyta kuchenna z okrągłej pokrywy od beczki po oleju. Dla lepszej wentylacji ognisko umieszczono obok zawieszonych szmatą drzwi. Isabel poczuła zapach kawy i *angu*, placków z mąki kukurydzianej, głównie z dodatkiem wody i soli. Obudzili się również inni mieszkańcy rudery. Rozpoznała przysadzistą postać Euclidesa, majaczącą w szarym świetle poranka. Patrzył w jej kierunku, ale chyba jej nie widział. Tristao zaprowadził ją do pomieszczenia, z którego ekskrementy ześlizgiwały się z boczem w dół. Po burzliwej nocy wydawał się szczuplejszy i starszy, przypominał kawałek wędzonego mięsa, jego skóra zmatowiała. Zasmuciło ją, że fakt, iż stała się jego własnością, tak szybko przyczynił mu zmartwienia.

Pomyślała w swej naiwności, że gdyby udało jej się zawrzeć przymierze z jego matką, poprawiłoby to sytuację. Ursula nie wstała jeszcze z łóżka. Obok niej, na wypchanym słomą sienniku, szerokim i brudnym, wydzielającym słodkawy odór, leżał nieduży mężczyzna. Wciąż jeszcze był nieprzytomny, twarz miał przyciśniętą do boku kobiety jak ciemna pijawka. W zmierzwionych włosach przebijała siwizna. Twarz miał częściowo zasłoniętą przez dużą brązową pierś, która wysunęła się z podartej bawełnianej sukni Ursuli. Jej skóra miała mulisty, ciemnobrunatny kolor, prawie bez niebieskawego odcienia, charakterystycznego dla skóry Tristao, który odziedziczył zapewne po swoim nieznanym ojcu. Białka oczu Ursuli położyły i zmatowiały z powodu pijaństwa, brakowało jej kilku zębów.

— Biała dziewczyno, czego tu szukasz? — spytała, widząc Isabel stojącą w nogach łóżka.

— Tristao mnie przyprowadził. Moja rodzina chce nas rozdzielić.

— Mądrzy ludzie. Wam obojgu na mózg padło — powiedziała Ursula, nie odwracając jednak spojrzenia zmełniałych oczu od jasnoskórego i jasnowłosego intruza, próbując zgłębić, jaką korzyść dla siebie mogłaby wyciągnąć z tych odwiedzin.

— Kochamy się — oznajmiła Isabel. — Chcemy pozostać ze sobą na zawsze.

Matka Tristao nie uśmiechnęła się. Jej posępna twarz nabrała jeszcze bardziej gniewnego wyrazu.

— Można mówić o szczęściu, jeśli miłość trwa tyle co pieprzenie — powiedziała. — Ten mój śmieć nie ma prawa pokochać żadnej pieprzonej dziewczyny.

— On jest piękny — powiedziała Isabel matce o jej własnym synu. — Czuję się niepełna, gdy nie ma go przy mnie. Nie mogę jeść, nie mogę spać. Dzisiejszej nocy spałam jak niemowlę. — „Właściwie nie jak niemowlę, lecz jak płód” — pomyślała. — Kocham cię, Ursulo — ośmieliła się wyznać — za to, że wydałaś na świat tak pięknego chłopca... mężczyznę. — Była zdecydowana doprowadzić do tego, by z brunatnej twarzy kobiety zniknął wyraz wrogiej tępoty, by zaakceptowała cud miłości, jaki zdarzył się między Isabel a Tristao.

— *Porra!* — wykrzyknęła wulgarnie Ursula, uśmiechając się jednak. Jak gdyby chcąc stłumić ten uśmiech, ukazujący żalodne braki w uzębieniu, zacisnęła wargi na butelce bez etykiety, rzuconej niedbale obok siennika. Gdy Ursula zamknęła powieki, na jej twarz powróciło piękno, piękno zachodzącego słońca, takie jak u Tristao. Roztyła się i ciało jej zwiotczało, ale głowę, pod gęstwiną splecionych włosów, miała małą, owalną. Jej twarz była poznaczona nieregularnymi bliznami — nie symetrycznymi i pełnymi znaczenia jak u Marii — lecz stanowiącymi świadectwo dawnych ran i cięć, które otrzymywała.

Tristao, nie chcąc uczestniczyć w konfrontacji Ursuli i Isabel, skrył się w części chaty za wspornikiem z chropowatego drewna, który podtrzymywał dach z zachodzących na siebie arkuszy cynkowej blachy i stwarzał namiastkę podziału na pokoje. Teraz jednak zdecydował się podejść do nich.

— Nie zostaniemy tutaj, matko. To zbyt obrzydliwe.

Być może zaniepokojony donośnym męskim głosem, śpiący mężczyzna przekręcił się na plecy, ukazując otwarte zaślinione usta. Wolną ręką Ursula przygarnęła jego głowę z powrotem do piersi, gdzie uspokoił się natychmiast, mlaskając głośno.

— Daj sobie spokój z tymi kazaniami, od których niedobrze mi się robi. Jak myślisz, ile jej bogata rodzina

zapłaci, jeśli ją im oddamy?

— Na pewno kupę forsy — wtrącił Euclides, który rozmawiał z dziewczynką doglądającą ognia, po czym zwrócił się do Isabel: — Gdzie jest twoja przyjaciółka Eudóxia? Odbyliśmy z nią długą ciekawą pogawędkę podczas spaceru po plaży aż do końca posiadłości Leme'ów i z powrotem — na temat katolickiego komunizmu kontra marksizmowi. Doszliśmy do wniosku, że obie teorie są donkiszotowskie.

— Jej rodzice zabrali ją w góry — odpowiedziała Isabel. — To typowa burżujka, śmiała w gębie, ale kompletnie pozbawiona odwagi w życiu.

— Zbytnią odwaga przeradza się w umiłowanie śmierci — rzekł Euclides, mrużąc oczy.

— My się kochamy — mówił dalej Tristao do matki. — Chcę pojechać z nią pociągiem do Sao Paulo i przy pomocy mojego brata Chiquinha znaleźć pracę w fabryce samochodów. Muszę wiedzieć, gdzie go szukać, matko.

Isabel usłyszała wówczas po raz pierwszy o trzecim bracie. Ursula patrzyła na syna z obojętną miną, po czym zmrużyła przebiegle oczy.

— Jeszcze jeden śmieć — powiedziała. — Nigdy nie przysłała do domu ani grosza, a jest teraz bogatym facetem, który majstruje te *fuscas*, którymi wszyscy jeżdżą. Gdyby szaman dał mi właściwy napar, żaden z was nie byłby ciężarem dla matki ziemi.

— Czy ją też karmimy? — spytała dziewczynka przy zaimprovizowanej kuchni. — Na blasze mieści się tylko osiem placków.

— Daj jej mój — powiedział Tristao.

— Nie, nie możesz opaść z sił — zaprotestowała Isabel, chociaż prawdę mówiąc, robiło jej się słabo z głodu. Zawroty głowy, wzmożona praca ślinianek — czy biedacy odczuwają takie sensacje przez cały czas? Policzyła osoby znajdujące się w budzie, było ich sześć, łącznie ze śpiącym wciąż mężczyzną.

Tristao, idąc za spojrzeniem Isabel, odgadł jej myśli.

— Jest jeszcze babcia — wyjaśnił.

Z płataniny dywaników, worków, z ciemnego kąta w drugiej części budy wynurzyła się słodko uśmiechnięta sterta ciemnych szmat i kości. Wychudzona kobieta w podeszłym wieku w turbanie z turkusowej chusty podeszła do nich, szurając nogami i macając sklecone z różnych materiałów ściany. Jej oczy nie miały tęczy; była niewidoma. Skórę miała spękaną jak ziemia po okresie długotrwałej suszy.

— Czy to twoja matka? — spytała Isabel Ursulę. Mimo że kobieta wcale jej nie zachęcała, Isabel odczuwała wewnętrzną potrzebę zbliżenia się do niej jako do ewentualnej instruktorki w nowej sztuce kobiecości.

— Moja matka? Ja nie miałam pieprzonej matki — wymamrotała monotonna. — Stara babka mówi, że jest matką mojej matki, ale kto to udowodni? Mieszka tu, bo nie ma gdzie pójść, wszyscy się tu zwalają, uważają, że zarobi na nich moja dupa. Moja biedna dupa, zdarta przez takich łapserdaków jak ten. — Poruszyła się gniewnie, aż przyklejony do jej boku mężczyzna przewrócił się z powrotem na plecy. Popatrzył na nich przez uchylone powieki, jak jaszczurka, gdy zamierza upolować zdobycz językiem. — Nie ma w kieszeniach nic poza swoimi jajami — powiedziała Ursula do Isabel i dodała, jak gdyby wyczuwając, że dziewczyna czeka na instruktaż: — Zawsze każ im płacić, zanim cię wypierdola, a jeśli od tyłu, niech bulą ekstra, bo to boli.

Isabel doliczyła się siedmiu osób razem z babcią. A więc wciąż zbywa jeden kukurydziany placek. Mogliby podzielić się nim z Tristao. Jej głód był niczym ciało stałe, oglądane przez przejrzysty welon życia toczącego się wokół niej. Ściany budy, pokryte błękitnymi łuskami światła dziennego wydawały się przezroczyste, nasiliły się odgłosy dochodzące z rojnej dzielnicy ruder i hałas ruchu ulicznego w Rio, daleko w dole, poranne słońce paliło coraz mocniej. Z kąta, w którym spała babcia, wyłoniły się dwie kolejne postacie, krępy mężczyzna oraz kobieta, oboje nie pierwszej młodości, ale też nie starzy. Wyszli na dwór, biorąc po drodze po jednym placku z

zaimprovizowanej płyty kuchennej.

Isabel nie mogła się nadziwić, z iloma osobami spała w jednym pomieszczeniu. Ci biedacy na podobieństwo zwierząt nauczyli się maksymalnie wykorzystywać przestrzeń. Cała chata, bo teraz dopiero potrafiła określić jej wymiary, nie była większa od głównej łazienki w apartamencie jej stryja, pozbawiona jednak ogromnej wpuszczonej w podłogę wanny, lawendowego sedesu z wyściełaną deską, idealnie dopasowanego bidetu, dwóch bliźniaczych umywalek przed dużym lustrem, dwóch szafek (jednej służącej jako apteczka i drugiej na kosmetyki, które pozostały po stryjence Lunie), kosza na bieliznę, wieszaków na ręczniki, suszarki na ręczniki, oddzielnej kabiny prysznicowej za szybą z matowego szkła, terakotowej posadzki oraz szafy, w której Maria trzyma stosy złożonych ręczników najrozmaitszych rozmiarów, co Isabel kojarzyło się w dzieciństwie z krętymi schodami. Gdy dorośnie, będzie wchodziła po tych schodach i zostanie panią domu jak stryjenska Luna, tylko będzie miała więcej ręczników, jeszcze bardziej puszystych, i męża przystojniejszego nawet od stryja Donaciana.

V. Świecznik

Zanosiło się na bójkę. Euclides, który na plaży sprawiał wrażenie miłego pyzatego dzieciaka, uparł się, że obecność w ich budzie bogatej białej dziewczyny musi przynieść im jakąś korzyść. Tristao umieścił oba worki marynarskie pod lewą pachą, żeby mieć prawą rękę wolną. Spoczywała na pasku krótkich spodenek, w okolicach żyłki, o której wiedziała Isabel.

— Ona jest moja — mówił Tristao. — Obiecałem, że nie przydarzy jej się nic złego. Sam słyszałeś.

— Słyszałem, ale sam niczego nie obiecywałem. Przyglądałem się tylko, jak popadasz w szaleństwo. Na szczęście dla nas okazała się równie głupia jak ty. List do jej ojca przyniesie nam miliony. Dziesiątki milionów.

— Jeśli spotkam się z jej ojcem, będzie to spotkanie dwóch dżentelmenów, a nie złodzieja i jego ofiary, nie żebraka i księcia.

— Tristao, zawsze byłeś niepoprawnym marzycielem. Zawsze wierzyłeś w duchy, w bajki. Wydaje ci się, że twoje życie to historia, która zostanie opowiedziana w innym świecie. Myślisz, że aniołowie zapisują ją na górze, maczając pióra w płynnym złocie. A naprawdę nie ma nic oprócz brudu, głodu i wreszcie śmierci. Przynajmniej podziel się z rodziną zawartością tych worków.

— Są w nich tylko ubrania mojej kobiety. Isabel jest teraz moją rodziną. Nasza matka wyzywa nas od śmieci i zabiłaby nas w swoim łonie, gdyby tylko umiała. Mimo to nazywam cię bratem, byliśmy współnikami wielu przestępstw, teraz zaś, gdy zdobyłem skarb, chcesz mnie obrabować.

— Chcę tylko, żebyś się ze mną podzielił, ty głupi kutasie. Daj swojej matce dość forsy, żeby mogła wreszcie zamknąć dupę na klucz.

— Żadna forsa nie przyniesie takiego rezultatu, ty nędzny szczurze. Ty mały zezowaty wypierdku. Nasza matka jest kurwą. Kurewstwo jest jedyną rzeczą, którą potrafi, jej szczęściem. — Czując, że Euclides jest tak wściekły, iż za chwilę go zaatakuje, Tristao ośmielił się zerknąć błyskawicznie z ukosa w stronę matki, żeby sprawdzić, czy ją obraził.

— Zabij go — rzuciła w powietrze swym monotonnym, zapijaczonym, wszechobecnym głosem. — Pozabijajcie się nawzajem i wymażcie w ten sposób błędy biednej czarnej kobiety.

— Kim jesteście? — spytał nagle mężczyzna przyklejony do jej boku, budząc się i gapiąc się w sufit. Wyraźnie walczył z potwornym bólem głowy. Zamierzał chyba zadać inne pytanie.

— Czuję w domu kogoś obcego — oznajmiła babcia w staroświeckim języku portugalskim, przywodzącym na myśl kolonialną Bahię, z jego kurtuazyjnymi zwrotami i barbarzyznami.

— Siedem osób, zostało sześć placków — poinformowała dziewczynka stojąca przy blasze.

— Weź mój — powiedziała Ursula do Isabel. — Moje zęby nadają się już tylko do picia.

— Och! — wykrzyknęła zdumiona Isabel. Uprzejmość nakazywałaby odmówić, ale przeważyły silniejsze imperatywy.

— Jak miło z twojej strony. Nie odmówię. Dziękuję, Ursulo, z całego serca. — Pochłonęła w jednej chwili gorący placek kukurydziany. Jedzenie smakowało jej tak bardzo, tak błyskawicznie zjednoczyło się z jej istotą, że ukoilo pałace napięcie, które czuła w całym ciele. Postąpiła kilka kroków naprzód i rozsunęła zamek błyskawiczny w worku, który Tristao trzymał pod pachą. — W podziękę za twoją gościnność, chciałabym również coś ci podarować. — Zdecydowała się błyskawicznie, co ofiaruje Ursuli — jeden z kryształowych świeczników. Zostanie jej jeszcze drugi, jako zobowiązanie, przyrzeczenie. Gdy wyjęła kunsztownie fasetowany przedmiot, padł na niego promień słońca, który przedarł się przez szparę w ścianie i ożywił kryształ kolorami tęczy, po całym pokoju rozpełzły się migotliwe zajączki, posłuszne ruchom jej ręki.

— Ten świecznik pochodzi chyba ze Szwecji, krainy śniegów i lodu. Przyjmij go, proszę, matko, i pozwól, bym cię tak nazywała, albowiem chociaż mnie nie urodziłaś, jesteś matką najdroższego mi człowieka, którego życie splotło się z moim.

Kobieta osunęła się w pijackim otepieniu na łóżko, niezdecydowana, jej zmętniałe oczy poraził blask kosztownego przedmiotu.

— Gównu — powiedziała w końcu. — Sprzedamy to, a szpicle nas wysłedzą i wsadzą wszystkich do kryminału. Ta dziewczyna próbuje zabić matkę swojego chłopaka.

— Zanieście to do sklepu Apollonia de Todi w Ipanemie — poradziła Isabel. — Da wam za to godziwą cenę i zatrzyma do wykupu. Wspomnijcie nazwisko Leme.

— Babciu, węszysz w tym pułapkę? — spytał Euclides starą ślepą prorokinię, po czym rzekł do reszty: — Moim zdaniem, duma i zarozumiałstwo mojego brata sprowadzą kłopoty na tych, którzy chcą żyć skromnie i nie rzucać się w oczy tym, którzy mają władzę, kradnąc i kurwiąc się nie bardziej niż trzeba, by przeżyć.

Tristao bez mrugnięcia okiem wyjął zyletkę i przyłożył ją do ziemistego, puciołowatego policzka brata.

— Zaslługujesz na drugą twarz — powiedział — za oplucie hojnego daru mojej żony.

W Brazylii przyjęto nazywać parę „mężem” i „żoną” nie po szytywnej, uświęconej prawem ceremonii, lecz zaślubioną w sercu. To uroczyste przekonanie zagościło w sercach Tristao i Isabel po jednej nocy, którą spędzili razem w kompletnej ciemności rudery Ursuli.

— Nie jesteśmy przyzwyczajeni do takich prezentów — rzekł ostrożnie Euclides, nie poruszając głową. — Dzikusi tacy jak my są na ogół pozbawieni burżujskiego poczucia winy. Marks twierdzi, że mdła filantropia jest gorsza od śmiałej, zdrowej tyranii, która przynajmniej uświadamia klasie pracującej, że wojna trwa. Wybacz nam, Isabel, jeśli byliśmy niegrzeczni.

— Udawaj, że ukradłeś ten świecznik — rzuciła lekko Isabel — jeśli mniej na tym ucierpi twój honor. — Zdawała sobie sprawę z rywalizacji istniejącej między przyrodniemi braćmi oraz zazdrości, której powodem była właśnie ona, Isabel, częściowo dlatego, że Eudóxia uciekła temu krótkowzrocznemu, filozoficznemu dziecku nędzy i braterska więź została zerwana. — Euclidesie, wybacz mi, że zabieram ci Tristao.

Na plaży wydajemy się wszyscy wolni, nadzy, leniwi i doskonali, ale w rzeczywistości nikt nie jest wolny od kostiumu okoliczności; wszyscy jesteśmy gałązkami tego czy innego krzewu i zyskanie żony oznacza utratę brata.

— Uściśnijcie się — powiedziała do braci, po czym ponagliła swego kochanka: — Musimy iść. Zatrzymaj mój prezent, jeśli tak wolisz — zwróciła się następnie do Ursuli — i zapal świecę na nasz powrót którejs ciemnej nocy.

— Za dużo cholernego kurewstwa w Brazylii — wymamrotała Ursula, jak gdyby dla usprawiedliwienia ich nędzy i haniebnej gotowości, by przyjąć zapłatę za gościnność.

Nikt nie miał nic przeciwko temu, żeby para opuściła rudere, mimo że babcia, zirytowana, że ją ignorują, wystąpiła z ponurą przepowiednią.

— Pech, pech — zaskrzeczała. — Czuję zbliżające się nieszczęście. Pachnie kwiatami, lasem. Stary las powraca, żeby pożreć wszystkich biedaków! *Oxald*, miej litość!

Na zewnątrz, na chropowatej ławce ustawionej na ubitej ziemi, pomiędzy mlecznymi strużkami nieczystości, opalała się krepą para. Tristao przedstawił ich jako swoich kuzynów, którzy w sławnych czasach Kubitschka odbywali na scenie jednego z *boites* w dzielnicy Łapa, nieopodal starego akweduktu, stosunek płciowy. Dwukrotnie podczas zwykłego wieczoru i trzykrotnie podczas sobotnich i niedzielnych wieczorów osiągnęli orgazm na rześkości oświetlonej scenie przed szydzącą, przeszkadzającą im publicznością. Nagle okazało się, że są zbyt starzy, żeby stanowić atrakcję dla innych, i obecnie czekali w ruderze na odmianę losu. Oboje mieli miłe, pomarszczone, prymitywne twarze jak sprzedawcy warzyw na rynku, pełne wyczekiwania i przyjazne, ale nie natrętne. Isabel przebiegł dreszcz, gdy zadała sobie pytanie, czy ona i Tristao skończą podobnie, czy całe to seksualne uniesienie nie rozplynie się niczym krople deszczu w pyle morskiej wody. Gdy trzymając się za ręce, schodzili z boczem w dół, mieli przed oczyma bezkresny ocean — pancerz błyszczącego metalu — i słyszeli zewsząd kusicielskie trajkotanie telewizorów piracko podłączonych do prądu.

VI. Sao Paulo

Wsiadł do pociągu do Sao Paulo. Jechał na południowy zachód wzdłuż wybrzeża Atlantyku. Ze spłowiątych pluszowych siedzeń unosił się kurz, widoczny w promieniach słońca wpadających przez brudne szyby, gdy pociąg skręcał. Isabel miała na głowie swój czarny słomkowy kapelusz, a na palcu pierścienek z napisem DAR, prezent od Tristao. Po lewej stronie z okien pociągu rozciągał się widok na nieduże rybackie wioski z domkami krytymi czerwoną dachówką, stare stożkowe młyny do mielenia trzciny cukrowej, kołyszące się palmy, lśniące w słońcu sierpowate białe plaże, jak gdyby wyostrzone nieustannym, rytmicznym naporem migotliwego błękitnego morza. Po prawej stronie wznosiły się zwieńczone zielenią masywy skalne, pionowe ściany granitu. Większą część powierzchni Brazylii zajmuje rozległy, lekko górzysty płaskowyż. Nadbrzeżne góry są jak gdyby nogami tego wielkiego stołu. Gdy pociąg, pełnząc mozolnie pod górę Serra do Mar i zatrzymując się cierpliwie na stacjach, na których nikt nie wsiadał ani nie wysiadał, uwoził Tristao i Isabel w ich przyszłość, kochankowie drzemali, przytuleni do siebie głowami, splótnięty na podołku odrętwiałe palce.

Gdy się budzili, rozmawiali o sobie. Wciąż jeszcze musieli się tyle o sobie nauczyć, dowiedzieć.

— Pokochałam twoją matkę — powiedziała Isabel — mimo iż nie zrobiła prawie nic, żeby mnie zachęcić.

Tristao uwielbiał sposób, w jaki Isabel czyniła uwagi, które miały sprowokować reakcję, na jej twarzy malowało się wówczas ogromne napięcie, wydawało się, że wystarczy jedna kropla, by przepęlić czarę. W takich chwilach sznurowała lekko usta, aż nad jej górną wargą pojawiały się drobniutkie zmarszczki pod niemal niewidocznym puszkiem.

— Zachowałeś się bardzo ładnie, ale ona nie zasługuje na twój ani mój szacunek. Jest bardziej obrzydliwa od zwierzęcia, ponieważ zwierzę ma przynajmniej instynkt macierzyński. Ptaki wysiadują jaja i karmią swoje młode, ale moja matka nie ma dla mnie więcej uczucia niż dla kupki własnego gówna.

— Czy nie odniosłeś wrażenia, że mnie polubiła? Czy nie zauważyłeś, że walczyła ze łzami, gdy podarowałam jej świecznik?

— Nie, nie zauważyłem, ale w chacie jest bardzo słabe światło.

— Kim była dziewczynka przy kuchni?

— Chyba moją siostrą.

— Nie wiesz?

— Zjawiała się pewnego dnia.

— Czy spałeś z nią kiedyś?

— Nie pamiętam. Odkąd spotkałem cię na plaży, nie czułem niczego głębokiego do żadnej kobiety.

— Kłamiesz, Tristao. Myślę, że z nią spałeś. To dlatego nie chciała dać mi nic do jedzenia. Kiedy miałeś swoją pierwszą dziewczynę?

— To była kobieta, kobieta, która wydawała mi się stara, koleżanka po fachu mojej matki. Zmusiła mnie, żebym wziął ją od przodu i od tyłu. Miałem wtedy jedenaście lat. To było obrzydliwe, przerażające. Matka przyglądała się wszystkiemu.

— A potem? Potem były inne, mniej odrażające?

Nie chciał ciągnąć dalej tego tematu, w końcu jednak przyznał:

— Dziewczęta z *favela* są łatwe. Wiedzą, że ich życie będzie trwało krótko, dlatego są hojne i lekkomyślne.

— Czy kiedykolwiek... kochałeś jakąś szczególnie?

Pomyślał o Esmeraldzie, jej bujnych włosach, jej szczupłych ciemnych nogach, o jej pierwiastku szaleństwa, jak u szczeniaka zbyt głupiego, żeby go można czegokolwiek nauczyć, i pragnął ukryć ją w zakamarkach pamięci, czując się z tego powodu winny. Isabel wyczuła, że nie mówi jej wszystkiego i zraniło ją to, toteż w rewanżu zwierzyła mu się ze swych marzeń osiemnastolatki na temat chłopców, synów przyjaciół stryja Donaciana i stryjenki Luny, chłopców, którzy przemykali przez jadalnię albo kąpali się w basenie podczas upalnych styczniowych wakacji w Petrópolis. Tristao zasnął, słuchając jej paplaniny, objawszy kolana długimi palcami o srebrzystym odcieniu. Za oknami przesuwwały się całe połacie ziemi, porośnięte drzewami kawowymi o jaskrawozielonych liściach.

Gdy przybyli na dworzec Estacao da Luz w Sao Paulo, rozszalała się burza, ulice były zalane wodą, szczyty najwyższych budynków tonęły w chmurach. Ludzie przebiegali od bramy do bramy, trzymając nad głowami gazety, które szarpał wiatr, kryli się pod sklepionymi przejściami stacji, tłoczyli się, wydzielając zapach wilgoci. W architekturze stacji przeważały konstrukcje żelazne, koronkowe balkony i wiktoriańskie dźwigary. Natychmiast odczuli, że Sao Paulo nie ma granic, nie jest ściśnięte między morzem a górami jak Rio, ale stanowi część rozległego *planalto* z leżącym na jego krawędzi portem. Bydło i kawa z głębi kraju przepływały przez to miejsce i przyczyniały się do jego rozwoju, bogactwa i obojętności.

Gdy deszcz przestał padać i słabe promienie słońca przedarły się przez chmury, złocąc kałuże i pełne wody rynsztoki oraz zielone budki telefoniczne i kioski z gazetami, gdzie egzemplarze „O Globo” i „Folba de Sao Paulo” wisały przypięte klamerkami do sznurów niczym susząca się bielizna, Isabel i Tristao znaleźli taksówkę i pojechali do jedynego hotelu, który Isabel знаła, „Othon Palace”. Dziesięć lat temu spędziła w nim weekend z ojcem. Matka już wtedy nie żyła i towarzyszyła im wysoka kobieta, która zachowywała się zbyt serdecznie wobec dziewczynki. Kupowała jej cukierki, błyskotki i obdarzała ją uściskami niczym aktorka próbująca roli matki, ale zbyt olśniewająca i zbyt młoda do tej roli. Teraz, w tym samym hotelu, Isabel okazała się zbyt młoda do roli, którą chciała zagrać, czyli roli żony. Recepcjonista, szczupły młody mężczyzna o czerwonych uszach i przylizanych włosach z przedziałkiem pośrodku głowy zmierzył spojrzeniem najpierw ją, a następnie Tristao, który miał na sobie niebieską bawełnianą koszulę — najlepszą w jego dobytku — oraz spłowiałe szorty odsłaniające długie czarne nogi, po czym oznajmił, że nie mają wolnych pokoi. Isabel, z trudem powstrzymując łzy napływające jej do oczu, spytała, dokąd wobec tego mogliby pójść. Recepcjonista był dla niej miły, próbował powściągnąć zawodową wyniosłość; przypominał Isabel niektórych jej kuzynów. Rzucając na boki spojrzenia jasnoniebieskich oczu — okolonych niemal białymi rzęsami, jak u świni — by upewnić się, że nikt go nie obserwuje, naskrobał na kartce papieru listowego z nadrukiem „Othon Palace” nazwę „Hotel Amour” oraz adres, po czym wyjaśnił, jak się tam dostać: przez Viaduto do Cha do Avenida Ipiranga, potem trzymać się prawej strony, następnie czeka ich kilka skomplikowanych zakrętów. Doradził, żeby szli szybko i nie rozmawiali z obcymi.

Neon z nazwą hotelu migotał w zapadającym zmierzchu. Nazwa była wykaligrafowana starannym pochyłym pismem, jakiego zakonnice próbowały kiedyś nauczyć Isabel. Ale ona uparcie stawiała proste okrągłe litery. Hotel był dawną rezydencją plantatora kawy, obecnie zaś przestronne, sklepione pokoje zostały podzielone i wyposażone w tanie meble z lat pięćdziesiątych. Zwykle podwyższenie służyło za łóżko, na ścianach wisały zdjęcia łobuziaków o figlarnych wielkich oczach, ale gdy przekreśliło się kontakt, wiatrak zawieszony na pręcie u sufitu meł leniwie powietrze czterema skrzydłami. Poza tym w pokoju znajdowało się kilka luster w złożonych ramach oraz kufer i ozdobna szafa z ciemnego, pachnącego słodkawo drewna. Isabel czuła się jak światowa kobieta, rozpakowując ubrania i układając je w szufladach, upozowując się na kanapie i dzwoniąc po służbę hotelową, by zamówić rozkazującym tonem jedzenie i napoje. Recepcjonista, gruby pół Włoch, pół

Brazyliczyk, w koszuli bez kołnierzyka, nie zawahał się wynająć im pokoju, natomiast chłopak hotelowy, Mulat, który zaniósł im do pokoju worek marynarski i mały plecak, kiwał dłonią dopóty, dopóki nie dostał większego napiwku. Gdy zamknął za sobą drzwi, słychać było, jak splunął głośno na podłogę. Jednakże z upływem czasu obsługa hotelowa polubiła ich; niewielu gości zatrzymywało się tu na dłużej niż na kilka godzin. Przy hotelu znajdował się niewielki dziedziniec, gdzie zaniedbany krzew bugenwilli rozrósł się do olbrzymich rozmiarów. Gdy wracali w południe z zakupów, pili kawę w jego cieniu, na zniszczonej drewnianej ławce, na której zapewne zwykł kiedyś odpoczywać plantator z żoną.

Zwitek banknotów zmniejszał się coraz bardziej i pomyśleli, że postąpią najroztropniej, czym prędzej wydając resztę pieniędzy. Wybrali się razem na Avenida Paulista i Rua Augusta, żeby kupić sobie ubrania odpowiednie do miejskiego życia. Jadali w restauracjach, gdzie eleganckie kobiety siedziały parami przy małych stolikach i popijały koktajle ze smukłych kieliszków, starając się nie stracić nosem plasterków owoców zdobiących ich brzegi. Pod okrągłymi białymi stolikami szeleściły ich jedwabne rajstopy na nogach, wyeksponowanych niemal do bioder dzięki minispódniczkom, które właśnie weszły w modę. Wokół wznosiły się wysokie budynki Sao Paulo z betonu i szkła, demonstrujące cud gospodarczy rządu generałów. Po zjedzeniu śniadania oraz po porannej porcji miłości i wspólnym prysznicu, który często kończył się tym, że znowu się kochali, Isabel i Tristao wychodzili na mały balkon, doznając zawrotu głowy z powodu wysokości, skrzęcej się mozaiki ulicznego hałasu i mrowia betonowych budynków, wciąż jeszcze pocętkowanych kroplami wody po nocnym deszczu. Anonimowy ogrom Sao Paulo wydawał im się nadzieją, mieli wrażenie, że nieskładnie oklaskuje ich oczarowana publiczność. Isabel czuła w sobie nowe, operatywne, rozbuchane kobiece „ja”.

Służąc Tristao pieniędzmi ukradzionymi stryjowi, Isabel obsesyjnie pragnęła zadowalać go fizycznie. Jego członek, taki nieduży w stanie spoczynku, maleństwo w czepku napletka, przerażał ją, gdy stawał się sztywną i grubą bulwą ignamu z lawendową gałką i nabrzmiałymi fioletowoczarnymi żyłami. Ujarzmi tego potwora swoim delikatnym białym ciałem. Najwyższa rozkosz, którą mu da, będzie miernikiem jej kobiecości. Oglądali filmy pornograficzne na płatnym kanale hotelowym i Isabel pilnie naśladowała tamte kobiety. O ustach wiedziała przedtem, nie mogła jednak z początku uwierzyć, że kobiece pośladki mogą być wykorzystane w taki sposób, jak widziała na filmie. „Jeśli od tyłu, niech bulą ekstra” — powiedziała jej Ursula. Tristao uważał ten sposób za obrzydliwy, ona jednak się uparła. Po chwili, tak, poczuła coś jeszcze poza bólem, wewnętrzne światło. To również było częścią jej istnienia, zbadanie granicy. Uległość była ciemnością, z której wyłaniała się na nowo, oczyszczona.

— Jestem twoją niewolnicą — powiedziała swemu kochankowi. — Wykorzystaj mnie. Wysmagaj mnie batem, jeśli sprawi ci to przyjemność. Spuść mi lanie. Tylko nie powybijaj mi zębów.

— Najdroższa, proszę — uśmiechnął się niemądrze Tristao. Nabral trochę ciała, jego gesty stały się zniewieściałe. Nosił pizamy z wzorzystego jedwabiu, kupione w sklepie „Krishna” w Consolacao. — Nie odczuwam pragnienia, by sprawiać ci ból. Mężczyźni, którzy biją kobiety, są zbytnimi tchórzami, by stawić czoło innym mężczyznom.

— Skrepuj mnie. Zawiąż mi oczy. Najpierw dotykaj mnie lekko, lekko, a potem bądź brutalny. Pragnę świata, w którym istniejesz tylko ty, wokół mnie, niczym powietrza, którym stale oddycham.

— Kochanie, doprawdy — rzekł ze zniecierpliwieniem jej rycerz, przyjmujący z niechęcią wszystkie seksualne usługi, które mu świadczyła. Zmuszała go, by brał ją od tyłu, lizała mu odbyt, połykała spermę. Po obejrzeniu kilku scen na filmie doszła do wniosku, że Tristao dozna największej satysfakcji, gdy będzie miał ją jednocześnie wraz z innym mężczyzną, tak że obaj będą komunikować się przez jej ciało. Wybrała brązowego chłopaka hotelowego o szerokiej twarzy, tego, który splunął w korytarzu. Przypominał jej Euclidesa. Jego duże oczy w kształcie migdałów spotykały nieśmiało, na pół sekundy, jej wzrok za każdym razem, gdy przechodziła przez hol. Opisała mu, o co jej chodzi, czerwieniąc się przy tym jak piwonia, i przekupiła go pewną sumką ze zmniejszającego się pliku cruzeiros. Tristao był zbulwersowany, gdy przedstawiła mu swój plan na pięć minut przed przyjściem zmieszanego chłopca, który stanął w drzwiach ubrany nie w swoją liberię, lecz w nieskazitelną czystą koszulę i spodnie ze sztucznego włókna.

Isabel obawiała się, że Tristao wyrzuci chłopca, on jednak, posłuszny jej we wszystkim, zgodził się na odegranie tej osobliwej sceny i wziął w niej czynny udział. W lustrach ustawionych dookoła na podłodze Isabel widziała swoje białe ciało pomiędzy czarnym i brązowym, niczym most przyjmujący ruch w dwóch kierunkach. Ale nawet w technicznie zwycięskiej chwili podwójnego orgazmu, gdy czuła w pochwie pulsowanie obcego, a Tristao eksplodował prosto w jej usta, czuła, że eksperyment był błędem. Pewne granice nie są wyłącznie jej granicami. Chłopak, trochę zawstydzony a trochę dumny, czekał przez niezręczną chwilę, może na napiwek, a

może na ponowne zaproszenie, po czym wyszedł, wyczuwając groźbę we wzroku Tristao. Był jej pierwszym innym mężczyzną.

Po scenie, którą zaaranżowała, Tristao był niesłychanie wyniosły i ani łzami, ani gorączkowymi przeprosinami nie udawało jej się zburzyć muru, który wzniósł wokół siebie. Za oknami noc spowiła mrokiem niezliczone budynki Sao Paulo i tylko gdzieś tam widać było blade światła, jak gdyby w tamtych pokojach również klóciły się i zamartwiały podobne im pary.

— Zbrukałaś mnie — powiedział. — Nigdy nie odgrywałabyś dziwki wobec męża, który pochodziłby z twojego środowiska. Myślisz, że skoro jestem czarny i wychowałem się w *favela*, nie mam poczucia wstydu, nie jestem człowiekiem cywilizowanym.

— Próbowałam cię zadowolić — łkała Isabel. — Widziałam w telewizji, co lubią mężczyźni. Chciałam wzbogacić naszą miłość przez obecność świadka. Czy sądzisz, że nie czułam się poniżona? To było okropne przeżycie mieć go w sobie, ale twoja rozkosz jest moją rozkoszą, Tristao.

— Moja rozkosz była minimalna — rzekł lodowato Tristao, który siedział wsparty na wszystkich poduszkach, swoich i jej. Miał na sobie tylko spodnie od jedwabnej piżamy, przypominał nałożnicę w szarawarach w haremie. — To tobie sprawiało przyjemność, że zachowujesz się jak dziwka. Taplasz się w ciepłym gównie, *porra*, z obu stron.

— *Sim! Sim!* — wykrzyknęła, padając jak długa na łóżko obok niego. Okazała najwyższe samozaparcie, nie prosząc go nawet o skrawek poduszki, by mogła oprzeć głowę, lecz leżąc płasko niczym nieboszczyk na katafalku. — Jestem dziwką, gorszą od twojej matki, którą tłumaczy przynajmniej nędza.

— To mnie traktujesz jak gówno z powodu koloru mojej skóry. Tak jak ten mydłek w „Othon Palace”. Uważasz, że pochodzę z dołów społecznych, gdzie nigdy nie dotarły żadne moralne zasady ani poczucie honoru. Ale nadzieja na nie istnieje wszędzie — przynoszą ją duchy. Wszyscy dobrze wiemy, co to jest honor, przyzwoitość, normy, chociaż nigdy się z nimi nie stykamy.

— Pozwól mi lizać wszędzie twoje anielskie ciało. Powiedz, co mam zrobić, nie żebym — o to nie ośmielę się nawet prosić — odzyskała twoją miłość, ale żebyś pozwolił mi dalej sobie służyć, być twoją niewolnicą. — Uniosła się nieco na łóżku i zaczęła drażnić językiem jego brodawkę, która natychmiast stwardniała mimo jego wyniosłej wściekłości.

— Jesteśmy na siebie skazani — powiedział, jak gdyby wygłaszając wyrok śmierci na samego siebie, i uderzył ją pięścią w twarz, strącając ją z piersi. — Oddałaś temu prostakowi swoją piczkę — co będzie, jeśli zaszała w ciążę?

— Nie sądzę. Chciałam go tam, gdzie nie mogłam go widzieć, a ciebie tam, gdzie mogłam widzieć i smakować wszystko.

— W takim razie spróbuj tego — powiedział i znów ją uderzył, tym razem otwartą dłonią, żeby nie zostawić śladu, w odróżnieniu od kobiet, do których policzków przykładał swoją zyletkę. Jak niegdyś obiecał, nie zamierzał wyrządzić jej krzywdy. Tej nocy zbił ją, ale ostrożnie, po ramionach i pośladkach, a potem znów kochał się z nią, gdy przylgnęła do jego twardego członka, któremu wrócił męski wigor.

— Jeśli popełniłam błąd — ośmieliła się w końcu powiedzieć podczas tej długiej nocy ich dalszego poznawania siebie nawzajem — to wyłącznie z miłości do ciebie, Tristao. Nie potrafię być samolubna.

Parsknął w ciemności, wstrząsając głową Isabel spoczywającą na jego piersi.

— Dla mężczyzny bezinteresowność to znaczy kochać, zrezygnować z obrony w wojnie przeciwko wszystkiemu — powiedział. — Miłość kobiety jest samolubna. Miłość leży w jej naturze, dawanie i branie oznacza dla niej to samo, podobnie jak dla mężczyzny początek i koniec pieprzenia. Kobieta musi kochać, tak jak mężczyzna musi nienawidzić.

Pokorna, Ignęła do niego w mroku wysokiego pokoju hotelowego, który rozjaśniały jedynie światła Sao Paulo oraz ekran telewizora, jarzący się nawet po wyłączeniu, stłuczenia na całym ciele piekły ją niczym pocałunki bestii o gorących wargach. Boże, pomyślała, czy to może być prawda, że to wypływanie miłości każdym porem

niczym mleko jest porównywalne z rozkoszą mężczyzny podczas ejakulacji, z jego krótkim i lepkiem wytryskiem, który sprawia, że jęczy jak ranne zwierzę? Jest krótka i dojmująca w porównaniu z niepowstrzymanym wypływem kobiety. To dawanie siebie, to promieniowanie, te opary miłości, wydobywające się z jej jeziora, są również zmysłowym pokarmem, ponieważ miłość wchłania w siebie wszystkie cząstki ukochanej osoby, tak jak legendarni kanibale z dorzecza Amazonki pożerają nawzajem swoje mózgi. Samo wymawianie jego imienia głosem, który pod koniec stawał się głęboko nosowy, sprawiało Isabel zmysłową przyjemność. Tej długiej nocy, podczas której prawie nie zmrużyła oka, kilkakrotnie wrywana ze snu przez budzącą się na nowo wściekłą jurność Tristao, pompującego swoją spermę, żeby ściągać i zabić spermę drugiego mężczyzny, nauczyła się — z radosną zachłannością, z jaką młodzi kochankowie przyswajają sobie lekcje — jednego: łagodny płomień, który w nim rozniecił i który oświetlał jej twarz oraz imię nawet w jego śnie, nie może zostać zdmuchnięty, nie może nawet zadrzeć tak jak płomień wotywniej świecy, gdy ktoś otworzy drzwi kościoła w drugim końcu głównej nawy, bez względu na to, jakie wydarzenia zaskoczyłyby jej sprężyste, giętkie ciało. Pewnego dnia, wkrótce, on sam — przewidziała w duchu — proponuje, żeby znowu zaprosiła do ich pokoju chłopaka hotelowego.

VII. Chiquinho

Tristao zaczął miewać mdłości, jak gdyby żywił się wyłącznie słodczymi. Byłby zadowolony, gdyby wydali do końca resztę cruzeiros i zostali rzućeni razem z Isabel na pastwę świata, a on mógłby być jej obrońcą. Przygotowując się do tego dnia, nasilił poszukiwania swojego brata Chiquinha. Nie dostał jego adresu, a miasto było wielkim labiryntem, bez oceanu ani gór jako punktów orientacyjnych. Ogromne dzielnice zamieszkiwali tylko Japończycy, inne — Włosi; były nawet dzielnice żydowskie i arabskie z napisami w nie dającym się odczytać alfabecie. Było tu mniej czarnych niż w Rio i klimat był ostrzejszy, nie złagodzony wpływem morza. Gwałtowne burze i wiatry atakowały ziemię od strony oceanu w kierunku zachodnim. Tristao nie czuł się już jak wędrowny łupieżca na własnym terytorium, mimo że używając swojej żyletki, obrabował kilkoro starszych białych ludzi, żeby nie wyjść z wprawy. Czuł się niezdarny, nieśmiały, jak potencjalna ofiara potężnych zgromadzonych tu sił.

Ludzie nie spędzali tutaj całego dnia na plaży tak jak w Rio, lecz krzątali się zaradnie, prawie jak Europejczycy, sprzedając sobie nawzajem różne rzeczy, zawierając rozmaite transakcje z takim podnieceniem, z jakim mieszkańcy Rio nawiązywali romanse — mężczyźni w ciemnych garniturach maszerowali obok siebie po trzech i czterech, gestykulując i pokrzykując z rozpiekającej ich miłości do siebie nawzajem i do interesów oraz pieniędzy. Tylko tu i ówdzie można było zauważyć przejawy prawdziwego życia miasta — prostytutki o obojętnych twarzach i długich nogach przechadzały się Rua dos Andradas, wosk kapał ze świec na stopy wielkiego posągu zwanego Afrykańską Matką, znajdującego się w pobliżu Viaduto do Cha — życia pełnego ekstazy i fantazji, które toczyło się pod powierzchnią gorączkowych interesów. Tristao kupił mapy Sao Paulo, ale nie mógł sobie poradzić; trasy autobusów wily się niczym dręczone węże i kiedy wysiadł, chory od ciągłych zakrętów i kołysania, skierował się na południe zamiast na północ. Mimo to, zostawiając Isabel odsypiającą nocną miłość lub pogrążoną w lekturze jakiegoś romansu, przyszukiwał przemysłowe dzielnice — nie kończące się, stłoczone domki, nieco większe od ruder w Rio, zbudowane z trwalszych materiałów, ponure budynki fabryk, w których powinna wrzeć praca, często jednak puste i nieczynne, jak gdyby praca dostosowała się do rytmu pogody i susza była czymś znacznie pospolitszym od powodzi. Spoza zamkniętych ścian dobiegał huk maszyn szyjących, ucierających, mieszających, sprężających, kapslujących. Pomiedzy budynkami — były one rozmieszczone nieregularnie, a niektóre okna ciemniały w nich niczym miejsca po brakujących zębach — znajdowały się zardzewiałe tory kolejowe, po których nie jeździły żadne pociągi, i ogrodzone place, na których powoli niszczały tajemnicze sterty betonowych bloków oraz drewnianych skrzynek, skazane na kaprysy pogody. W różnych zakątkach miasta uporczywie trzymały się przy życiu małe centra. Mieściły się tam *mercearias* i bary, zakłady fryzjerskie, okuliści, wróżki, punkty naprawy obuwia, odwiedzane przez nielicznych klientów, którzy w porównaniu z biedotą w Rio wydali się Tristao zniechęceni i brudni, bezbarwnie ubrani i ponurzy — proletariat. Zatrzymywał niektórych z tych ludzi i pytał, czy nie znają przypadkiem mężczyzny o imieniu Chiquinho. Nikt z nich go nie znał, sztydził Tristao, że ma nadzieję, iż uda mu się znaleźć kogoś w molochu, jakim jest Sao Paulo, największe miasto w Ameryce Południowej, znając jedynie jego imię. Chiquinho Raposo, określił bliżej, ale oni wciąż się śmiali. Mieszkają tutaj setki Raposów. Nie ufali mu, Murzynowi w eleganckim ubraniu, z akcentem typowym dla mieszkańca Rio.

Jego starszy brat opuścił *favela*, gdy miał jedenaście, może dwanaście lat, a Tristao nie miał nawet sześciu. Tristao zapamiętał tylko smutne, jasne oczy i niepokojąco chudą szyję. Chiquinho poruszał się zarówno w cieniu, jak i w jasnym świetle słonecznym ich egzystencji z lekkim roztargnieniem. Był sztywny, chude ręce zwisały mu niezdarnie po obu bokach. Bez wątplenia musiał się zmienić nie do poznania przez trzynaście lat.

W rzeczywistości niewiele się zmienił. Pewnego dnia Tristao poznał go bez najmniejszej trudności na szerokim chodniku przed hotelem.

— Bracie — powiedział do niego bez uśmiechu wysoki chudy mężczyzna. Sprawiał wrażenie, że czeka na niego.

Chiquinho, którego skóra miała matowobrazowy kolor terakoty, był zdecydowanie jaśniejszy od swego brata. Jego ojciec musiał być biały, a raczej szary, odziedziczone po nim oczy koloru aluminium spoglądały spod zmrużonych powiek. W czasie gdy się nie widzieli, Chiquinho wkroczył w wiek męski; gdy mrużył oczy albo się krzywił, na jego twarzy ukazywały się drobne zmarszczki. Miał zmarszczki nawet na cienkiej szyi, wyglądającej niczym wykręcona szmata.

— Och, szukałem cię jak szalony — powiedział Tristao po ich *abrap*.

— Wiem, mówiono mi o tym — odrzekł Chiquinho. — Ale nigdy nie byłem tam, gdzie o mnie pytałeś. To cud, że spotkaliśmy się w takiej metropolii, do której codziennie zjeżdżają setki ludzi. — Mówił z rozwąga, ale niezbyt miło, jego usta poruszały się, gdy tymczasem szare oczy nie zmieniały wyrazu.

— Chiquinho, nie jestem sam. Mam teraz żonę, *companheira*, i muszę znaleźć pracę w fabryce samochodów.

— Już tam nie pracuję. Przeniosłem się do firmy elektronicznej, ale jestem zbyt słabo wykształcony, żeby być tam kimś, toteż utknąłem na najniższym szczeblu, jestem sprzątaczem, pucuję zakład do połysku. W produkowanym przez nas skomplikowanym urządzeniu, w którym przeskakujące elektrony w ułamku sekundy rozwiązują wszystkie problemy matematyczne, pyłek kurzu jest tym samym, czym kamień w silniku samochodu. Dzięki świątłej kapitalistycznej polityce, która wyparła niebezpieczne socjalistyczne eksperymenty Quadrosa i Goularta, mam zaszczyt kierować zespołem sprzątaczy, a wieczorem próbuję zgłębić na kursach tajemnice nowoczesnej techniki. Czemu jednak mówisz o pracy? Jesteś ubrany jak bogaty człowiek. Mieszkasz od wielu dni w tym hotelu, w którym pokoje wynajmowane są na godziny.

— Ukradliśmy z żoną trochę pieniędzy, ale już nam się kończą. Pożarła je inflacja i nasz tryb życia, w którym nie stroniliśmy od przyjemności. Chodź, musisz ją poznać; jest piękna i niezwykle, wprost anielsko mi oddana. Nazywa się Isabel Leme.

Chiquinho zaczął machać rękami, pokazując na swoją zniszczoną koszulę. Była biała, z krótkimi rękawami, taka jak noszą inżynierowie, nawet z plastikową plakietką na kieszeni, tyle że nie trzymał w niej długopisów, a spiczasty kołnierzyk był wystrzępiony.

— Wstydzę się spotkać z nią ubrany w ten sposób. Musicie przyjść do nas. Ja również mam żonę. Ma na imię Polidora. Proszę, oto mój adres, Tristao. Na naszej ulicy doprowadzono już elektryczność, a miasto obiecuje kanalizację. Dojedziecie autobusem do Belem, a potem pójdziecie pieszo na południe do Moóca, zaraz pokażę ci drogę. — Wyjął szybko plan i umówił się z bratem na następny wieczór, dodając: — Można znaleźć pracę w Sao Paulo, ale przyjeżdża też masa ludzi z *nordeste*, którzy doprowadzają do obniżenia zarobków i myślą wyłącznie o tym, by poderznąć gardła tym, którzy im zagrażają, to dla nich bułka z masłem. Ale popytam, przez wzgląd na naszą rodzinę. Jak się wiedzie naszej błogosławionej matce?

— Żyje tak jak kiedyś, przeklinając wszystko.

Chiquinho uśmiechnął się lekko i skinął głową. Z jego aluminiowoszarych oczu Tristao wyczytał, że informacja nie była dla brata nowością i że zadał on pytanie z formalnej uprzejmości. Przy rozstaniu Chiquinho podkreślił:

— Polidora i ja będziemy czekać na was oboje. Przyjdź koniecznie z żoną.

Było to raczej osobliwe, że tak szczęśliwie spotkali się dwaj bracia w Campos Eliseos, dzielnicy, do której Chiquinho zaglądał raczej rzadko. Mimo to Tristao przyjął z wdzięcznością zaproszenie i wrócił do hotelu, aby powiedzieć Isabel, że zaczyna się ich prawdziwe wspólne życie — życie w prawdziwym świecie, a nie w tym wynajętym pokoju. Z powodu bezczynności Isabel uzależniła się od popołudniowych oper mydlanych, nadawanych w radiu, oraz od importowanych telewizyjnych programów rozrywkowych z dubbingiem, takich jak *Kocham Lucy*. Podobnie jak Tristao przybrała na wadze.

VIII. Dom na przedmieściu

Za ostatnie pieniądze wzięli taksówkę i stosując się do wskazówek Chiquinha, ruszyli przez płaską okolicę, dawną plantację kawy, teraz najeżoną znakami ulicznymi i słupami elektrycznymi. Mimo że ulice nie były brukowane, ziemię zaśmiecały błyszczące drobne odpady fabryczne, a niebo zasnuwał dym, pokryte czerwoną dachówką domki, składające się z kilku pokoiów, miały podwórka i werandy. Chiquinho, stojący w progu, wydawał się jeszcze bardziej wątły niż zwykle, powitalny uśmiech na jego twarzy wyglądał jak szrama, głowa chwiała się niepewnie na cienkiej szyi. Jego żona Polidora przypominała świeżo upieczoną bułeczkę, była okrągła, jędrna i złocistobrązowa. Wypłukane w hennie włosy, uczesane i wylakierowane, tworzyły na głowie sztywny kask. Miała okrągłe, żywe oczy, mrużyła je jednak, jak gdyby chcąc dopasować się do Chiquinha. Na jej pyzatej twarzy lśniły kropelki potu, Tristao pomyślał, że powodem jest uroda i prestiż Isabel. Polidora przywitała ją nadmiernie poufałym uściskiem, a następnie pociągnęła, ściskając nadal mocno jej szczupłą białą dłoń, do większego pokoju za wyłożonym kafelkami holem. Tristao szedł za nimi, prowadzony pod ramię przez brata. W pokoju znajdowało się dwóch mężczyzn w srebrzystoszarych garniturach, którzy wstali na ich widok i pokazali pistolety.

Tristao pomyślał o żyletce, ale uświadomił sobie, że nawet nie ma jej przy sobie. Zwykle trzymał ją w kieszonce swoich dżinsowych dzwonów, które razem z Isabel kupili dla niego w sklepie o nazwie „Polychrome”, ale dzisiejszego wieczoru, ubierając się w hotelu, zdecydowali, że taki swobodny strój może wydać się przejawem braku szacunku drobnomieszczaninowi, jakim najwyraźniej stał się obecnie jego brat, włożył więc powiewną jedwabną koszulę z białymi francuskimi mankietami przy fiołkoworóżowych rękawach, kremowe lniane spodnie oraz mokasyny z frędzlami. Nie miał zatem przy sobie żyletki. Ale nawet gdyby ją wziął, co mógłby nią zdziałać przeciwko dwóm uzbrojonym facetom?

Starszy z dwóch mężczyzn, potężny, przystojny, który posiwał w służbie u bogaczy i stał się melancholikiem, polecił im gestem dłoni, w której trzymał broń, żeby usiedli na krzasiastej kanapie stojącej pod żółtą ścianą, ozdobioną dwiema gipsowymi papugami, jaskrawokolorowymi płaskorzeźbami w okrągłych gipsowych ramkach. Ogony i dzioby papug zachodziły na ramki — kaprys artysty, który zmuszał do zastanowienia: „Co jest rzeczywistością, a co sztuczką?”.

Siedzący na kanapie obok Isabel Tristao odczuł, że dziewczyna drży jak roznamiętniona kobieta, która igra z własnym życiem w chwili seksualnego uniesienia. Oddalił od siebie wszelkie myśli o tym, że od początku sprowadzała na niego kłopoty i niebezpieczeństwo, i objął ją, by w razie potrzeby osłonić ją własnym ciałem. Mimo że również dygotał z przerażenia, jego umysł pracował szybko i sprawnie, zelektryzowany krytyczną sytuacją oceniał błyskawicznie rozwidlone ścieżki możliwości. Zrozumiał w mgnieniu oka wszystko, co zostało powiedziane.

— Nie obawiajcie się, przyjaciele — powiedział mężczyzna o interesująco srebrnych skroniach i starannie przystrzyżonych siwych wąsach. — Jesteśmy tutaj tylko po to, żeby towarzyszyć młodej damie w jej podróży do ojca, do Brasílii. Samolot wylatuje z Congonhas tuż po dziesiątej; mamy jeszcze sporo czasu. Myśleliśmy, że pro forma się spóźnicie. Napijmy się.

— Prędzej napluję do szklanki, niż przyjmę cokolwiek od tego Judasza, który jest podobno moim bratem — powiedział Tristao, po czym zwrócił się bezpośrednio do Chiquinha:

— Czym wytłumaczysz przed samym sobą tę zdradę?

Chiquinho wzruszył parokrotnie ramionami, jak gdyby odganiał muchy, nie używając rąk.

— Ten związek jest dla ciebie hańbą, bracie. Straciłeś swoją ostrość; wydajesz się miękki i gładki jak utrzymanek. Lepiej, żebym to ja cię zdradził niż ta platynowa dziewczyna. Bogacze zawsze wracają do swojego. Ta niewielka sumka, którą dostałem za współpracę, wystarczy mi na opłacenie nauki; zostanę dyplomowanym inżynierem elektrykiem.

Małpią twarzyczkę Isabel wykrzywił grymas, malowało się na niej to oburzenie, to znów rozpacz; a jednak jej ciało, spoczywające na krzasiastej kanapie obok Tristao, było dziwnie bezwładne. Częściowo się odprężyła. W głębi duszy witamy z zadowoleniem spotykające nas katastrofy. Jej wiedza wykraczała poza seksualne wyczyny i mydlane opery.

— Skąd się o nas dowiedziałeś? — spytała cicho Chiquinha. — Od Ursuli?

Tristao bolał nad nią, ponieważ wiedział, że postanowiwszy pokochać jego matkę, Isabel postawiła sobie karkołomne zadanie. Był to jej pomysł, pierwsze bezbronne dziecko ich małżeństwa.

— Och, nie, proszę pani — odparł Chiquinho z odcieniem litości. — Naszej błogosławionej matce obce są zdobycze elektroniki, porozumiewanie się z osobami, których nie widzi. To Euclides uprzedził mnie, korzystając z usług naszej nie zawsze niesolidnej poczty, że Tristao przyjedzie do Sao Paulo ze skarbem. Początkowo czekałem, aż mnie znajdzie, ponieważ jednak jego wysiłki spełzyły na niczym w mieście tak ogromnym jak Sao Paulo, sam wyruszyłem na poszukiwania. Podsunęto mi myśl, żebym udał się do „Othon Palace”, gdzie recepcjonista okazał się bardzo pomocny. Zapamiętał was dwoje. Prosił mnie, żeby was zapewnić, że przyczyny, dla których was odprawił, nie wynikały z jego uprzedzeń rasowych, lecz z szacunku dla innych gości, albowiem wielu z nich przybywa z zagranicy, z mniej tolerancyjnych krajów.

— Co stanie się z Tristao? — wykrztusiła z przerażeniem Isabel. Siedziała z otwartymi ustami, pokazując perłowe zęby i aksamitny język. Jej umysł, nawykły do logiki bogactwa i władzy, pojął znacznie szybciej od Tristao sedno sprawy: pozostawiony na wolności, może narobić kłopotów. Może szukać swojej żony w Brasilii, próbować ją odzyskać, może nawet — cóż za groteskowa myśl! — pójść na policję. Tristao wyczuł jej przerażenie i zrozumiał nagle, że najpewniejszym sposobem, by oderwać od niego Isabel, byłoby pozbawienie go życia. Jak gdyby włączono prąd elektryczny albo gwałtownie się ściemniło wskutek jednej z nagłych i straszliwych burz nawiedzających Sao Paulo, tak że wszystko wyglądało jak na negatywie — białe ściany czarne, a cienie jasne — zobaczył raptownie, jak zupełnie cicha obecność dwóch rewolwerów zmieniła pokój. Śmierć, to niewyobrażalne oddalenie, przybliżyła się nieoczekiwanie, obecna zaledwie kilka kroków, nadając wszystkiemu papierową, przepuszczalną fakturę. Wszystkie linie w pokoju, od ciemnych katów po szwy kraciatej kanapy i sześciokątne płytki posadzki koloru skóry Chiquinha, nabrały nowej perspektywy; zapanował nastrój uroczystej powagi, wszyscy mówili cicho, zwykle gesty wykonywano z somnambulicznym dostojeństwem. Polidora przyniosła na tacy napoje — wysokie, pastelowe szklanki z *suco* dla tych, którzy nie chcieli pić alkoholu, a dla pozostałych *caipirinha*, koktajl sporządzony z *cachaca*, soku z limony, cukru i kruszonego lodu. Isabel zdecydowała się na *caipirinha*, żeby stłumić targające nią emocje; Tristao poczęstował się *suco*, na wypadek gdyby sytuacja wymagała jasnego umysłu. Z kuchni dolatywał ciepły zapach duszącego się mięsa.

Młodszy mężczyzna, ten bez wąsów i siwizny na skroniach, uspokoił Isabel:

— On zostanie moim przyjacielem. Cesar odwiezie młodą damę do Brasilii, a ja spędzę tutaj pewien czas z młodzieńcem, który oczywiście będzie początkowo opanowany myślą o ratowaniu swojej kobiety i o zemście. To duży dom, możemy być tu wszyscy szczęśliwi przez tydzień czy dwa, dopóki młoda dama nie wróci bezpiecznie pod skrzydła swego ojca. Mam na imię Virgilio — dodał, skłaniając się lekko parze siedzącej na kanapie, nie obniżając jednak nawet na milimetr lufy rewolweru.

— Ależ, proszę pana — zaprotestowała Polidora — mamy dwójkę dzieci, które tutaj śpią.

— Madame, zapłacimy pani.

— Nigdy nie wrócę „pod skrzydła” mojego ojca! — wybuchnęła Isabel. — Jestem teraz kobietą, gram własną rolę w świecie. Przeżyłam całe życie — od śmierci mojej matki, gdy miałam cztery lata — bez ojca, który oddał mnie pod opiekę swojego wyfiokowanego brata!

Cesar, zgorzany, poczuł się w obowiązku bronić swego chlebobdawcy, a może w ogóle tych mężczyzn, do których się zaliczał: siwiejących, w średnim wieku, którzy w zrozumiwały sposób nie mogą spełnić wszystkich stawianych im wymagań.

— Panno Isabel, pani ojciec jest ważną osobistością, człowiekiem, który ożywił rząd tego kraju.

— Dlaczego więc odnoszę wrażenie, że nikt nim nie rządzi? Biedni nadal są biedni, a bogaci rządzą za pomocą broni. — Jak gdyby spełniając przepowiednię swego wuja, dotyczącą jej radykalizmu, wstała, pełna buntu, i powiedziała zaczepnie do uzbrojonych mężczyzn: — Czemu mam być wam posłuszna? Przecież nie ośmielicie się uczynić mi krzywdy — mój ojciec obdarłby was ze skóry.

— To prawda — zgodził się uprzejmie Cesar. — Ale nie dotyczy to również pani czarnego przyjaciela — pani męża, jeśli pani woli. Świat nie odczuje jego braku, jedynie pani będzie go opłakiwać. Jego śmierć nie spowoduje nawet najmniejszej luki w aktach, ponieważ bez wątpienia uniknął rejestracji. A jeśli nie wystarczy

jeden zakładnik, żeby zgodziła się pani z nami współpracować, proszę pomyśleć o gospodarzach tego domu — skierował lufę rewolweru w stronę Chiquinha i Polidory, którzy czekali, by podać wszystkim jedzenie — i o ich dzieciach. Może się zdarzyć, że dzieciaki wrócą do domu i znajdą rodziców martwych. Mimo że ta śmierć zostanie zauważona, nasza policja jest przeciążona pracą i nie odnajdzie zabójców. Proszę nie sądzić, że to czcze pogrożki. Rzeczywistość staje się w coraz większym stopniu statystyką, a w kraju tak ogromnym jak Brazylia jesteśmy zaledwie drobną cząstką tej statystyki.

— To ja z własnej woli przekazałem wam informację, która was tu sprowadziła, a wy teraz grozicie, że mnie zabijecie! — zaprotestował Chiquinho.

— Człowiek, który zdradza własnego brata, zasługuje na śmierć. — Odwróciwszy się do Tristao, dodał, odsłaniając w ujmującym uśmiechu nierówne zęby, zachodzące na siebie niczym stopy podczas wykonywania tanecznego kroku:

— Widzisz, jakim już jestem dobrym i lojalnym przyjacielem? Czasami brat duchowy bywa lepszy od rodzzonego.

Isabel wstała, skręcona i wykrzywiona, jak gdyby wprawiała ją w ruch niewidoczne nitki. Dziwne, pomyślał Tristao, jak dwa szare rewolwery przerysowały na nowo przestrzeń całego pokoju, redukując nieskończoność rozwiązań do kilku płytkich tuneli wątpliwych możliwości. Wszyscy byli w nieszczególnych nastrojach, wędrując meandrami tej napiętej sytuacji.

— Jeśli mam jechać do ojca — powiedziała spokojnie Isabel — muszę zabrać z hotelu ubrania. Nie zdążymy nic zjeść, skoro mamy być w Congonhas przed dziesiątą. Na nas już czas — powiedziała do rewolwerowca, który miał ją eskortować, ojcowskiego, ubranego na szaro wysłannika władzy, której sama była tworem.

— To prawda — potwierdził z zadowoleniem Cesar, po czym rzekł do Polidory: — Bardzo żałuję. *Feijoada* pachnie wspaniale. Mój młody wspólnik chętnie zje moją porcję. — Następnie zwrócił się do Chiquinha: — Masz połowę nagrody w kieszeni. Czy otrzymasz drugą połowę, zależy wyłącznie od twojej chęci współpracy i gościnności. — Potem do Tristao: — Żegnaj, przyjacielu. To byłby pech dla jednego z nas, gdybyśmy się znowu spotkali. — Do Isabel: — Chodźmy już. Tak jak pani powiedziała, samolot nie będzie czekał.

Isabel pochyliła się i obdarzyła Tristao przeciągłym pocałunkiem, lekkim jak obłok i ciepłym jak dotyk słońca, który mówił: *Nie trać wiary*.

Czy jednak mógł jej zaufać? Jego żona wyglądała od tyłu zaskakująco swobodnie, prowadzona pod rękę przez swojego porywacza o dystygowanej prezencji. Wcześniej w hotelu włożyła zawiadającą — ani oficjalną, ani też nieoficjalną — suknię w drobne czerwone kwiatki na granatowym tle, zmieniając przedtem kilkakrotnie stroje i próbując dobrać coś odpowiedniego do jego kremowych spodni i koszuli z francuskimi mankietami — coś eleganckiego, lecz nie nadmiernie wyszukanego. To miała być ich pierwsza wspólna wizyta jako oficjalnej pary u rodziny męża. Być może sięgali zbyt daleko, zbyt szybko.

Gdy Isabel wyszła, Tristao poczuł się starszy, a gdy Polidora podała do stołu garnek z pieprzną *feijoada*, wszyscy się odprężyli. Virgilio zdjął szarą marynarkę i schował rewolwer do kabury pod pachą, a Chiquinho zamienił wysokie szklanki na butelki z piwem Antartica. Mała bratanica i bratanek Tristao, Esperanca i Pacheco, wrócili z dworu — czekoladowe, szarookie skrabry, trzyletni i czteroletni — i natrętna niewinność dzieci zaraziła stół wesołością. Dzieciaki nie spuszczały wzroku z rewolweru Virgilia; jego rękojeść sterczała z kabury niczym zad zwierzęcia, które dało nura do nory, i mężczyzna, wyczuwając dziecięcą wyobraźnię, poruszał nim, jak gdyby zwierzę rzucało się do ucieczki, i wyrażał mimiką jego przerażenie, szczękając nierównymi zębami.

— *Fora! Opal Dentro! Bom.*

Gdy osuszono butelki piwa, na stole pojawiła się przezroczysta *cachaca* i dorośli zaczęli przerzucać się dowcipami, skierowanymi przeciwko światu znajdującemu się za cienkimi ścianami, ponad kruchym dachem — przeciwko bogaczom, *poderosos*, cudzoziemcom, Argentyńczykom, Paragwajczykom, niemieckim i japońskim farmerom w Regiao Sul, z ich śmiesznym akcentem i ciasnymi, purytańskimi, pracoholicznymi zwyczajami. Prawdziwy Brazylijczyk — uzgodnili radośnie między sobą — jest niepoprawnym romantykiem — porywczym, niepraktycznym, hedonistycznym, a mimo to idealistycznym, szarmanckim i pełnym życia.

Gdy Tristao kładł się spać, kręciło mu się w głowie. Miał wrażenie, że ściany pokoju falują, pochylają się, jakby

pod magnetyczną presją rewolwerów. Przydzielono mu dziecienny pokój, dzieci przeniesiono do łóżka rodziców. Tristao dostał jedno łóżeczko, w drugim zaś spał Virgilio, zastawiający nim drzwi, by odciąć chłopcu ewentualną drogę ucieczki. Jedyne okno w pokoju było zabezpieczone specjalnymi sztabami przeciwwłamaniowymi przed złodziejami, którzy krążyli w tej dzielnicy powoli rosnącego dobrobytu klasy pracującej.

Po raz pierwszy od wielu tygodni Tristao położył się do łóżka bez Isabel. Przez cały ten czas, gdy byli ze sobą, niemal zrosła się z nim, stała się częścią jego ciała, fosforyzującą żądzą pożerającą go żywcem. Doszedł do wniosku, że zachowanie życia to problematyczny warunek, niewart wszystkiego. Niewart braku Isabel — braku jej wilgotnej cipki wchłaniającej jego nabrzmiały członek, jej głosu szepczącego mu coś do ucha, ciepłego dotyku jej warg, słów: *Nie trać wiary*. Nie była śmiercią, ale jej jasna skóra miała czystość śmierci. Stłumił płacz, żeby nie obudzić swego obecnego współlokatora. Przez jakiś czas układał w myśli przebiegłe plany, a następnie zasnął.

IX. Brasilia

Światła Brasilii widziane o północy z lotu ptaka układają się w kształt samolotu z długimi zakrzywionymi skrzydłami na tle ogromnego czarnego interioru Brazylii. Miasto wydaje się dryfować w próżni jak gwiazdna konstelacja, lekko nachylone, jak gdyby nawracało w kierunku startu obok twojej własnej nieruchomej pozycji w przestrzeni. Lądujesz z szelestem, jak gdyby nie na stałym gruncie. Powietrze na lotnisku jest chłodne, mimo późnej godziny samoloty startują i lądują niemal bez przerwy, albowiem jest to miejsce, gdzie niewiele osób ma ochotę przebywać, ale wiele musi je odwiedzać.

Cesar podał taksówkarzowi adres ojca Isabel, którego apartament mieścił się przy Eixo Rodoviario Norte, w jednym z wielkich pionowych betonowych bloków, które zamieszkiwali rządowi ważniacy. Jej wspomnienia o Brasilii wywodziły się z dzieciństwa, gdy podsłuchiwała kłótnie stryja Donaciana i ojca na temat kategorycznego postanowienia prezydenta Kubitschka, że dotrzyma obietnicy wyborczej o budowie stolicy w głębi kraju. „To stare brazylijskie marzenie — perorował ojciec — równie stare jak marzenie o niepodległości, poczynając od *Inconfidencia Mineira*”. „Niech wobec tego pozostanie w sferze marzeń — odpowiadał stryj — gdyby ziściły się wszystkie nasze marzenia, świat stałby się koszmarem”. Sprawa, o której tyle się mówiło, sprawiała, że Isabel czuła się dziwnie, jak gdyby serce przestawało jej bić albo trzęsienie ziemi zmiotło jej piękne Rio do morza. W ponad rok później po męczącym locie wylądowała razem z ojcem pośród kopców świeżej czerwonej ziemi i tysięcy biednych wieśniaków z *sertao*, uwijających się jak mrówki, żeby wykonać tajemniczy plan. Gdy wrócili tam ponownie, szkielety budynków już stały, ogromne żółte ciężarówki sunęły dostojnie z głośnym rykiem silników w tę i z powrotem po nie brukowanych ulicach, zaczynał już wyrastać wklęsło-okrągły gmach katedry w kształcie korony z betonowymi zębami. Obecnie plan został już zrealizowany, kamienna stolica zbudowana niczym piękny posąg, który czeka, by tchnięto w niego życie. Czarne przestrzenie *sertao*, obojętny spokój nieludzkiej nocy wciąż dominowały poniżej i powyżej rysunku światła, oślepiającego diagramu na czarnej tablicy.

Strażnicy budynku mieszkalnego zostali uprzedzeni o przyjeździe Isabel, ponieważ obaj — niewysocy, o wystających kościach policzkowych i sztywnych włosach, typowych dla *caboclo* — czuwali, ubrani w schludne oliwkowe mundury. Mimo to Cesar uparł się, że pojedzie z nią windą aż na piętro, gdzie ogromny apartament jej ojca rozpościerał swe skrzydła niczym miniaturowe miasto. Przekazując Isabel oraz jej bagaż wysokiemu, zgarbionemu służącemu, który otworzył drzwi, uniósł białą dłoń dziewczyny do ust i ucałował podkulone, zimne z urazy palce.

— A teraz proszę robić to, co każe pani ojciec — poradził jej serdecznie. — Brazylia ma niewielu przywódców; Portugalczycy nie zaprowadzili w Nowym Świecie dyscypliny i rygoryzmu takiego jak Hiszpanie. Jeśli nie byliśmy tak okrutni i niemal brutalni, to dlatego że jesteśmy zbyt leniwi, żeby mieć jakąkolwiek ideologię. Kościół okazywał zbytnią pobłażliwość; nawet klasztory były burdelami. — Podsumował krótko wykład, który wygłosił jej w samolocie, niczym profesor, któremu skończył się czas. Cesar konsekwentnie podnosił swoje kwalifikacje: starał się przeczytać przynajmniej jedną książkę tygodniowo, opanował biernie hiszpański, francuski i angielski, niemiecki był dla niego trochę zbyt nudny. Miał nadzieję, że gdy przestanie być płatnym mordercą... — To gra dla młodych ludzi, panienko. Kiedy człowiek się starzeje, zaczyna mieć za miękkie serce — ... kupi sobie limuzynę i zostanie przewodnikiem wycieczek. Nie tylko po miastach, gdzie wszyscy biznesmeni przyjeżdżający z wizytą myślą wyłącznie o tym, żeby znaleźć seksowną Mulatkę, ale po całym kraju, gdzie bogate wdowy i kanadyjscy nauczyciele zechcą zwiedzać Ouro Preto i Olinde, miasta jak z książek z obrazkami, przywodzące na myśl naszą historię kolonialną, oraz osiemnastowieczne kościoły ze steatytowymi

rzeźbami Aleijadinha... — Karzeł i kaleka, proszę pani, a jego matka była czarną niewolnicą; kto powie, że porządnemu człowiekowi nie uda się zrobić kariery politycznej w Brazylii? — ... i, oczywiście, bajeczną Amazonkę, słynną na cały świat operę w Manaus, a także nieogarnione tereny puszczy, które staną się atrakcją turystyczną choćby z tego tytułu, że świat się kurczy. Z ich ogromem mogą rywalizować tylko Syberia i Sahara, obie jednak mają nieznośny klimat. Dlatego właśnie rząd w swej mądrości usytuował Brasilię tak a nie inaczej, i kładzie drogi przez cały dziewiczy las... — Drogi to postęp, proszę pani, a człowiek, który potrafi po nich jeździć, to człowiek przyszłości.

Gdy Isabel położyła się spać w pokoju znajdującym się na końcu długiego, łagodnie zakrzywionego korytarza, w jej uszach, nie odetkanych jeszcze po locie samolotem, dźwięczała wciąż ta fałszywa ojcowska nuta. Był to „jej” pokój, choć w ciągu osiemnastu lat swego życia nie spędziła w nim nawet stu nocy. Stało w nim wąskie łóżko i puste biurko. Ojciec, który właśnie tego dnia wrócił z Dublina, oczywiście spał. Potrafiła go sobie wyobrazić, nieruchomego jak kukłę, w czarnej przepasce zasłaniającej oczy. Lata podróży samolotami nauczyły go zasypiać na życzenie, w każdej chwili. Wysoki służący, *pardo*, którego skóra miała smętny zielonkawy odcień, wyjaśnił, że pan oczekuje córki rano o dziewiątej trzydzieści, na śniadaniu. Nieduża, puciołowata kobieta, być może żona służącego, w niebieskim, wykrochmalonym stroju pokojówki, spytała, czy *senhora* życzy sobie czegoś — *vitamina*, pigułka nasenna, drugi koc? Ta para — jedno szczupłe, drugie pulchne, oboje służalczy, a mimo to czujni — przypominała Isabel zdradzieckiego Chiquinha i Polidorę. Odprawiła ich ze znużeniem, pragnąc pozostać sam na sam ze swoim strapieniem, zasmakować jego goryczy i odczuć jego beznamiętność.

Zrozumiała, że przez swój bunt zdobyła nowy szacunek i uznanie tych, którzy mieli władzę nad jej życiem. W taki sposób autorytety światowe zdradzają swoją zasadniczą słabość i tchórzostwo, pomyślała, wślizgując się nago do swego prostego dziewiczego łóżka. Była zbyt zmęczona, żeby szukać w swoim bagażu koszuli nocnej. Jej nagość była buntem przeciwko otaczającemu ją miastu o prostych liniach, więzieniu serca Brazylii, i ponownym połączeniem jej ciała z czernią Tristao. Chciała się pomodlić o jego bezpieczeństwo, ale myśląc o Bogu, mogła jedynie myśleć o czarnym, rozkazującym, a jednocześnie pełnym pożądania spojrzeniu, jakie utkwił w niej Tristao tamtego dnia na oślepiającej plaży.

Ojciec Isabel, który miał na imię Salomao, był starszy od stryja Donaciana i bardziej wpływowy, ale niższy, o wypukłym czole, wychylającym się do przodu z łysiejącej czaszki niczym nawis skalny. Do śniadania włożył bordową jedwabną bonzurkę na szare pasiaste spodnie, do tego domowe pantofle na czarnych prążkowanych skarpetkach, które wkrótce miały zniknąć pod wąskimi, wypolerowanymi butami, jakie noszą dyplomaci i politycy. Isabel rozumiała, że jest dla niego tylko jeszcze jedną sprawą do załatwienia w ciągu dnia, wypełnionego innymi spotkaniami. W tej chwili był pochłonięty przeglądaniem sterty różnojęzycznych gazet leżących obok talerza. Wstał, żeby się z nią przywitać, dając jej odczuć, że mu przeszkodziła w ważnych zajęciach.

— Moje piękne zbłąkane dziecko — powiedział, jak gdyby podawał temat zebrania. Ucałował ją w obydwa policzki, a następnie w usta. Chłód tego pocałunku wyczuwała od dzieciństwa, kojarzył jej się z chłodem bagażu przechowywanego w nieogrzewanym luku bagażowym w samolocie, z pozaziemskim chłodem stratosfery. Zawsze we wspomnieniach przyjeżdżał do niej ze świata, z ogromnych odległości; apartament, mimo że tak obszerny, nigdy nie był przeladowany (w przeciwieństwie do apartamentu stryja Donaciana) różnymi nabytkami, pamiątkami z podróży i zajmowanych stanowisk; nad intarsjowaną *coiffeuse* z czasów Ludwika XV, na której stał czarny wazon z epoki dynastii Ch'ing i drewniana figurka z Mali przedstawiająca przodka Dogonów, wisiała dwumetrowa tybetańska chorągiew, *thang-ka*, z błyszczącymi pajęczymi nitkami złotej farby na tle purpury i zieleni. W wysokim mieszkaniu stryja Donaciana wisiały, szalenie obecnie modne, ogromne abstrakcyjne obrazy, jej ojciec natomiast wolał nieduże sztychy, przedstawiające sceny historyczne czy budowle, albo japońskie ryciny, których piękna kompozycja klóciła się z okrucieństwem tematów.

Usiadł naprzeciwko niej przy niskim śniadaniowym stoliku, którego inkrustowany blat przedstawiał szachownicę w powiększeniu.

— Mam nadzieję, że dobrze spałaś — rzekł na powitanie.

Widziała, że postanowił potraktować ją z całym szacunkiem i poświęcić jej tyleż uwagi, co równemu sobie dyplomacie. Mimo to wciąż spoglądał nerwowo w kierunku sterty gazet, których nagłówki mówiły o rozruchach, wojnie taktycznej i nadchodzącej rewolucji, która ogarnie całą kulę ziemską.

— Zasnęłam natychmiast, ojczu, ponieważ byłam wyczerpana podróżą, do której zmusił mnie twój człowiek. Obudziłam się jednak o czwartej nad ranem, nie wiedząc, gdzie się znajduję, a potem ze zgrozą uświadomiłam

sobie, że nie mogę się stąd wydostać — że jestem jeńcem. Omal nie zaczęłam krzyczeć z przerażenia. Przeszło mi przez myśl, żeby wyskoczyć oknem i zabić się, ale oczywiście te nowoczesne okna się nie otwierają. — Sięgnęła po półksiężycowy plasterek melona, zjadłszy wcześniej bułkę z masłem i trzy chrupiące kawałeczki bekonu. Nie była już nadal wybredna jak panienka.

— A potem — spytał ojciec — przespałaś się jeszcze trochę?

— Tak — przyznała ponuro. — Zasnęłam na godzinę, może dwie.

— A zatem — rzekł z nutką triumfu, zerkając znowu na gazety — dostosowujemy się szybko do nowych okoliczności, tak szybko, że dusza uważa ciało za zdraycę.

— Zasnęłam — powiedziała — wyobrażając sobie, że znajduję się znowu w ramionach mojego męża, do którego należę.

— Podobnie jak należysz do „Hotel Amour”, rozrzutnie płacąc rachunki i deprawując chłopca hotelowego. Zafundowałaś sobie krótkie wakacje, Isabel, ja zaś byłem zmuszony przerwać je i zmusić cię, żebyś wróciła do prawdziwego życia. — Mimo że mówił do niej, Isabel z przykrością odnotowała fakt, iż jego oczy zerkają znów ku stercie gazet, żeby przeczytać kolejny nagłówek, wargi krzywią się lekko pod koniec zdania, odsłaniając drobne dziecięce zęby, poźółkle z wiekiem. Po raz pierwszy w życiu odważyła się zrozumieć, że jej ojciec był małym delikatnym chłopcem, dającym się łatwo tyranizować, pedantycznym w swoich planach zemsty. Ziemską władza była jego zemstą i dowodem pustki.

— Trudno nazwać Brasilię prawdziwym życiem — zaprotestowała — podobnie jak ty nigdy nie byłeś dla mnie prawdziwym ojcem, lecz zamgloną, odległą gwiazdą. Być może taki właśnie powinien być ojciec, teraz jednak musisz mi pozwolić, bym przelała swoje uczucia na mężczyznę, który zapłonął dla mnie jak słońce.

Ojciec zamrugał fraszobliwie powiekami. Nabawił się tiku, przezroczysta niebieskawa skóra pod jednym okiem drgała mu nerwowo, na skroni pulsowała żyłka. Jego wzrok, gdy przeniósł go wreszcie znad gazet na jej twarz, miał w sobie coś z obwisłej ociężałości jego bladego czoła. W porównaniu z Tristao, ojciec sprawiał wrażenie nieukształtowanego — skórę miał cienką i bezbarwną, jak gdyby została zatrzymana w rozwoju, oczy były wodniste, szaroniebieskie, głowę pokrywała nie gęsta czapa sztywnych oleistych pierścionków, lecz rzadkie kosmyki, przez które prześwitywała naga dziecienna czaszka, a pozbawione szyi, kwadratowe ciało nie było przystosowane do niczego poza siedzeniem w fotelu. Nie dawał się jednak zbić z tropu, wyrażał się precyzyjnie, autorytatywnie, jak gdyby cała jego męskość skupiła się w głosie.

— Czy pamiętasz — spytał — swój pobyt w „Othon Palace” i kobietę, która była z nami?

— Próbowала mi matkować — powiedziała Isabel — a ja czułam się urażona. To była obłuda z jej strony.

— Ja również wyczuwałem fałsz w jej chęci zdobycia względów mojej córki i pomogło mi to zakończyć nasz romans. Kobiecie można wybaczyć wszystko poza brakiem subtelności.

Portugalski ojca w porównaniu z portugalskim Tristao czy stryja Donaciana wydawał się Isabel mdły, pozbawiony wyrazu. Salomao znał tak wiele obcych języków, że jego mózg wiecznie tłumaczył, nie miał ojczystego języka.

— Była dla mnie odkryciem — mówił dalej. — Od śmierci twojej drogiej matki minęły cztery lata; poza rzadkimi wizytami u *rparigas* — wyłącznie dla higieny fizycznej — żyłem w czystości, najpierw przyzwyczajając przestrzegając żałoby, a potem z przyzwyczajenia. Eulalia — bo tak miała na imię, na wypadek gdybyś nie pamiętała — Eulalia przeobraziła mnie w kogoś, kim nie byłem nigdy przy twojej matce z powodu jej wielkiej skromności, a mianowicie w zmysłowego mężczyznę. Po raz pierwszy zrozumiałem, że stary Kościół miał rację, a protestanci i platończycy byli w błędzie — jesteśmy naszymi ciałami, a zmartwychwstanie stanowi jedyną odpowiedź. Eulalia przywróciła mi chęć do życia. Stworzyła mnie w taki sam sposób, w jaki ten chłopiec stworzył ciebie, tak mi się wydaje. Niestety, to smutna prawda, wykorzystał cię — twoją seksualną niewinność, twoje znudzenie mieszczańskim życiem, twój młodzieńczy idealizm, twój brazylijski romantyzm. Eulalia wykorzystała mnie w identyczny sposób — moją mile polechtaną męskość, moje przyzwyczajenie do wspólnego mieszkania, uzależnienie od kobiet, w które popada pieśszoszek mamusi. Dopiero gdy się zorientowałem, że próbuje skokietować moją ośmioletnią córkę i robi to nieudolnie, szarżuje, obudziłem się — albowiem miłość jest snem, Isabel, ale widzą to wszyscy poza tymi, którzy śnią. To środek znieczulający, który stosuje natura, gdy

zabiera nam dzieci. A kiedy, jak w przypadku twojej niezrównanej matki, operacja okazuje się zgubna, co czyni natura? Wzrusza ramionami i odchodzi. Nie troszczy się o nas, moje drogie dziecko. Dlatego musimy troszczyć się o siebie sami. Nie poświęcisz swego życia dla chłopaka ze slumsów. Nie zobaczysz więcej Tristao. Zostaniesz w Brasilii i będziesz mieszkała ze mną. Będziesz wracała codziennie do domu przed północą. Będziesz uczęszczała na uniwersytet, który mieści się o kilka przecznic stąd. Ponieważ nasz nowy rząd był zmuszony zamknąć uniwersytet w 1965 roku i oczyścić zarówno grono wykładowców, jak i studentów z niepożądanych radykałów, być może program zajęć jest mierny edukacyjnie, ale za to zdrowy pod względem ogólnych wartości. Protesty oraz nihilizm zostały ograniczone do minimum — to już tylko daleki krzyk z siedliska anarchii i działalności wywrotowej w nadmorskich miastach. Może spotkasz na którychś zajęciach uroczego syna generała.

— A jeśli się nie zgodzę? Jeśli ucieknę?

Ojciec zwrócił na nią spojrzenie swych wilgotnych oczu, uśmiechając się, jak gdyby stojące między nimi na stoliku szklanki i talerzyki były figurkami szachowymi i właśnie dawał córce mata.

— Wówczas ów Tristao, którego potrafimy obecnie zidentyfikować i śledzić, może bezboleśnie zniknąć. Zdaję sobie sprawę, że nawet jego matka nie będzie z tego powodu zawracała głowy władzom. Jest nienormalną matką, a może powinniśmy powiedzieć, zbyt normalną. Wyglądałoby to tak, mój aniele, jak gdybyś po prostu wymyśliła sobie jego istnienie. — Jego uśmiechające się wargi nie były czerwonawe, jak wargi stryja Donaciana, lecz blade, podobnie jak skóra przeświecająca przez rzadkie włosy. W tej chwili wydawały się jeszcze bielsze, ponieważ osiadł na nich cukier puder ze słodkiej bułeczki, z której Salomao odgryzł zaskakująco łapczywie potężny kęs, pogrążając się w czytaniu gazet.

X. Dwaj bracia

Przez dwa lata Isabel studiowała historię sztuki w Universidade de Brasilia. W mroku sali wykładowej ukazywały się i znikwały wyświetlane na ekranie malowidła jaskiniowe, katedry, obrazy historyczne, impresjonistyczne krajobrazy. Wszystko było francuskie. Sztuka była francuska, wykładowcy grasejowali i wymawiali nosowo francuskie głoski. Och, zdarzały się również kambodżańskie świątynie i niemieckie drzeworyty, a mówiąc o sztuce po 1945 roku, należało również wspomnieć o szkole nowojorskiej, ale w końcu wszystko to było efektem ubocznym albo szczególnie pomysłowym barbarzyństwem w porównaniu z Chartres i Cezanne'em. Isabel dowiedziała się, że prawdziwa kultura jest sprawą zadziwiająco lokalną, czysto europejską, głównie francuską. Tylko biologia jest światowa — dodając miliardy kopulacji.

Jeśli „chodziła” z niektórymi kolegami ze studiów, konserwatywnymi i małodusznyymi, lecz przystojnymi i zachwyconymi nią synami oligarchii i jej sług, to co z tego? Była młoda, pełna niespokojnej energii i na pigułce. Można dochowywać komuś wierności w sercu, zwłaszcza jeśli w chwili orgazmu zamyka się oczy i myśli: „Tristao”. Usunięty z jej życia, niezmienny w swej nieobecności, stał się nie sprofanowaną, nietykalną częścią jej samej, równie potajmnaną jak pierwsza seksualna intuicja dziecka.

Ojcu, który przyglądał się wszystkiemu, wydawało się, że Isabel pogodziła się z sytuacją, i gratulował sobie sukcesu swojej strategii. Przychodził i snuł się po ogromnym mieszkaniu niczym dziwaczny ślimak o cienkiej niebieskawej skórce, krzywiąc w uśmiechu blade wargi i rzucając jej nieprzytomne życzliwe spojrzenia spod wypukłego czoła, przypominające jej spojrzenia zakonnic, które uczyły ją i Eudóxię w szkole. Poprosił o półtoraroczny urlop przed objęciem stanowiska ambasadora w Afganistanie. Nocami słyszała, jak ćwiczy perski oraz pasztu — głębokie, śpiewne, czasami gardłowe tony były tak islamskie w swojej ekspresji, że wyobrażała go sobie w luźnym turbanie i powiewnej szacie sprzedającego dywany albo wydającego wyroki śmierci na bluźnierców. Wyjaśniał skromnie, że żaden z tych dwóch języków nie jest zbyt trudny, oba wywodzą się z indo-europejskiego. Czasami zabierał ją na koncert lub do teatru, wybierając coś z niewielu raczej propozycji życia kulturalnego stolicy. Ale zdarzały się dni, kiedy prawie ze sobą nie rozmawiali, zajęci różnymi obowiązkami, chodząc różnymi drogami. Isabel wpadła w trans uniwersyteckich zajęć, związana przysięgą, w której dwie szare lufy rewolwerów odegrały rolę krzyża. Nie stanie się powodem śmierci Tristao, zatrzyma go w sercu niczym więźnia w zaryglowanej celi.

Dopiero gdy odwiedził ich Donaciano, Tristao w pewnym sensie umknął jej z pamięci, ponieważ stryj przywiózł ze sobą do surowej Brasilii — tej betonowej dżungli ze sztucznym jeziorem, tumanami czerwonego pyłu, unoszącymi się tam, gdzie pozwolono zginać trawie na dawnych ogromnych pasach zieleni — czarujące, morskie tchnienie Rio. Zjawiwszy się w kremowym garniturze, dwukolorowych butach ze zwężonymi noskami i

w panamskim kapeluszu z czerwoną wstążką, przywiózł jej prezenty zbyt dziecinne jak na jej wiek — bukiet sztucznych kwiatów, do złudzenia przypominających prawdziwe, ceramiczny rowerek na nierównych kółkach, które naprawdę się obracały, mały cyrk z artystami, wykonanymi ze złotego drutu, w który były oprawione półszlachetne kamienie z Minas Gerais. Pragnął, żeby wciąż była małą dziewczynką, sam zresztą uosabiał dziecinną, radosną atmosferę Rio, gdzie dorośli chodzą po ulicach w kostiumach kąpielowych i przez okrągły rok szykują się do karnawału. Jego ciche przekomarzanie się, zapach angielskich papierosów, które palił w cygarnicze z hebanu i kości słoniowej, przywołały jej na pamięć apartament z brązowym żyrandolem o wężowych ramionach i białą różę świetlika. Tam oddała się po raz pierwszy Tristao i jej dziewicza krew pozostawiła na atłasowej narzucie ślad w kształcie kielicha. Stryj Donaciano ucieleśniał miłość wszelkiego rodzaju. Przekręciła na środkowym palcu pierścione DAR i spytała stryja o Marię.

— Ach, Maria — powiedział. Pod oczami miał fioletowe kręgi, siwiejące miodowoblond włosy były w lekkim nieładzie, jak gdyby odzwierciedlały jego dystyngowaną melancholię. — Maria się starzeje.

— I jest mniej atrakcyjna? — drażniła się z nim Isabel, wypuszczając dym z papierosa pionowo, w kierunku wysokiego sufitu. Salomao miał wrażliwe płuca i Isabel paliła tylko na uniwersytecie oraz podczas wizyt stryja Donaciana i wtedy korzystała z jego angielskich papierosów w pastelowych bibułkach. Sofa, na której się rozparła, elegancki mebel, wykonany z teku i rotangu, przywieziony przez ojca z podróży do Indii kilka lat temu, nie była zbyt wygodna, mimo że leżały na niej czarne, purpurowe i różowe poduszki, naszywane cekinami. — Być może — powiedziała, pozwalając sobie na jeszcze większą zuchwałość — zbyt intensywnie ją eksploatowałeś. Powinieneś się z nią ożenić, żeby wynagrodzić jej lata służby.

Donaciano zamrugał zmęczonymi oczami i przecesał palcami włosy, targając je jeszcze bardziej. Rozmawiał z Isabel tak jak z jeszcze jedną z wielu dorosłych kobiet, które wyrażają swoje uczucie w formie przekomarzanek.

— Stryjenka Luna jest nadal moją żoną — powiedział. — Kiedy jesteś taka krnąbrna — dodał — przypominasz mi swoją matkę. Rozdzierasz mi serce.

— Czy moja matka złamała ci serce? — Isabel zastanawiała się od dawna, czy jej stryj był zakochany w żonie swojego brata. Na komodzie w jego sypialni, obok artystycznego portretu oraz kilku migawkowych zdjęć z wakacji stryjenki Luni, stała oprawiona w ramki, lekko zamglona fotografia Cordelii na jakichś skałach, pod samotną sosną, zrobiona prawdopodobnie podczas pikniku. Wietrzyk rozwiewa jej białą marszczoną spódnicę i szerokie, przejrzyste jak mgiełka rękawy, opinając bluzkę na pełnych piersiach, biały muślin podkreśla śliczną opaleniznę, tę kropelkę pigmentu, która czyni z Brazylijki prawdziwą piękność, na lekko zamglonej twarzy gości radosny uśmiech, lśniące policzki są zaokrąglone, powieki zmrúżone, prawdopodobnie razi ją słońce. Isabel często przyglądała się tej fotografii, ukradkiem, podczas nieobecności stryja Donaciana, zastanawiając się, gdzie był wówczas jej ojciec, daleko czy blisko obiektywu aparatu fotograficznego. Kto wywołał uśmiech na twarzy jej matki, na kogo spoglądała tak kokieteryjnie? Mgiełka na zdjęciu zdawała się być śladem jej oddechu, który zaparował soczewkę.

Ale owe tajemnice, owe dawne romanse bledną i koniec końców są równie przygnębiające dla młodej osoby jak fotografie starego Rio z jego tramwajami i dawną modą, które wiszą na ścianach restauracji, sentymentalne same w sobie.

— Łamała serca wszystkich, którzy tylko na nią spojrzeli — powiedział stryj Donaciano. — Weźmy twojego ojca. Nigdy się ponownie nie ożenił. Jest żywą szkatułką pełną wspomnień o twojej matce. Nie naśluduj go, Isabel, w tym szaleństwie, które sprawiło, że się przedwcześnie postarzał. Korzystaj z życia. Kochaj wielu mężczyzn, zanim umrzesz. Ten łobuz z plaży to tylko początek. Jedź do Europy. Zostań śpiewaczką operową.

— Ale ja nie mam głosu.

— Callas też go nie ma. Za to ma osobowość.

Przez uprzejmość, a może przypadkiem, naruszył tabu i wspomniał jej kochanka.

— Skoro już mówimy o plażowych łobuzach, stryju — podtrzymała jakby od niechcenia temat — czy miałeś jakieś wiadomości z Sao Paulo? Czy nie wyrządzono krzywdy temu biednemu chłopakowi, którego tak lekkomyślnie zaprosiłam do naszego wspólnego domu? Ach, jakże tęsknię za naszym mieszkaniem! Brasilia jest piekłem, przypuszczam tylko, że w piekle jest mniej nudno. Miasto zostało rzucone na tę gorącą równinę jak jajko na patelnię.

Jego dystygowana twarz, nosząca ślady wieloletniej pogoni za przyjemnościami i niewzruszonego egoizmu, przybrała poważny wyraz.

— Nie miałem żadnych wiadomości z Sao Paulo, kochanie. To piekło innego rodzaju, obrzydliwy dowód naszego daremnego pragnienia, by stać się krajem przemysłowym, takim jak te bezduszne reżimy na północ od równika. Świat, niegdyś taki zielony i uroczy — po prostu raj — staje się bezgranicznie brzydki, Isabel. Nie żałuję, że niewiele już mi czasu zostało na oglądanie go. — Wyjął z cygarniczki niedopałek i zastąpił go nowym papierosem, pokaszując lekko. Isabel zastanawiała się, skąd bierze się ten fatalizm, przecież dopiero niedawno przekroczył czterdziestkę. Wyglądał trochę nieświeżo, po raz pierwszy spostrzegła, że mankiety jego kremowych spodni są przybrudzone, a przy rękawie marynarki brakuje guzika. Wyraźnie dawał mu się we znaki brak żony.

Oglądanie dwóch braci Leme'ów razem było dla Isabel ciekawym doświadczeniem; przy stryju Donacianie ojciec wydawał się niższy i bardziej niż zwykle przypominał zdeformowanego gнома, był bardziej bezwzględnie, bezcelowo zajęty i oficjalny. Mimo to łączyło ich pewne rodzinne podobieństwo: lubili siadywać po kolacji w bibliotece, gwarząc cicho nad kieliszkami brandy lub wysokimi stożkowymi szklankami *chopp*, gdy tymczasem Isabel oglądała album z reprodukcjami obrazów Quattrocenta, wszystkie te śmiertelnie sztywne madonny i pomarszczone dzieciątka Jezus z oczkami jak guziki — jakże nudne i suche było to, czego się uczyła, jakie w czasie przeszłym w porównaniu z tym, co wydarzyło się jej, gdy była z Tristao albo słuchała jednej z piosenek Chica Buarque'a, w której przebiegle przemycono, mimo cenzury, liryczne namowy do rewolucji przeciwko władzom wojskowym, czy też gdy oglądała w telewizji jakąś mydlaną operę z aktorami i aktorkami równie młodymi jak ona sama. To był czas terazniejszy, natchniony przyszłością, nieokreślony czas nieskończenie szerokich możliwości. Czowała się dziwnie, przyglądając się ojcu i stryjowi, gdy przebywali razem, i zastanawiając się, czy sprawili kiedykolwiek, że kobieta czuła się tak jak ona z Tristao. Wydawało jej się to niemożliwe, a jednak zdarzały się chwile, gdy obaj mężczyźni zaczynali nagle rechotać, błysk konspiracyjnej wesołości sięgał niczym szczelina do okresu wspólnego chłopięctwa, i wtedy rozumiała ich braterską, męską komitywę, ich dawny sojusz.

Pewnego wieczora, gdy stryj odleciał z powrotem do Rio, ojciec Isabel, który wybierał się do Bogoty na czterodniową konferencję ekonomiczną, poprosił ją do swego gabinetu. Zaproponował jej z zakłopotaniem do wyboru: kieliszek brandy, szprycer z białego wina, *suco* albo Tab.

— Nie masz *cacbaca*? — spytała, wspominając rudere Ursuli z jej słodkawym odorem sfermentowanej trzciny cukrowej, pomieszanym z ostrym zapachem zaniedbanego kobiecego ciała.

Ojciec wzdrygnął się snobistycznie.

— Zatem brandy.

Nalał jej z ociąganiem francuskiego eliksiru, po czym, gdy płyn przestał już bulgotać w szyjce butelki, odchrząknął i powiedział:

— Isabel, poczucie ojcowskiego obowiązku nakazuje mi poruszyć delikatny temat. — Światła w gabinecie były przyćmione do czytania, w cieniu czoło Salomao wydawało się jeszcze bardziej wypukłe. — Dotyczy to mojego brata. Trudno było nie zauważyć, że uczucie i poufałość, jakie was łączą, mają wyjątkowy charakter.

Isabel skrzywiła się, brandy miała dla niej zbyt ostry smak.

— Gdy moja matka umarła — zauważyła — a ty topiełeś swój smutek w wirze pracy i podróżach, stryj zastępował mi ojca.

— Wiem, bardzo żałuję, ale tak musiało być. Teraz chcę wyrazić moje spóźnione, niemniej szczere ubolewanie z tego powodu. Czy mam coś na swoje usprawiedliwienie? Prawdopodobnie twój widok sprawiał mi ból, przypominając mi o Cordelii albo o naturalnym dążeniu do zachowania gatunku, które stało się przyczyną jej tragicznej śmierci.

— Jestem pewna, że robiłeś, co mogłeś, ojciec — wzruszyła ramionami Isabel. — Taki układ ma swoje psychologiczne korzyści. Dzięki temu nie groziło ci, że się rozczaruję co do ciebie. Każda twoja wizyta w Rio, każdy tydzień wspólnych wakacji w Petropolis, Patagonii czy Miami Beach był dla mnie cudownym przeżyciem. Gdybyś był bardziej dostępny, zapewne by mi to spowszedniało. Dzieci potrzebują uczucia, czyjejs

fizycznej obecności, ale nie są wybredne co do osoby, która im je ofiarowuje. Stryjenka Luna była dla mnie bardzo życzliwa, gdy nie pochłaniały jej obowiązki towarzyskie albo nie dostawała fioła na punkcie jakiejś swojej diety cud, poza tym służące, kucharki, zakonnice obdarzały mnie pieszczotami, uśmiechami, miłymi słowami. Czulałam, że jestem traktowana jak ukochane, faworyzowane dziecko. Zawsze w tle, niczym potężna opoka, znajdowałaś się ty, twój ogromny prestiż.

Ojciec wzdrygnął się po raz drugi. Gdy opuścił powieki, widać było, jak pod okiem drga mu nerwowo delikatna skóra, poznaczona żyłkami, niczym migotka u żaby.

— Z twojego opisu wynika, że miałaś raczej smutne dzieciństwo.

— Widocznie smutne dzieciństwo sprawia — powiedziała — że chcemy szybciej dorosnąć.

— Mój brat... — podjął na nowo temat Salomao, po czym na chwilę zamilkł. — Proszę, żebyś rozmawiała ze mną szczerze, nawet jeśli nigdy nie zasłużyłem sobie na twoje zaufanie. Czy pamiętasz, żeby mój brat kiedykolwiek nadużył bliskości, jaka wytworzyła się między wami w następstwie śmierci twojej matki i moich ambicji? Czy kiedykolwiek, to znaczy... — zaważał się jeszcze bardziej, wargi mu zadrzały — ... przekroczył granice, jakich nie wolno przekraczać stryjowi, mam na myśli sprawy fizyczne?

Dotknął ostatniego bastionu niewinności, jaki jej jeszcze pozostał.

Pytanie przyprawiło Isabel o mdłości, wymagało ono ogromnej zmiany jej poglądu na wychowanie i rozwój seksualny. Zacerwieniła się, różowy welon przesłonił nagle jej dzieciństwo, wszystkie szczegóły. Pamiętała jedynie apartament, widok z jego okien na podobne okna i budynki mieszkalne oraz lśniący pas oceanu, natomiast żadnych mieszkańców, tylko ona i stryj.

— Przytulał mnie czasem po ojcowsku — przypominała sobie gorliwie — coraz bardziej taktownie i ostrożnie od kiedy... od kiedy dojrzałam. Czasami przychodził do mojej sypialni, żeby pocałować mnie na dobranoc, chociaż już bez książeczek z bajkami, które zwykle czytał mi na głos, gdy byłam dzieckiem. Robił to wspaniale, z niezwykłą ekspresją i ożywieniem. Potem przysiadł już tylko na krześle obok łóżka. Milczał, wyglądał na znużonego i czasami czulałam, mimo że byłam wówczas dziewczynką, że dostarczam mu czegoś, czego nigdy nie dała mu stryjenka Luna, chociaż nic nie robiłam. Później, oczywiście, przeprowadzili separację i stryj zniknął o dziwnych porach, często nie było go przez kilka nocy, a opiekę nade mną przejęły zakonnice, toteż widywaliśmy się znacznie rzadziej i nasze stosunki nie były już takie bliskie. Tak, kochałam stryja, a on mnie, ale myślę, ojczu, że nie doceniasz wartości krwi Leme'ów, jeśli potrafisz wyobrazić sobie, że twój brat mógłby przekroczyć pewne granice kontaktu fizycznego. Zachowywał się absolutnie właściwie i wypełniał godnie obowiązki opiekuna, które nałożyłeś na niego z powodu osobistych ambicji i rozterek.

A jednak, nawet gdy wygłosiła tę gorącą przemowę w obronie stryja, zamykając temat na zawsze, czuła, że coś poruszyło się w różowej mgielce jej wczesnych wspomnień — jakiś dotyk czy oględziny, jakieś ożywienie, których nie udawało jej się wydobyć z mroków pamięci. Pomyślała, jakie to przerażające, że człowiek nie dorasta, wzbogacając po prostu własne doświadczenia, lecz traci swoje wcześniejsze "Ja". Przed nami ciemność i za nami ciemność.

Twarz Salomao w przyćmionym świetle wydawała się pełna smutku, jeszcze bardziej nieforemna i podobna do ślimaka. Przyglądał się w zamyśleniu córce swoimi szaro-niebieskimi oczami, o kilka tonów jaśniejszymi od jej własnych. Myślał, że Isabel nie może wiedzieć o pewnej *rapariga*, czarnej dziewczynie, która kupczyła swoimi wdziękami i kochała *cachaca*, szalonej dziewczynie o małej owalnej głowie i smukłym bezwstydnym ciele, do której chadzał regularnie w wesołych czasach w Rio, zanim się ożenił. Potem zaszła w ciążę, oczywiście nie mając pojęcia, który z rzeszy odwiedzających ją mężczyzn jest ojcem jej dziecka, i zniknęła z jego życia, by to dziecko urodzić. Teraz, patrząc na Isabel, Salomao zastanawiał się, czy jego córka nie ma gdzieś w Brazylii szarookiego brata, w którym płynie nie wiadomo po co dumna krew Leme'ów.

XI. Fabryka

Tymczasem Tristao dzięki dyplomatycznym naciskom z góry zdobył pracę w fabryce *fuscas*. Samochody, nieduże volkswageny „garbusy”, produkowane w różnych odcieniach brązu, od czego nazywano je w Brazylii *fuscas*, montowano w gigantycznej hali. Jej północny koniec, niczym wyglodniała paszcza, pożerała części samochodowe, południowy natomiast, niczym niestrudzony odbył, wydalał gotowe *fuscas*. Wewnątrz, pod

płaskim stalowym dachem, który podtrzymywały ukośne wsporniki, znajdowały się rozklekotane, skrzypiące tory, przeznaczone do transportu ciężkich części, takich jak silniki i podwozia. Hałas przy montażu nie ustawał ani na chwilę i był taki okropny, że Tristao obawiał się, iż nie tylko straci chęć do słuchania muzyki *forró*, lecz w ogóle zdolność cieszenia się życiem. Maszyny czynią z mężczyzn maszynami. Jego pierwszym zadaniem było zbieranie upuszczonych śrub, plastikowych pojemników na żywność, skrawków metalu, czyszczenie plam oleju — lepkich odchodów gigantycznej przemysłowej bestii. Następnie awansował — przykręcał śruby po prawej stronie — najpierw były to śruby mocujące łożyska tylnych kół (szesnastomilimetrowe, dokręcane aż do momentu obrotowego równego czterdziestu trzem stopofuntom), a później, na początku drugiego roku pracy — śruby mocujące silnik, o przekroju siedemnastu milimetrów, ale dokręcane do momentu obrotowego równego tylko dwudziestu dwóm stopofuntom. Dzięki temu, że moment obrotowy był mniejszy i Tristao miał lepszy dostęp do zespołów, przy których obecnie pracował, po ośmiu godzinach pracy odczuwał mniejsze bóle w karku i pod prawą łopatką. Gdy kładł się wieczorem spać, miał wrażenie, że ktoś dźga go w te miejsca szydłem. Stopniowo mięśnie rozluźniły się i ból minął. Zdumiewał go wygląd własnych rąk — twardych, dobrze rozwiniętych mięśni, zgrubiałej skóry na dłoni, w której trzymał klucz.

Jego partner, który razem z nim dokręcał śruby, był dobroncznym, leworęcznym *cafuso* o imieniu Oscar, pochodzącym z Maranhao. Ponieważ był w pracy jego lustrzanym odbiciem (dokręcał sześć śrub — cztery większe i dwie mniejsze, które mocowały mały silnik *fusca* w komorze), szeroka płaska twarz — na której geny przywiezione przez statek pełen niewolników z Afryki przemieszczały się z genami azjatyckimi, które dotarły piechotą z Syberii nad gorącą Amazonkę — stała się dla Tristao bliższa od własnej. Gdy przeglądał się w zmatowiałym lustrze w pracowniczej toalecie, twarz, którą widział w lustrze, wydawała mu się mirażem, pomyłką — zbyt ciemna, o zbyt wysokim czole, zbyt wąskich wargach i zbyt przenikliwym spojrzeniu. Oscar miał szeroką przerwę między przednimi zębami, toteż Tristao, przyzwyczajony do luki w uzębieniu, którą odsłaniał figlarny, przyjacielski uśmiech Oscara, odnosił wrażenie, że jego własne siekacze zachodzą na siebie boleśnie.

Czasami, żeby urozmaicić nudę, przyśrubowywali silnik odwrotnie, niż należało, i jeżeli robotnicy, pracujący dalej przy taśmie, podłączający rozmaite kable i przewody, uczestniczyli w żarcie, mały odważny samochodzik właściwie sam wprawiał się w ruch w południowym końcu fabryki i przejeżdżał wraz ze swym kierowcą około stu metrów do parkingu, gdzie trzymano gotowe do transportu samochody. Oskar wyjaśnił, że volkswagen jest wspaniałą maszyną, zaprojektowaną przez sławnego czarnoksiężnika o imieniu Hitler, żeby pociągnąć niemieckie masy do miejsca zwanego Walhallą.

Gdyby ich psikus wyszedł na jaw, Tristao i Oscar zostaliby wyrzuceni z pracy i osadzeni w więzieniu za sabotaż. Pod rządami wojskowej terminologia wojenna miała wpływ na język państwowy. Tristao byłby szczęśliwy, gdyby zwolniono go z pracy, ale bał się więzienia, ponieważ odsunęłoby go jeszcze bardziej od Isabel. Nadal nie wyrzekł się swojego marzenia o miłości. Nie żył też w całkowitej cnotce — dzielnica Chiquinha obfitowała w chętne dziewczyny, a nawet w fabryce, mimo tyrańskiego rygoru, który narzucił rząd i *sindicatos*, można było zawrzeć znajomość, co więcej — skosztować ją w przerwie na kawę czy wychodząc do toalety. Jednakże jego dusza pozostała czysta, duchowy organ, gdzie jego życie domagało się swego wiecznego kształtu.

Virgilio, młodszy i szczuplejszy z dwóch rewolwerowców, z początku pilnował Tristao nader gorliwie, czekając na niego po pracy przy bramie fabryki, towarzysząc mu wieczorem, gdy szedł się trochę rozerwać, i śpiąc z nim w tym samym pokoju na łóżku barykadującym drzwi. Jednakże w czasie, gdy Tristao spędzał długie godziny w pracy, Virgilio wstąpił do Tiradentes, klubu piłki nożnej w Moóca. Treningi trwały często do późnego popołudnia, a podczas meczów wyjazdowych jego nieobecność przeciągała się do godzin wieczornych, potem zaś ulatniał się na całą noc, a nawet na kilka kolejnych nocy. Chiquinho, Polidora i Tristao snuli domysły, że związał się z jakąś kobietą — ponieważ wiele dziewczyn leciało na gwiazdy piłki nożnej, nie mówiąc o tych, którzy nosili broń — albo że tajemniczy *poderosos*, grube ryby, przydzielili mu pilniejsze zadanie.

— Niech ci się nie wydaje, bracie — ostrzegł Chiquinho — że skoro Virgilio zaniedbuje swoje obowiązki, możesz uciec, udać się w pogoń za swoją szaloną miłością. Grube ryby wiedzą, gdzie mieszkam, i jeśli wymkniesz się spod ich kurateli, wywrą zemstę na mnie i mojej Bogu ducha winnej rodzinie. Mogę znaleźć małą Esperancę i Pacheca na podwórku z poderzniętymi gardłami. Gang może porwać Polidore i zgwałcić ją. Nie mówię o sobie — odwołuję się do twojego poczucia przyzwoitości jako stryja, jako szwagra.

— A gdzie się podziało twoje braterskie poczucie przyzwoitości, gdy mnie zdradziłeś, oddałeś w łapy moich wrogów?

Chiquinho niezdarne zamachał kredowobrazowymi rękami:

— Każdy wróg twojego szaleństwa jest moim przyjacielem. Zrobiłem to na prośbę naszej błogosławionej matki, żeby ratować cię przed twoją seksualną obsesją.

Tristao roześmiał się, tak absurdalne było kłamstwo brata.

— Moja matka poczuła sympatię do Isabel.

— Nieprawda, nienawidzi jej jako przedstawicielki klasy ciemniejącej i zarazem protekcyjnej. Sympatia jest jednostronna, stanowi dowód perwersyjnej psychiki wyższych sfer. Przyglądałem się tej dziewczynie, gdy ją tutaj przyprowadziłeś — nie bała się niczego, była tak niedosiężna, jak mogą być tylko bogaci. Reakcyoniści przynajmniej na tyle szanują biednych, żeby się ich bać. Zapomnij o tej jasnowłosej dziewczynie, tak jak ona bez wątplenia zapomniała o tobie. Czy nie karmiliśmy cię z Polidorą przez ten cały czas? Czy nie powodzi ci się lepiej niż wtedy, gdy zjawiłeś się u nas dwa lata temu? Zdołałeś poszukiwane na rynku pracy umiejętności, masz oszczędności w banku, przy bezprecedensowym wzroście gospodarczym — ponad dziesięć procent rocznie!

Tristao nie mógł wyjść z podziwu, że jego brat, podobnie jak on syn czarnej matki, potrafi z takim patosem karmić go mdłą papką białego establishmentu. Dajemy czynić z siebie niewolników za okruchy — za zwyczajne imitacje okruchów. Tristao, nawet poddając się braterskiemu *abraco*, był zdecydowany uciec.

Udał się do banku i podjął wszystkie swoje oszczędności — dość, by utrzymać się przez kilka tygodni, jeśli będzie żył skromnie i podróżował najtańszymi środkami lokomocji. Pewnej nocy, gdy Virgilio był w Espirito Santo, gdzie grał w jakichś okręgowych półfinałach, Tristao czekał, aż ucichną za ścianą jego zaryglowanej celi-sypialni kapryśne, nie mogące zasnąć dzieci, a szepty Chiquinha i Polidory, omawiających wydarzenia dnia — plotki z sąsiedztwa, zawodowe trudności brata jako szefa zespołu sprzątającego laboratorium — ustąpią przeplatającym się westchnieniom i chrapaniu. Po przesiąkniętym *cachaca* chaosie i nędzy rudery jego matki Tristao z zaciekawieniem obserwował małżeństwo należące do drobnej burżuazji, o pewnych aspiracjach. Postrzegał Chiquinha i Polidorę jako dwoje ludzi posuwających się w pozycji kucznej wąskim korytarzem o ścianach z zaciekami z obłazącą farbą, ludzi zderzających się głowami za każdym razem, gdy próbują się wyprostować, i nigdy nie mogących dotrzeć do dużego pokoju, który sobie wyobrazili, przestronnego, z wysokim sufitem i oknami z widokiem na świat. Zamiast tego czołgają się razem lekliwie w świetle mrugających żarówek, a tymczasem ich kości stają się coraz bardziej łamliwe, skóra się marszczy, włosy wypadają. Tristao, gdy tylko połączy się znów z Isabel, uniknie takiej śmierci za życia. Isabel jest jego życiem wiecznym.

Ściana nad jego głową wibrowała od oddechów pogrążonych we śnie, nieświadomych niczego ludzi. Wokół małego domku panowała cisza i spokój, dobiegały tylko wrzaski parzących się kotów i szum kradzionego prądu w nielegalnie zainstalowanych transformatorach. Ukradkiem, stąpając boso po posadzce, w starych kąpielówkach i koszulce z nadrukiem LONE STAR, która służyła mu jako piżama, spakował ubrania i resztę swego nędznego dobytku do nowego worka, plecaka z błyszczącego pomarańczowego płótna, który kupił i trzymał w tajemnicy pod łóżkiem. Zamierzał ukryć plecak pod karłowatą palmą, rosnącą w kącie niewielkiej parceli Chiquinha. Owoce koloru pomarańczy i rozłożyste, zwieszające się nisko nad ziemią gałęzie tworzyły wręcz idealną kryjówkę. Wychodził do fabryki *fuscas* wcześniej rano, kiedy dzieciaki wierciły Polidorze dziurę w brzuchu o śniadanie niczym małe rekiny obgryzające większego, konającego, a Chiquinho brał swój przymusowy poranny prysznic, gdyż nawet pyłek łupieżu może wprowadzić zamieszanie w układach scalonych komputera. Nie zauważony, Tristao zabierze spod palmy swój worek, zarzuci go na plecy i pojedzie do Brasílii. Pieniądze, które podjął w banku, zwinął i również schował do plecaka; teraz, pod osłoną czarnej nocy, przekradł się na dwór, żeby ukryć pomarańczowe zawiniątko pod małą palmą.

Ale jego brat nie spał, albowiem zaledwie aluminiowe drzwi z wytłoczonym wzorem imitującym plecioną trzcinę zamknęły się z cichym trzaskiem za Tristao, Chiquinho, szary cień, w samych tylko sportowych spodenkach, znalazł się za nim na małym betonowym ganku. Wyszedł drzwiami od podwórza. Chwytał Tristao z całej siły za ramię, niczym metalowa łąpa przenosząca ciężkie części w fabryce *fuscas*.

— Nie możesz stąd odejść.

— Dlaczego?

— Polidorze i mnie potrzebne są pieniądze, które grube ryby płacą za ciebie. Twój wyjazd przyniesie nam hańbę.

— Sam już się zhańbiłeś, biorąc forszę od tych rewolwerowców nasłanych na twojego brata.

— Czy w Brazylii pieniądze pochodzą od kogoś innego niż *poderosos*? Zabiją cię, jeśli się im przeciwstawisz.

— Śmierć nie jest najgorszym wyjściem dla człowieka. Najstraszniejsze to dać się pokonać. Życie bez Isabel nie jest dla mnie życiem.

— Z pewnością o tobie zapomniała.

— Jeśli tak, to będę mądrzejszy, gdy się o tym dowiem.

— Grube ryby zwałą na mnie całą winę. Zemszczą się na mojej rodzinie.

— Tę rozmowę mamy już za sobą.

Mówili nerwowo, ale cicho, ich głosy zagłuszało przeraźliwe miauczenie kotów. Żeby nie obudzić śpiącej rodziny, bracia przenieśli się na małe podwórko z wydeptaną trawą i czerwoną ziemią, zaśmiecone tanimi plastikowymi zabawkami Esperancy i Pacheca. Chiquinho trzymał nadal ramię Tristao w stalowym uścisku. Tristao próbował strząsnąć jego rękę, na razie delikatnie.

— Powiedz im, że nie udało ci się mnie zatrzymać — powiedział bratu. — To przecież prawda. Nie ty miałeś mnie pilnować, lecz Virgilio.

— Prawda nie pomaga ludziom takim jak my. W Brazylii zabija się ludzi za mówienie prawdy.

Twarz brata, przysunięta nienaturalnie blisko, żeby mógł słyszeć jego szept, stężała z fanatycznej zachłanności, lśniła w świetle latarni jak wypolerowany metal. Ale co taka wzniosła mowa o „ludziach takich jak my” miała wspólnego z Tristao i jego tęsknotą za Isabel — za jej pięknym, jasnym ciałem w ciemnym pokoju, za tymi dwoma naoliwionymi zaworami, które tak chętnie witały jego spragnionego naganiacza? Szarpnął mocniej ramię. Bracia zaczęli się mocować, wydając ciche pomruki, na małym splechietku zaniedbanej trawy, na pustej, niebieskawo oświetlonej ulicy. Wypchany plecak był ciężką zawadą, poza tym w Chiquinha ogarniętego paniką, że straci łatwe źródło dochodu, wstąpiła siła demona. Ale Tristao napiął mięśnie, stwardniałe podczas dwuletniej pracy przy dokręcaniu śrub, w monotonnym rytmie, który prześladował go nawet we śnie, jak koszmar, i wolną ręką wykręcił wąż ramię brata, aż Chiquinho jęknął i cofnął się. Wciąż jednak nie zrezygnował z walki, wyciągając długie ręce niczym krab, który w akcie samoobrony staje na ogonie. Rzuciłby się znów na swego brata, gdyby nagle w palcach Tristao nie zmateriałizowała się żyłtka o jednym ostrzu napisem GEM. Trzymał ją w nocy w spodenkach, na wypadek gdyby Virgilio wrócił z meczu piłki nożnej — jak to zdarzyło się raz czy dwa po przegranej — pijany, wściekły, napastliwy. Dwa szczupłe palce w ułamku sekundy wyciągnęły żyłtkę. Tristao przeobraził się nagle w nowe dziwne stworzenie o jednej długiej, falującej macce.

— Uważaj — rzekł ostrzegawczo, wymachując powoli macką, tak aby brat mógł zobaczyć połyskujące w świetle latarni ostrze. Był magicznie skoncentrowany na tym bezlitosnym ostrzu, tak jak dwa lata temu na szarych rewolwerach dwóch najemnych bandytów, które zmieniły perspektywę salonu w domu Chiquinha.

Rzucił plecak na ziemię. Chiquinho nie mógł oderwać oczu od lśniącej małej żyłtki w dłoni brata. Tymczasem Tristao chwycił go drugą ręką za chudą szyję, żeby nie mógł ruszyć głową. Przyłożył żyłtkę do policzka Chiquinha. Jego ruchy były pewne i skoordynowane. Górnym rogiem żyłtki nadciął skórę, a następnie przejechał ostrzem aż do miejsca, gdzie zaczynał kłaskać się cieniem jednodniowy zarost. Z cięcia długości około pięciu centymetrów zaczęła się sączyć cienka strużka krwi. Dziwny chrapliwy dźwięk wydarł się z zaschniętego gardła Chiquinha. Tristao czuł pod palcami, jak porusza się nerwowo jego grdyka. Przesunął żyłtkę przed zahipnotyzowanym wzrokiem brata, jak gdyby miał zamiar skaleczyć mu drugi policzek, ale wyczytał w oczach Chiquinha, że się poddaje.

— Pokaż to grubym rybom na dowód, że walczyłeś — zasugerował mu Tristao. — Wyświadczyłem ci przysługę w rewanżu za wszystkie przysługi, które ty wyświadczyłeś mnie.

XII. Dworzec autobusowy

Tak więc Tristao uciekł, mimo że był boso i miał na sobie tylko kąpielówki oraz koszulkę tak zniszczoną i

spłwiała, że reklama restauracji w Leblonie była prawie nieczytelna. Czuł, że nie może pozwolić sobie na powrót do swego pokoju, by odzyskać ubranie, w którym zamierzał pójść do pracy — spodnie oraz przewiewną jedwabną koszulę, kupioną przez Isabel na ich podróż poślubną. Chiquinho mógłby otrząsnąć się z szoku i podnieść alarm. Lepiej stracić ubranie na korzyść następnego właściciela i bez dodatkowych problemów pobiec ulicą, uważając tylko, żeby nie pokaleczyć stóp o walające się na niej odłamki szkła.

Liczył przecznice i gdy minął dziesiątą, zwolnił kroku, dysząc ciężko. Pot spływał mu po plecach pod paskami plecaka. Dzisiejsza noc niepostrzeżenie przeszła w jutro. Autobusy nie kursowały. Chodniki ocierały mu podeszwy stóp, które wydelikaciły się po dwóch latach noszenia butów. Beton Sao Paulo to nie piasek plaży w Rio. Kierował się na północ od Moóca, do dzielnic zamieszkałych przez warstwy średnie, gdzie podejrzliwe spojrzenia strażników bloków mieszkalnych skłaniały go, by biec dalej, nawet jeśli obrzucali go obelgami. Intensywniejsza poświata na zachodzie podpowiadała mu, gdzie znajduje się serce miasta. Wysoką estakadą, przerzuconą nad wąwozem Rio Anhangabahu i dochodzącą do Avenida do Estado, Tristao szedł ponad zielonymi terenami Parque Dom Pedro Segundo, nad koronami drzew zastygłymi w bezruchu niczym stwardniały wosk. Gdy skręcił do dzielnicy Se, powitał go przyspieszony rytm życia: *boites* i bary pulsowały muzyką.

Idąc na północ, w kierunku Estacao da Luz, mijał dziewczyny w długich białych butach i bardzo krótkich, obcisłych spodenkach. Stały, rozmawiając z mężczyznami i rozglądając się dookoła, wypatrując jakiegokolwiek szczeliny w murze życia, gdzie mógłby zakwitnąć chwast okazji. Jedna z owych *raparigas* o skórze koloru wypolerowanego i naoliwionego drzewa cedrowego zbliżyła się do niego, mimo że musiał wyglądać na biedaka. Piersi w obcisłej bluzce miała obnażone aż do ciemnej otoczki brodawek, a jej bezwstyd był tak wielki i tak radosny, że jego biedny naganiacz obudził się do życia. Zwykle o tej godzinie dręczył go natrętny koszmar senny — przykręcał śruby, które się nie obracały, gdy tymczasem fragmenty Oscara szczyrzyły do niego zęby w uśmiechu jak w rozbitym lustrze.

— Wiem, że ci się podobam — powiedziała dziewczyna. — Mam na imię Odete.

— Owszem, podobasz mi się, ale oddałem moje serce innej, którą właśnie zamierzam wyrwać z łap grubych ryb.

— Jeśli ona też cię kocha, nie będzie miała mi za złe, że cię naciągnę na marne dziesięć nowych cruzeiros.

Suma nie przekraczała ceny pasztecików z krewetkami, *empadinha de camarao*, na które również miał ochotę.

— Ale dokąd możemy pójść? — spytał.

— O przecznicy stąd znajduje się schludny hotel, gdzie mnie znają i nie zdzierają zbyt dużo za pokój. — Dziewczyna wyczuwała, że Tristao to nie tylko bosa noga i wytarta koszulka, że jest w nim coś więcej. W hotelu powiedziała, że jest zbyt duży, żeby go mogła wziąć do ust, musi więc ją wypieprzyć, jedynie za dodatkowe dziesięć cruzeiros plus cena kondomu. Tristao zaprotestował świętoszkowato przeciwko kondomowi, ale Odete wytłumaczyła mu, że to tylko dla jego dobra, ponieważ zepsute dziewczyny, takie jak ona, nie żyją długo. Jest wiele chorób, a późne godziny pracy i ciągłe napięcie sprzyjają uzależnieniu od narkotyków, poza tym po świecie chodzi mnóstwo chorych mężczyzn, którzy zabijają dziwki dla sportu.

— Czemu więc...? — zawahał się z pytaniem.

— Prowadzę takie życie? — Gdy się uśmiechała, jej wargi odsłaniały zęby niczym przecięty owoc okrągłe ziarenka.

— Lepsze krótkie życie niż żadne. Na łożu śmierci nawet najdłuższe życie wydaje się zbyt krótkie.

— Moja matka — Tristao odczuł potrzebę, by jej to powiedzieć — jest kurwą.

Odete uniosła brwi w zdumieniu, aż utworzyły idealne łuki nad oczami koloru cynamonu.

— I nienawidzisz jej za to?

Ponieważ nie łączyła ich miłość, łatwiej mu było rozmawiać z tą dziewczyną niż z Isabel.

— Nic mnie to nie obchodzi — wyznał. — Tego właśnie mnie nauczyła — żeby nic do niej nie czuć.

— Ach, zawsze mamy jakieś uczucia dla swoich matek — powiedziała Odete. — Oszukujemy się tylko, że tak nie jest.

Chciał jej opowiedzieć, jak Isabel udawała, że kocha jego nie wzbudzającą miłości matkę, ale wydało mu się to zbyt skomplikowane do wyjaśnienia, a w dodatku było nadużyciem i profanacją wszystkiego. Na razie, mimo że jeszcze jej nie wypieprzył, Tristao czuł się lekko znudzony. Dziewczyny, które przewinęły się przez jego życie, chętne do pieprzenia, przekonywały go, że idealna miłość, która połączyła jego i Isabel, jest niebezpieczna i apodyktyczna. Miłość jest wszędzie, odkrył Tristao, i nie rozwiązuje żadnych problemów. Prawdę mówiąc, stwarza je. Mężczyźni spacerujący w południe ulicami Sao Paulo i z podnieceniem omawiający interesy nie kochają się o trzeciej nad ranem. Tristao zadrzał wewnątrz, widząc, jak słabo jego życie trzyma się jakiegokolwiek wzorca poza postępującym rozkładem od urodzenia do śmierci. Trwał uparcie przy idealnym wizerunku Isabel jak przy jedynej jasnej nitce w swej ciemnej przyszłości.

Mimo to wypieprzył Odete; najpierw na czworakach, zgodnie z jej sugestią — wypięte pośladki dziewczyny przypominały gładkie, naoliwione łuki z drzewa cedrowego, potem ona ujeżdżała Tristao, wspartego wysoko na wezglówiu — poplamionym przez wiele brudnych głów — tak że jej lewa ciemna brodawka ocierała się o jego wargi za każdym razem, gdy pierś opadała wraz z jej właścicielką. Unosiła się i lądowała na nim, cylinder dla jego tłoka. Finiszował powoli, nie przyzwyczajony do lepkiego ucisku kondomu, a gdy wreszcie szczytował, wijąc się i jęcząc, uśmiechnęła się z zawodową satysfakcją. Gdy zsuwała się z jego wiotczącego członka, z zakątką gęstych kręconych włosów o rudawym połysku, przypominających włosy na jego głowie, dobiegł odgłos przypominający cmoknięcie.

W przeciwieństwie do Isabel Odete była przysadzista, miała grube nogi i brzuch, który za kilka lat będzie zwiślał jak hamak. Miejsce zawodowego uśmiechu zastąpiła teraz mina będąca wyrazem zachłannej stanowczości; jeśli wróci na Avenida Casper Libero, może przed świtem uda jej się złapać następnego klienta.

— Czy możesz mi powiedzieć, zanim się rozstaniemy — spytał, płacąc jej — gdzie mógłbym o tej porze kupić buty? Jak widzisz, stać mnie na nie — po prostu w pośpiechu zostawiłem cały swój dobytek. I paszteciki z krewetkami — zbliża się pora, o której zwykle jadam śniadanie. — Czemu ta krępa dziwka onieśmielała Tristao teraz, gdy byli ubrani? Odnosił wrażenie, że potrzebuje mniej złudzeń od niego, by żyć — że w tym plugawym świecie jest swobodna, czuje się jak ryba w wodzie, tymczasem on z trudem pokonuje swoją drogę, spętany przekonaniem o swojej misji, o istnieniu przeznaczenia.

— Co do pasztecików z krewetkami, mogę wskazać ci mały sklepik, w bok od Jardim da Luz, ale jeśli idzie o buty, musisz zaczekać do rana. Czy wciąż ci się podobam? Czy sądzisz, że ta, którą kochasz, miałaby coś przeciwko temu, że pieprzyłeś mnie i bawiłeś się moimi cymbalami?

— Potraktowałaby to z dystansem — powiedział Tristao. — Podobnie jak ty jest realistką.

Tristao rozstał się z Odete na zawsze, następnie znalazł jasno oświetlony trójkątny sklepik, gdzie zaspany sprzedawca nie miał *empadinhas de Camarao*, lecz tylko *empadinhas de galinha*, w dodatku nieświeże. Ruszył ze swym plecakiem na północ przez dzielnicę Bom Retiro, gdzie sklepy miały spuszczone żaluzje i nieczytelne napisy z wyblakłych liter w kształcie płomieni, w kierunku dworca autobusowego obok stacji kolejowej Sorocabana. Mdłe elektryczne światło sączące się z wnętrza mieszało się ze światłem poranka. W środku leżały na podłodze setki śpiących ludzi z tobołkami, papugami w klatkach i prosiakami, które miały ryjki skrępowane prowizorycznymi kagańcami z pasków podartej odzieży. Dworzec był niczym pysk, cuchnący ogromną zacoфанą wsią, przytknięty do skrajnej metropolii. Stęchła wilgoć ludzkiego snu unosiła się ciężko nad podłogą. Puszczone luzem kurczęta siedziały jak na grzędzie na oparciach plastikowych krzeseł, na których drzemali pijacy, ich głowy podrygiwały nerwowo. *Caipiras*, wieśniacy, wypełniali wszystkie zakamarki za schodami oraz rzędami szafek i klecili wzdłuż ścian zaimprovizowane schronienia; to, co na pierwszy rzut oka wyglądało na stosy śmieci zwalone w kątach, okazywało się bezładną masą śpiących ludzi, nakrytych tekturą i plastikowymi workami na śmieci, co miało ich odgradzić od jarzących się, mrugających świateł. Teraz, gdy blask poranka wkraść się do środka, koguty w klatkach zaczynały pisać, a małe dzieci, ubrane w szmatki sięgające zaledwie do pepeków ich wzdętych brzuszku, dreptały bezradnie, szukając miejsca, gdzie mogłyby zrobić siusiu, i mrugając w oszołomieniu, jak gdyby pytały, po co się urodziły.

Tristao znalazł wreszcie w labiryncie budynku kasę, w której mógł kupić bilet do Brasilii. Miała być otwarta za dwie godziny i ustawiła się już do niej długa kolejka. Stali w niej komiwojażerowie w zmiętych garniturach, studenci w sandałach, z kucykami i w koszulkach z podobiznami Che Guevary, biedni *caboclos* i *sertanejos* z głębi kraju w ubraniach przypominających pizamy, sztywnych od żółtego kurzu, którzy ciągnęli do Sao Paulo

niczym głodne psy do nadjeźdzonej padliny wołu. Nawet oni patrzyli z góry na czarnego bosego chłopca w starych kapielówkach, kilku z nich próbowało nawet wepchnąć się przed nim do kolejki, ale Tristao błysnął wojowniczym temperamentem, rzucając im kilka krótkich, dosadnych słów.

Włożył bilet do Brasalii do wewnętrznej kieszonki razem ze swoją żyletką, po czym znalazł sklep sportowy na innym piętrze dworca, otwierający właśnie swe podwoje, gdzie kupił białe płócienne tenisówki za sumę trzykrotnie przekraczającą cenę usług Odete. W zestawieniu z jego szczupłymi kostkami wyglądały niezgrabnie, jak oslepiające kajaki, ale były wspaniale wygodne i miały gąbczaste, sprężynujące podeszwy. Podróż autobusem do Brasalii trwała piętnaście godzin, w dodatku musiał stać w przejściu aż do Belo Horizonte.

XIII. Lodziarnia

Isabel często spędzała wieczory z przyjaciółmi w lodziarni „Sorveteria Janio Quadros”, nazwanej tak na cześć prezydenta, który zniknął. Niektórzy brazylijscy prezydenci ustępowali pod wpływem gniewu, inni popełniali samobójstwo, żeby zademonstrować swoją miłość do kraju, jeszcze inni byli zastępowani przez władze wojskowe, żeby zadowolić Stany Zjednoczone — za życia Isabel jedynie Kubitschek przetrwał pełną kadencję, pozostawiając po sobie pamiątki w postaci Brasalii oraz inflacji. Na ścianach lodziarni wisiały plakaty z Brigitte Bardot i Fidelem Castro; wysokie boksy stwarzały czterem lub pięciu (a ściśniętym nawet sześciu lub siedmiu) osobom poczucie konspiracyjnej intymności. Niebieskawy dym z papierosów — najpopularniejszymi markami były „Continental”, „Hollywood” i „Luis XV” — wisiał w powietrzu tak jak woń snu i uryny na dworcu autobusowym, który Tristao opuścił osiemnaście godzin temu. Na marmurowej ladzie błyszczwały rozmaite chromowane urządzenia — kraniki i dystrybutory, pokręta i elastyczne rurki — potrzebne do produkcji napojów chłodzących, lodów, kawy z ekspresu, smolistej i gorzkiej, takiej jaką lubią Brazylijczycy.

— Sartre jest jednookim klaunem i pedofilem — dowodził jeden z uniwersyteckich kolegów Isabel, Sylvio — ale Cohn-Bendit obali de Gaulle'a, podobnie jak Jerry Rubin Johnsona, a Dubček zniszczy Breżniewa. — Na świecie poza granicami Brazylii wrzało i najwyraźniej młodzież ulegała tym nastrojom. Znajomi Isabel, synowie i córki przedstawicieli elity, byli tak podnieceni jak kibice piłki nożnej, gdy przez stadion przewalała się fala entuzjazmu. Sylvio, którego ojciec był wielkim *fazendeiro* w Bahii, demonstrował swój radykalizm, przrzuciwszy się z drogich papierosów „Minister” na siekierowate „Mistura Fina”, które palili robotnicy.

— Breżniew nigdy nie pozwoli, żeby socjalizm miał ludzką twarz — perorował Nestor Villar ze swojego kąta zadymionego boksu. Szczupły i ascetyczny, był synem pułkownika i twierdził, że jest anarchista, wykraczającym znacznie poza płytki zapach lewego skrzydła. — Gdyby socjalizm miał przybrać ludzką twarz, pękłby jak bańka mydlana! Dyktatura proletariatu nie może pozwolić sobie na to, żeby jej podmioty były ludźmi — musi mieć roboty na dole, a potwory na górze. — Gdy mówił, ślina zbierała mu się w kąciakach ust, tworząc obrzydliwe białe bąbelki. Parę semestrów temu Isabel przespała się z nim kilka razy, ale jego penis był mały, ze smętnymi niebieskawymi żyłkami i niepokojąco jasnorożową moszną, i musiała się niezłe natrudzić, żeby wreszcie stanął. Zerwała z nim pod pozorem, że nie podobają jej się jego poglądy polityczne, że przesiąknął faszyzmem swego ojca bardziej niż mu się zdaje, i jego domniemana anarchia trąci militarną interwencją. Anarchia, powiedziała mu Isabel, oznacza dla ciebie jedynie skasowanie nieznaczących ograniczeń wyzysku i grabieży, które już istnieją. Jeśli jest na kuli ziemskiej kraj, który nie potrzebuje ideału anarchii, to jest to anarchiczna Brazylia, której flaga państwowa tak tęsknie wpisuje porządek i postępek w rozgwieżdżone południowe niebo.

— W Stanach Zjednoczonych — mówił dalej Sylvio, obserwując twarz Isabel przez obłoki dymu, opary kawy i kwaskowy zapach lodów topiących się w ciężkich szklanych pucharkach w kształcie karaweli — czarni, w następstwie zabójstwa Martina Kinga, obrócili Waszyngton w gruzy. Chicago i Baltimore również. Zbliża się koniec nie splamionych pracą imperialistów z Północy.

Wiedział, że Isabel lubi słuchać dobrych opinii o czarnych. Nie spała z nim jeszcze, ale znajdowali się w trakcie negocjacji. W ciemności, rozjaśnionej tylko światłem pochodni podczas antyimperialistycznego marszu, był u jej boku, jego dłoń szukała jej dłoni, która nie trzymała płomiennego transparentu albo świecy, niesionej w proteście. W ciepłym chaosie, gdy podawano sobie z rąk do rąk trawkę, a bossa nova Elis Reginy czy *tropicalismo* Gilberta Gila albo z większej odległości jazz Coltrane'a lub przejmują, cy głos śpiewającej po hiszpańsku Joan Baez, przesączały się przez otępiały mózg Isabel, usta Sylvia szukały jej ust, a jego ręka wsuwała się pod jej ubranie. Miał tłuste kędzierzawe włosy do ramion i był niższy od niej, ale nie to było powodem, że się z nim nie przespała; po prostu nie nastąpiła jeszcze odpowiednia chwila i Isabel wcale nie miała ochoty, żeby nastąpiła. Dopóki nie poszła z nim do łóżka, miała coś w rezerwie, coś, na co mogła czekać i

delektować się tym oczekiwaniem. Skończyła właśnie dwadzieścia jeden lat i jej życie było raczej coraz bardziej puste niż pełne. Ojciec objął stanowisko ambasadora w Afganistanie, a stryj Donaciano coraz rzadziej przyjeżdżał do Brasillii. Teraz, gdy była już dorosłą kobietą, interesował ją mniej; stanowił jedynie ucieleśnienie jej niewinności, która go fascynowała i którą mógł zbrukać. Był maj, zbliżała się zima, co tutaj, na *planalto*, z jego gwiazdzistymi nocami, po raz pierwszy w życiu zmusiło ją do uwzględnienia wełnianych swetrów w garderobie. W tym semestrze przeniosła swoje zainteresowania z historii sztuki na botanikę; mimo to wciąż czuła się zagubiona, niezadowolona ze swego wykształcenia. Uczenie się i czytanie — wszystkie te dokuczliwe rzędkie szarych drukowanych liter, będące udręką dla jej oczu, wymagające, by w kółko je powtarzała, dopóki wreszcie czegoś nie zrozumie — nie dawało jej satysfakcji; przyszłość nie należy do słowa pisanego. Należy do muzyki, do ruchomych kolorowych obrazów, do mydlanych oper i meczów piłki nożnej oraz retransmisji ostatniego lutowego karnawału; zainstalowała odbiornik telewizyjny w swoim pokoju w akademiku, jej współlokatorki martwiły się o nią. Żyła we śnie, z pewnością obleje egzaminy.

— Czarni nigdy nie podniosą buntu ani tu, ani gdzie indziej — powiedziała ostro do Sylvia, zapalając kolejnego papierosa "Hollywood". — Są zbyt szczęśliwi i dobrzy. Są zbyt piękni. Zawsze tak było. Indianie umierali z powodu niewoli, czarni wyrosli ponad to dzięki swej wspaniałej naturze. Dzięki temu, że będąc lepszymi, pozwalali traktować siebie jak gorszych, podobnie jak Żydzi, potrafia żyć w naszym okropnym dwudziestym wieku — żyć, a nie tylko egzystować. — Wzmianka o Żydach była czymś w rodzaju flirtu z Sylviem, niezauważalnie przybliżyła moment, gdy pójda razem do łóżka, ponieważ pochodził od „nowych chrześcijan”, którzy migrowali z pierwszymi kolonistami portugalskimi, żeby rozwijać produkcję cukru, i jak się wydawało, bez uprzedzeń wchodzili w mieszane związki. Mimo to poczucie przynależności narodowej przetrwało, kontrast pomiędzy „nowymi” i „starymi” zmniejszył się, w miarę jak katolicyzm bładł w każdym kolejnym pokoleniu, nigdy jednak całkiem nie zniknął, niczym plama na wytartym obrusie, która nie znika mimo licznych prań, aczkolwiek staje się coraz mniej widoczna.

Clarice, współlokatorka Isabel, która spała z Sylviem i miała ochotę przespać się z Nestorem, mimo że Isabel w przypływie niedyskretnej wesołości opisała jego wątpliwe walory, wyjęła leniwie kontinentalą i powiedziała z wyczuwalną wrogością:

— Myślę, że ich idealizujesz, moja droga. Wszyscy to robimy, by oszczędzić sobie poczucia winy z powodu ich beznadziejnego położenia. A oni spiskują z nami i to jest najbardziej zdradzieckie, przez to, że są tacy cholernie malowniczy.

Inna studentka, pedantyczna Ana Vitória o zdumiewającej fryzurze, składającej się z nierównych kępek w kolorze palonej sjeny, z okularami w drucianej oprawce, ledwie trzymającymi się na czubku nosa, wtrąciła:

— Podobnie zachowuje się współczesna socjologia, naśladując Gilberta Freyre'a, który jest mistrzem samozadowolenia. Gdyby Brazylijczycy nie byli romantykami, otworzyłyby się im oczy na ich rzeczywistość oraz na rzeczywistość, w jakiej żył Karol Marks.

— Marks też jest romantycznym głupcem — szydził Nestor.

— Sądzi, że proletariat to jeden wielki superman, gdy tymczasem jest to zbiór pochlipujących, małostkowych spiskowców i pasożytów. Podobnie jak kapitaliści, komuniści chcą ukryć ucisk i okrucieństwa swoich społeczeństw pod olśniewającymi mitami. Czym się różnią Castro, Mao i Ho Chi Minh od naszych gwiazd filmowych, naszych Myszek Miki i Gary Cooperów na swoich plakatach? Wszystkie rządy chcą ukryć przed nami prawdę o sobie. Prawdę o ludziach poznaje się tylko w warunkach anarchii. Jesteśmy bestiami, zabójcami, dzikusami, kurwami.

— Czemu wymieniasz „kurwy” w jednym rzędzie z tak pejoratywnymi określeniami? — zaprotestowała Ana Vitória.

— Kurwa to kobieta obracająca kobiecymi aktywami w pewnej określonej sytuacji rynkowej. Twoje królowe wyższych sfer, twoje księżne Monako obracają nimi w innych warunkach. Seksualna moralność nie istnieje. To wyrażenie jest oksymoronem. Kobiety muszą przetrwać.

— Właśnie! — wykrzyknął Nestor triumfalnie, niczym wojskowy, który korzysta z chaosu, żeby narzucić to samo.

— Właśnie, właśnie — zawtórowała Clarice przez stół, który stanowiła pojedyncza szeroka deska z

brzydkiego czerwonego drzewa, *pau roxo*, lepka od lodów wtartych w słoje, poprzypalana papierosami. Clarice powiedziała do Nestora gardłowym głosem: — Tak jak stwierdziłeś, anarchia jest jedynym uczciwym stanem — ludzka rasa bez romantyzmu, bez kapitalizmu, bez marksistowskiego gówna.

Nestor wyraźnie zgłupiał, słysząc ten komplement, obsypana trądzikiem szczeka opadła mu, jak gdyby ktoś właśnie przypiął się do jego penisa. Isabel zamknęła oczy, wyobrażając sobie jego biały, przypominający robaka organ, i wzdrygnęła się z obrzydzenia.

— Isabel... a ty się z tym zgadzasz? — spytał Sylvio, myśląc być może, że taka reewaluacja wartości przybliżyła chwilę, gdy zdobędzie tę dziewczynę.

— Ana mówi tylko „przetrwać”. Ja mówię „żyć” — powiedziała Isabel. Zaczerwieniła się lekko, ponieważ te słowa zabrzmiały dla niej naiwnie. W jej żyłach wrzała krew, nie mogła dopuścić, by inni się tego domyślili.

Sylvio, którego szeroka twarz miała taki sam niespokojny i nieufny wyraz jak twarz brata Tristao, Euclidesa, tamtego dnia na plaży, chciał coś obwieścić. Głos miał tak przytłumiony i napięty, że wydawało się, iż nawet dym papierosowy zamienił się w słuch.

— Najbliższy czwartek. Protest studencki obejmujący cały uniwersytet. Wyznaczony na południe. Pomaszerujemy Eixo Rodoviario do katedry, potem dalej do pałacu prezydenckiego, dopóki policja nie otworzy do nas ognia. Potrzebne są nam ofiary, żeby spowodować międzynarodowy skandal. Będą kamery telewizyjne, obiecano nam to. Wszystko zostało zaplanowane w taki sposób, by nasze demonstracje zbiegły się ze strajkami robotników w zakładach przemysłu włókienniczego i papierniczego. To będzie piękne — nasza śmierć zgładzi bestię. Ci, którzy przeżyją, zbiorą się później na polu golfowym.

— Protest studentów znajduje się w opozycji do protestu robotników — powiedziała Ana Vitória stanowczym, uszczypliwym tonem, suchym jak szelest przewracanych kartek. — Jest próbą utrzymania władzy pod przykrywką rewolucji przez młodsze pokolenie wywodzące się z klasy rządzącej.

— Brazylia jest nie zanadto romantyczna, lecz nie dość romantyczna — wykladał Nestor, podniecony tym, że Clarice go pragnie. — To najbardziej pragmatyczny kraj na całym kontynencie. Kim byli nasi rewolucjoniści? Dentysta, który pisał denne poematy, i cesarski syn regent, który chciał się utrzymać na stołku!

— Isabel — rozległ się nagle jeszcze jeden głos, nieśmiały a jednocześnie rozkazujący. — Isabel.

Otworzyła oczy i ujrzała Tristao, stojącego przy końcu pokiereszowanego stołu, wysokiego czarnego chłopca z pomarańczowym plecakiem na ramionach, w koszulce tak spłowiałej i zniszczonej, że z trudem dawało się odczytać nadruk na niej. Przez chwilę krótką jak mgnienie oka, speszona zdumionymi spojrzeniami kolegów, zwątpiła, że go zna. Jej pierwszą reakcją było przerażenie.

— Jak mnie znalazłeś? — spytała.

Uśmiechnął się, słysząc jej oskarżycielski ton. Leniwa swoboda, z jaką obnażył przepiękne zęby — silne, prostokątne, bez wątplenia zęby młodości — sprawiła, że poczuła na powrót, iż stanowi część jej najlepszego, najgłębszego „ja”, część, która ją wzbogaca. Jego czoło, również prostokątne, było wyższe, niż zapamiętała, wznosiło się niczym wał obronny nad smutnymi, głęboko osadzonymi, atramentowoczarnymi oczami.

— Wyczułem twój zapach — wyjaśnił. Głęboki, melancholijny głos Tristao i charakterystyczna dla mieszkańców Rio miękka wymowa rzuciły urok na gadatliwych kolegów Isabel, zamilkli nagle. Miły kształt jego nosa, spłaszczony jak gdyby po to, by dać nozdrzom większą możliwość wdychania powietrza i wchłaniania zapachów, czynił jego hiperbolę prawdopodobną.

Głos Tristao wywołał w Isabel wibracje — czuła się przeobrażona — muzyka klawesynowa została spartowana na kwartet smyczkowy. Jego uśmiech przybladł nieco, stawał się coraz bardziej ponury, gdy wyjaśniał:

— Virgilio dostał wiadomość od Cesara, że studiujesz na tutejszym uniwersytecie. Gdy wysiadłem z autobusu po piętnastu godzinach podróży, spytałem, gdzie zwykle spotykają się studenci. To już dwunaste z kolei miejsce, w którym cię szukam. Nie wydajesz się specjalnie zachwycona moim widokiem. Nie jesteś już tamtą osiemnastoletnią dziewczyną.

— Ależ bardzo się cieszę — zapewniła go. — Przepraszam — powiedziała do Sylvia, który siedział pomiędzy nią a wolnością.

— Masz kłopoty? — spytał ją. — Kim jest ten łapserdak?

Głos Sylvia brzmiał nijako w uszach Isabel, był piskliwy ze strachu, mimo że przed chwilą chłopak szpanował, mówiąc o maszerowaniu pod lufami karabinów.

— To mój przyjaciel — wyjaśniła pewnie, uzbrajając się w odwagę. Słowa: „To mój mąż” nie mogły jej przejść przez usta.

Clarice i Nestor wymienili nad stołem konspiracyjne spojrzenia, siedząca obok Ana Vitória patrzyła sztywno przed siebie, jak gdyby czekała, że marksizm podpowie jej, co ma robić. Sylvio, poirytowany, nie wstał, lecz tylko odsunął na bok nogi, żeby Isabel mogła przejść obok niego, jej pupa w krótkiej dzinsowej spódniczce przesunęła się tuż przed jego twarzą. Pokryte trądzikiem policzki Nestora poczerwieniały, jak gdyby ktoś go spoliczkował, tak bardzo wyprowadziła go z równowagi niespodziewana ingerencja w ich studenckie życie.

— *Ciao* — rzuciła Isabel.

— *Ciao* — odpowiedzieli niezgodnym chórem.

— *Adeus* — rzekł bardziej oficjalnie Tristao, skłoniwszy się lekko.

Przyciskając do jędrnych piersi ciężki podręcznik botaniki, poszła za nim w kierunku wyjścia przez zadymioną salę. Świeże powietrze, nocne niebo, ciemne muskularne ciało obok — to były lody innego rodzaju, rozkoszne uczucie nie w ustach, na języku, w gardle, lecz w niżej położonych organach, połączonych tajemniczo z duszą i jej aurą. Rozdarta na ramieniu koszulka odsłaniała trójkątną plamę, ciemniejszą od lakierowanego brezyłkowego drzewa, i Isabel przypominała sobie, jak wzruszająco podatna na blizny jest czarna skóra która w przeciwieństwie do skóry białej nigdy nie zapomina, zapamiętuje każde zadrapanie i pęcherz, zawsze w ciemnoszarej tonacji, jak kreda na niestarannie wytartej tablicy.

XIV. Pod gwiazdami

Na zewnątrz miejskie światła Brasillii wypierały nacierającą na miasto pustkę. Restauracje, w których podawano wodnisty rosół, *canja de galinha*, oraz bary, tętniące życiem, z których dobiegał głośny śmiech młodzieży, rzucały na chodniki kwadratowe plamy światła; w górze jaśniały prostokątne okna, jak gdyby chciały przyćmić gwiazdy. Isabel miała na sobie obcisły różowy pulower z krótkimi rękawami, w pasie przewiązała, na wypadek gdyby noc była chłodna, bluzę z wizerunkiem Catedral Nacional w kształcie korony. Gdy przyspieszyła kroku, żeby dogonić Tristao, powiewająca bluza spotęgowała wrażenie wyzywającego, zaczepnego ruchu jej bioder. Nowe białe tenisówki Tristao świeciły w kałużach światła elektrycznego. Inni przechodnie rzucali im przelotne spojrzenia. Stanowili źle dobraną parę, ale Brazylię zamieszkują same źle dobrane pary.

Oddychając coraz ciężiej, dotknęła dłonią ramienia Tristao, jak gdyby chciała prosić go, by zwolnił kroku. Cofnęła ją szybko, zaskoczona stalową twardością jego bicepsów. Tak, był starszy, mięśnie mu stwardniały, twarz nieco wyszczuplała w kąciku ust — zauważyła z boku — pojawiła się drobna zrnarszczka, której przedtem nie było. Isabel odczuwała uniesienie, podniecenie, ale też spieszyła się, jak gdyby czas wziął nagle ostry zakręt i staczał się w dół.

— Tak, pracowałem — powiedział jej. — Przez dwa lata musiałem przykręcać śruby mocujące silnik w fabryce *fuscas*, aż wreszcie zaczęło mnie to dręczyć nawet we śnie. Pragnąłem śnić o tobie, Isabel, ale twoja twarz, twój głos, zacierały mi się w pamięci, dzień po dniu, noc po nocy. Zbuntowałem się i pociąłem bratu gębę, żeby stamtąd uciec.

— A teraz mnie widzisz — powiedziała Isabel, udając beztrudną radość, i położyła białą dłoń na stalowym ramieniu Tristao, zmuszając go, by szedł ze swym pomarańczowym garbem trochę wolniej w tamtą stronę, gdzie światła ściemniały się coraz bardziej, w miarę jak Eixo Rodoviario łagodnie skręcała. — Wciąż ci się podobam?

Jej kochana wypukła twarz małpki, blada z niewyspania, wydawała się teraz dziwnie krucha, jak gdyby smutek powoli wypijał z niej wszystkie soki.

— Dotknij mnie, to się przekonasz — powiedział.

— Tutaj, na ulicy? Jesteś szalony, Tristao. — A jednak sama myśl o tym sprawiła, że jej figi pod krótką dżinsową spódniczką zrobiły się mokre w kroku.

— Wstydzisz się być ze mną? Uciekłem z domu mojego brata dosłownie w tym, w czym spałem. Dlatego jestem taki obdarty. W rzeczywistości mam w plecaku pewne zasoby — dwuletnie oszczędności.

— Nigdy nie dojdzie do tego, żebym nie chciała być z tobą — powiedziała i przesunęła dłonią po rozporoku jego spodenek, gdzie budziła się do życia bulwa ignamu.

— Musimy się kochać i rozmawiać.

— Tak. Chodźmy, mój mężu. Wkrótce znajdziemy odpowiednie miejsce.

Zostawili już za sobą miejskie światła, mijali teraz grupy robotników, czekających na autobusy, które miały ich odwieźć do dzielnic slumsów w buszu. Ich białe koszule majaczyły w ciemności jak grzywacze na nocnym oceanie. Gdy przestali spotykać samochody, w ciemności błyskały już tylko białe tenisówki Tristao i długie platynowe włosy Isabel. Chodnik się skończył. Dwupasmowa autostrada była przedzielona pośrodku szerokim pasem zieleni. Gdy szli po nim, Isabel czuła przez sandały delikatne ukłucia rosy, która opadła z odwróconej misy krystalicznej nocy zawieszanej nad nimi. Zwolnili kroku, przystawali, by się całować i dotykać, wsuwali nawzajem dłonie pod swoje cienkie szmatki, pieścili spragnioną skórę.

Tu i ówdzie na szerokim pasie zieleni głównej autostrady rosły rozmaite drzewa, prawdziwe gaje. Botaniczne wykształcenie pomogło Isabel rozpoznać *pacobas*, dzikie banany o ogromnych liściach, a także rosące w symbiozie z nimi jukki o lancetowatych liściach i ogromnych kwitnących kwiatostanach. Roślinność była tak gęsta, że Tristao i Isabel czuli się ukryci, leżąc na podściółce z kory i suchych liści opadłych z drzew bananowych. Wysoko nad nimi było tylko czarne niebo usiane gwiazdami, gdzieś ich skupiska były większe, podobnie jak pustynne krzewy porastają gęściej koryta wyschłych strumieni, którymi niegdyś płynęła woda. Gwiazdy, widziane z gaju, z dala od światła Brasili, świeciły tak jasno, że dominowało to nad ich chaosem — bez wątpienia zwiastowało to jakiś wielki cud. Wystarczyło, że Isabel zdjęła figi spod króciutkiej spódniczki, a Tristao pozbył się szortów, by znów zostali kochankami. Jej piczka była dla niego niczym śmietanka po dwóch latach pragnienia.

— Nie rozstawajmy się już nigdy — westchnął, wciąż jeszcze w niej pulsując.

— Nie rozstaniemy się — przyrzekła.

— Dokąd możemy pojechać? Gniew twojego ojca dosięgnie nas wszędzie.

— To nie gniew, to niesmak, uprzedzenia kulturowe, skutek warunków, w jakich się wychowywał. Spójrz w górę, Tristao. Równie bezkresny jak to niebo jest brazylijski interior. Udamy się na zachód i tam się ukryjemy.

Gdy tych dwoje leżało wśród pięknej, bujnej roślinności — przypominającej dżunglę z powodu nieokiełznanych dzikich bananów, których zielone spiczaste owoce wydzielaly delikatny słodki zapach, mieszający się z pobudzonym piżmem Isabel i *bodum* Tristao, który był bardzo silny po długich trudach podróży — po obu stronach pasa zieleni sunęły sznury samochodów. Skrzydlate anioły przednich światel odwiedzały ich na oślep w podszyciu, wywołując strzępiaste cienie gałęzi i liści i odsłaniając przed oczami ukrytych kochanków ich nagie ręce, nogi, brzuchy. W tych błyskach światła oboje widzieli strach na swoich twarzach. Każde z nich próbowało wyobrazić sobie interior.

— Przez krótki czas uda nam się przeżyć za moje pieniądze — powiedział — ale zżera je inflacja, nie wystarczą nam na długo.

— Mam tylko pieniądze na drobne wydatki, ale mogę ukraść trochę rzeczy z apartamentu ojca i sprzedać je. Wciąż mam świecznik, którego nie dałam twojej matce, papierośnicę stryja Donaciana i mały krzyżyk. Ukradnę biżuterię mojej matki, którą trzyma ojciec. W gruncie rzeczy należy przecież do mnie.

— Nie bierz niczego, co ma dla twojego ojca wartość sentymentalną — polecił Tristao. — Mam nadzieję, że pewnego dnia zostaniemy przyjaciółmi.

Wyrwał jej się mimowolny okrzyk, który powiedział mu, że to próżna nadzieja. Przerazenie, czarne i ogromne jak region, do którego się wybierali, ścisnęło mu chłodem żołądek; obecność Isabel łagodziła jednak strach. Drobne okruchy kory brazylijskiej sosny, która, gnijąc w podszyciu, wracała do natury, przykleiły się do pośladków Isabel, gdy się kochali. Poprosił, żeby przyjęła pozycję na czworakach tak jak wczoraj Odete, i oczyścił z tych powbijanych okruchów bliźniacze poduszki jej białego, bardzo białego tyłeczka. Ucałował lewy pośladek, następnie prawy, po czym wsunął język do ciasnego, małego otworu między nimi. Nigdy przedtem tego nie robił, nawet w „Hotel Amour”. W pierwszym odruchu zaczęła się wrywać, ale czując, że trzyma ją mocno za biodra, poddała się, nie chcąc skazić ich miłości piętnem wstydu. To, co należało do niej, należało do niego. To były nowe zasady ich wspólnego życia. Wdychał okrągłymi, lęklivymi nozdrzami, którymi zachwycała się na nowo dzisiejszego wieczoru, podstawową tajemnicę jej kału, substancję, która należała do niej, ale nie była nią. W ten sposób zostawił Odete w przeszłości i rozluźnił się, łącząc na powrót swoje przeznaczenie z przeznaczeniem Isabel.

Gdy wynurzyli się wreszcie z bananowego gaju, światła Brasillii na horyzoncie wydały im się mdłe i niewyraźne — zniszczone karty perforowane, przyćmione zmysłowym bogactwem gwiazd. Wracając w stronę stolicy ciemnym pasem zieleni, Isabel i Tristao uzgodnili, że spotkają się na dworcu autobusowym o siódmej, żeby złapać autobus do Goianii.

XV. Goias

Autobus, skrzypiące pudło pomalowane na zielono i całe pokryte czerwonym kurzem i wyschniętym błotem, włócił się straszliwie. Początkowo był przepelniony, po pewnym czasie jednak opróżnił się gwałtownie, gdy opuścili kruchą nowoczesność Brasillii oraz pierścień slumsów, które wyrosły podczas pospiesznej budowy stolicy i nigdy — na przekór planom — ich nie rozebrano. Wkrótce zostało niewiele pasażerów, opuścili dystrykt federalny i znaleźli się na prawdziwej wsi, *campo cerrado*, gdzie falisty krajobraz z zabudowaniami rancz przecinały niskie, rachityczne laski, a pola brązowiły w drugim już miesiącu pory suchej. Isabel, uzbrojona w swoją świeżą wiedzę botaniczną, rozpoznała tytoń i fasolę, bawełnę i kukurydzę. Ogołoczone łodygi miały smętny wygląd; w wiejskim krajobrazie tkwi jakaś melancholia, absurdalność, która sparaliżowała serca dwójki młodych mieszczuchów — usypiająca monotonia, jak w przypadku człowieka, który zna zaledwie kilka słów, ale gada bez przerwy. Potem pola skończyły się, na nie ogrodzonej wyschniętej sawannie, ciągnącej się aż ku niebieskawym grzbietom górskim, majaczyły czarne punkciki — bydło, które z daleka do złudzenia przypominało kępki kolczastych krzaków. Niegdyś ta okolica była zapewne bardziej urodzajna; droga prowadziła przez miasteczka puste jak pęknięte dzbany, z walącymi się zabudowaniami i kompletnie zdziczałymi ogrodami.

Młodzi trzymali się za ręce, lepkie od potu z powodu coraz większego upału, i na zmianę drzemali. Tristao spędził noc na ławce na dworcu autobusowym w obawie, by go nie obrabowano, omotawszy wokół rąk szelki plecaka i ukrywszy zwitek *cruzeiros* na brzuchu, pod kieszonką kąpielówek, gdzie żyłtka czekała tylko na to, żeby ją wyjąć. Dworzec był jasno oświetlony i miejscowi, skupieni w małych grupkach, najwyraźniej traktowali to miejsce jak coś w rodzaju kasyna gry, ciskając z trzaskiem kamyki *domina* i z pokrzykiwaniem rzucając kostką przy grze *bozó*. Tristao zasypiał od czasu do czasu na dziesięć minut i budził się, gdy paski plecaka tamowały mu krwiobieg. Isabel leżała rozbudzona w swoim ponurym pokoju na końcu skracającego łagodnie korytarza, słuchając, jak wysoki, chudy służący i jego gruba żona powoli szykują się do snu. Przesuwała wzrokiem po całym pokoju ozdobionym plakatami znajomego studenta, płytami oraz książkami, których szerokie grzbiety spoglądały na nią z wyrzutem w świetle księżyca. O piątej wstała i spakowała ukradkiem dwie niebieskie walizki, po czym zjechała na dół, mając nadzieję, że strażnik w holu będzie spał. Na ulicy wyglądała ze swoimi ciężkimi walizkami raczej jak jeszcze jedna pełna nadziei przyjezdna, która zamierza w stolicy poszukać urzędniczej pracy, niż jak uciekinierka z bogatego domu. Dojechała taksówką do dworca, gdzie zjadła razem z Tristao tanie śniadanie, składające się z kawy, *pupunha* oraz chleba z serem. Tym razem przyrzekli sobie oboje, że będą żyć oszczędniej niż w Sao Paulo.

Obudzili się z drzemki, gdy rozklekotany, skrzypiący autobus dotoczył się do przystanku w mieście, gdzie znajdował się jedyny kościół z samotnym surowym krzyżem na szczycie frontonu ozdobionego spiralnym ornamentem. Na ramionach krzyża gestykulowali wyszczerbieni kamienni święci. Na pstrokatym froncie sklepu tuż obok przystanku nie wisały żadne nowe afisze, tylko gruba warstwa starych, spłowiałych. Jedynym przejawem handlu była starucha, sprzedająca kaczany kukurydzy pieczonej na ruszcie, na węglu drzewnym, w słonecznym kącie pod białoną ścianą. Miała na sobie brudną suknię z koronkowym stanikiem, a na głowie plastikową czapkę z daszkiem przeciwslonecznym i reklamą piwa „Brahma”. Gliniane dachówki w miasteczku popękały i zwichrowały się, jak gdyby pod ciężarem obojętnego nieba, którego błękit był tak surowy

jak świeżo położona farba.

W miarę jak posuwali się w głąb kraju, zdawali się cofać w czasie. Coraz mniej samochodów ścigało się z autobusem na zwężającej się drodze. Mężczyźni i kobiety trzęśli się niemiłosiernie, jadąc poboczem na osłach, które miały rzęsy długachne jak u lalek. Samochody były przestarzałe, o prostokątnych sylwetkach, ze schodkami i łukowatymi dwuwymiarowymi zderzakami, pochodziły najwyraźniej z ery, gdy Brazylia nie miała jeszcze własnego przemysłu i kupowano samochody w Ameryce Północnej, używane, z dużym przebiegiem, po wielu remontach. W oddali ciężarówka o burtach z desek ciągnęła za sobą pióropusz żółto-brunatnego kurzu, w którym trudno było odróżnić *vaqueiros*, kowbojów, w skórzanych ubraniach od ich koni i bydła. Krajobraz, gdzie ogrodzone drutem pola nie wcinały się w faliste suche pagórki, przypominał śniadą skórę, odporną na zadrapania i wodę, pokrytą bladymi szramami i odciskami. Tristao i Isabel początkowo patrzyli przez okno na monotonne widoki Goias, wkrótce jednak oczy zaczęły ich szczytać i zajęły się sobą. W brzuchach burczało im z głodu i przerażenia na myśl o wyzwaniu, jakie podjęli.

— Tutaj wszystko należy do bydła i jego właścicieli — zauważył Tristao. — Nie widzę miejsca dla nas, choć ziemi jest tyle.

— Przecież przejechaliśmy dopiero niewiele kilometrów — uspokajała go Isabel. — Brazylia jest nieogarnionym krajem o nieograniczonych możliwościach.

Mimo to w Goianii, gdzie dojechali po sześciu godzinach, bezlitosna geometria miasta — okrężne ulice, ponumerowane, bez nazw — doprowadziła ich z powrotem na dworzec autobusowy przy Avenida Anhanguera. Nieregularny sen i posiłki dały się we znaki Tristao. Isabel spakowała do dwóch niebieskich waliz sporo swoich ubrań i skarbów, plecy bolały go od ciężaru pomarańczowego plecaka; była niczym ciężki klejnot zawieszony na jego szyi. Miedzianoskórzy robotnicy z rancz, otumanieni *cachaca*, gapili się na ulicy na tak bardzo białą dziewczynę z tak bardzo czarnym chłopcem. Im dalej od wybrzeża, tym bardziej przeważała indiańska krew. Tristao czuł, że zwraca na siebie uwagę, a Goiania przypominała w pewnym sensie Brasilię — jeszcze jeden abstrakcyjny projekt, narzucony przez urbanistów nie stawiającej oporu pustce — ponieważ ojciec Isabel wydawał się wciąż niebezpiecznie bliski. Młodzi byli głodni, ale restauracje, do których zaglądali, przerażały ich, albowiem ze środka dolatywały głośnie wybuchy prostackiego męskiego śmiechu, zgrzytanie ostróg o drewnianą podłogę i intensywne zapachy pieczonej na ruszcie wołowiny oraz taniej *pinga*. W końcu znaleźli na Avenida Presidente Vargas „Restaurante Dourado”, specjalizującą się w daniach z ryb odławianych w pobliskich rzekach i jeziorach. Właściciel był Ukraińcem o łysej głowie i kilku metalowych zębach. Poczul sympatię do swoich nowych klientów, równie egzotycznych jak on sam. Powiedział im, że potrawa *dourado* jest szczególnie smaczna z sosem z bananowego puree, zmieszanego z tartą cebulą i skórką cytrynową. Na deser polecił rzadki owoc o nazwie *mari-mari*, po czym przysiadł się do ich stolika na długą chwilę, by opowiedzieć, jak się tu znalazł. Była to zagmatwana historia, sięgająca drugiej wojny światowej. Dostał się do niewoli podczas inwazji niemieckiej i siłą wcielono go do specjalnych oddziałów, którymi obsadzano niektóre obozy jenieckie o niejasnym przeznaczeniu. Uciekł, gdy Rosjanie napadli na Polskę, wiedząc, że go zlikwidują jako zdrajcę i przestępcę wojennego.

— Za dużo widziałem — powiedział. — Udało mi się przedostać do Brazylii. — To szczęśliwy kraj. Ogromne możliwości zarobku i krótka pamięć. — Gdy się roześmiał, jego sztuczne zęby zabłysły jak szuflada pełna noży.

Kiedy zaspokoił głód, wróciła im energia, toteż udali się oboje do sklepu na krętej ulicy o nazwie Rua 82 i kupili sobie kowbojskie buty ze spiczastymi czubkami, szyte wyszukany ściegiem. Przyjąwszy gościnną restaurację za dobry omen, wsiedli do autobusu jadącego na północ, w kierunku Goias Velho i Serra Dourada.

Kochankowie ocknęli się z niespokojnego snu w skrzypiącym autobusie, w mdłym świetle poranka pnącym się pod górę drogą, która przeszła w szeroki, zakurzony trakt. Gałęzie kolczastych krzaków drapały boki pojazdu. Ziemia nie była już grodzona, autobus przystawał więc co chwilę, by przepuścić błąkające się zeby o oklapłych uszach i absurdalnych garbach. Na pewnym odcinku drogi musieli wlec się za furmanką zaprzęzoną w woły, wysoko załadowaną nie wyłuskany kolbami kukurydzy i prowadzoną przez bosego, może dziesięcioletniego chłopca z batem, w wystrzępionym słomkowym kapeluszu. Tu i ówdzie widać było białe ściany jednopiętrowych *ranchos*, przycupniętych na zboczach, a jeszcze wyżej nie pomalowane chałupy, gdzie tylko małe wypielone zagony, obsadzone maniakiem i fasolą, były świadectwem ludzkiego wysiłku skierowanego przeciwko palmom, dzikim pnączom winorośli i kolczastym *quips* oraz opuncjom. Autobus trząsł, kołysał się na wszystkie strony i w pewnej chwili głowa Isabel, której rozpacz przydała ciężaru ołowiu, opadła na ramię Tristao. Przed południem dotarli do miasta, położonego nad górskim strumieniem. Było tu niewiele więcej poza gospodą, sklepem i kościołem z zabitymi na głucho drzwiami.

— Gdzie my jesteśmy? — spytał Tristao kierowcę, gdy wszyscy pasażerowie, jak gdyby na znak, którego tylko on nie słyszał, wysiedli z autobusu na śliski, niebieski bruk rynku.

— Curva do Frances — odpowiedział kierowca. — Dalej nie ma już drogi.

Wszyscy pasażerowie rozproszyli się. Na niektórych czekali, byli tutaj najwyraźniej małżeństwa, które spotkały się po długiej rozłące i teraz, po przywitalnych uściskach, dzieliły góry tobołków przywiezione przez jedno z małżonków z daleka, po czym oddalały się razem ścieżką, ledwie rysującą się wśród gęstoty, do niewidocznego domu. Isabel, która po długiej podróży miała mdłości i kręciło jej się w głowie, była oszołomiona sytuacją, w której się znaleźli. Tristao czuł ściskanie w dołku na myśl, że musi być dzielny za nich oboje. Musi pilnować ukradzionych luksusowych przedmiotów, ukrytych w ich bagażu, a także swojego zwitka *cruzeiros*. Może tutaj, w głębi kraju, nie dosięgnie ich inflacja.

Chichotliwy szum rwącego krętego strumienia, stłumiony lekko przez napierający las, przenikał powietrze. Słońce za warstwą chmur — zamazana plama na niebie — przypominało raczej księżyc. Otwarte drzwi gospody o nazwie „Flor da Vida” kusily ich jako jedyne schronienie i miejsce, gdzie toczyło się życie. Gdy weszli do środka, grupka innych gości, trajkoczących z głośnym nosowym akcentem typowym dla tych stron, co sprawiało wrażenie, jak gdyby chcieli dosłyszeć swoje głosy w nieustającym wietrze, umilkła nagle. Mała dziewczynka z buzią okrągłą jak talerz i warkoczami splecionymi tak mocno, że włosy błyszcząły jej na czubku głowy niczym warstwa lakieru, podeszła do nich nieśmiało.

— Moja żona i ja jesteśmy głodni — powiedział Tristao, który nawet w tym skromnym otoczeniu rozkoszował się szczęściem, że może nazwać Isabel swoją żoną. Czuł się tak, jak gdyby z jego ciała wykielkowało inne ciało i ta jedna, tworząca całość istota, była niezdarna, lecz imponująca, posiadająca ogromną godność.

— Co możesz nam podać do jedzenia? — spytała Isabel niższym teraz, kobiecym głosem, z celową łagodnością, żeby delikatnie nakłonić nieśmiałą kelnerkę do odpowiedzi.

— Ryż i czarną fasolę — odpowiedziało dziecko. — I jeszcze *farinha*.

— Czy jest jeszcze coś do wyboru? — spytał Tristao.

— Nie mamy już nic więcej, proszę pana — odparła dziewczynka, a po chwili dodała: — Chyba że suszone kozie mięso.

— Dobrze, poprosimy — powiedziała Isabel. Gdy mała kelnerka zniknęła za wahadłowymi drzwiami obok baru, które zamknęły się z trzaskiem, Isabel nakryła białą dłonią dłoń Tristao, spoczywającą na chropowatym blacie stołu, i rzekła: — Przybyliśmy do królestwa niewielkiego wyboru.

— Głodowanie albo suszone kozie mięso — powiedział z gorzką satysfakcją.

Ale kiedy podano im parujące jedzenie na talerzach grubości palca, okazało się nadszpiewanie pyszne. Nawet żyłaste kozie mięso rozplątało im się w ustach. Gdy jedli, podszedł do nich gruby, niski mężczyzna, którego ruda broda niemal zlewała się z miedzianoczerwonym kolorem skóry. Miał wysoko zarośnięte policzki i nawet kępkę włosów na czubku nosa. Mała kelnerka podała im bez pytania dwie szklaneczki z przezroczystą *pinga*, a teraz przyjaźnie nastawiony nieznajomy przyniósł do stołu trzecią.

— Co was sprowadza do Curva do Frances u stóp Serra Dourada? — Głos miał chropawy, ale wyrażał się starannie, jego sposób mówienia można by porównać do prymitywnej wiejskiej kopii barokowej stolarki.

— Autobus nie jechał dalej — wyjaśnił Tristao, na wszelki wypadek kładąc dłoń na metalowym prostokacie w pasku szortów. — Nie mieliśmy wyboru, przyjacielu.

Miedzianoskóry mężczyzna uśmiechnął się, obnażając nierówne, psujące się zęby pośród ryżego zarostu.

— Droga prowadzi dalej, tylko kierowca jest łobuzem. Po prostu ma tutaj na przedmieściach kobietę, u której spędza noc. Droga ciągnie jeszcze przez sporo mil, wierzcie mi.

— To tutaj są przedmieścia? — spytała Isabel teraz swym dziewczęcym głosem, śmiejąc się srebrzyście.

Wpatrując się w nią swymi kaprawymi oczami, rudzielec wyjaśnił:

— Przedmieścia są rozległe. Kiedyś parafia miała dwadzieścia tysięcy wiernych, nie licząc Tupi oraz Indian Chacriaba.

— I co się stało? — spytał Tristao.

Mężczyzna wywrócił oczy o różowych białkach pod ognistymi brwiami, rozglądając się dookoła, jak gdyby to, co zamierzał powiedzieć, nie powinno dotrzeć do uszu bywalców „Flor da Vida”.

— Złoto zostało wyeksploatowane mniej więcej wiek temu. — Dramatycznie zawiesił głos. Miał na sobie skórzaną kamizelkę, włożoną na zwykłą koszulę, obie w rdzawym kolorze; trudno było powiedzieć, czy ten odcień był skutkiem farbowania, czy też miejscowego kurzu. — Ale Curva do Frances będzie znów metropolią — zapewnił ich. — Wszystkie plany są nietknięte. Koncentryczne ulice, symetryczne parki, wspaniały punkt medyczny prowadzony przez jezuitów. Przewidziano nawet — uczciwszy uszy *senhory* — dalej położoną dzielnicę burdeli, zaaranżowaną w taki sposób, by wejścia do nich zapewniały dyskrecję patronom. — Zatrzymał wzrok przez niezręcznie długą chwilę na Isabel, czekając na jej reakcję.

— Brzmi to interesująco — powiedziała — dla tych, którzy potrzebują takich usług.

Tristao znów dotknął swej żyletki i spytał wprost:

— Czy znajdzie się w tej okolicy jakaś praca dla mężczyzny?

Miedzianoskóry był najwyraźniej zaskoczony jego pytaniem.

— *Senhor*, proszę się rozejrzeć dookoła. Co pan widzi? Chałupy, cierniste krzewy, wspomnienia i nadzieje. Jak wspomniałem, złota już nie ma. Wywędrowało gdzie indziej.

— Tym razem zmierzył Tristao zagadkowym, ożywionym spojrzeniem.

Młodzieniec chwycił przynętę.

— Dokąd?

— Ach... gdzieś tam. — Uczynił wymijający ruch ręką ponad ścianą baru, w kierunku gór. — Do Serra do Buraco. Są tam tysiące ludzi, mój młody przyjacielu, którzy się bogacą pracą własnych rąk. Każdego dnia wydobywają bryłki złota wielkości mojej pięści — zademonstrował swoją imponującą pięść z kępkami włosów, sterczącymi jak korzenie z czerwonawobrazowego pnia drzewa — a przynajmniej wielkości pierścionka na palcu młodej pani. — Dostrzegł w przyćmionym świetle błyszczący pierścionek z napisem DAR. — Kilka bryłek wielkości łebka zapalki wystarczy na kupno sukienek dla ślicznej pani na dziesięć lat. Zauważyłem, że ma pani bardzo pełne walizki.

— Szukamy nowego domu — powiedział Tristao, zerkając na Isabel, jak gdyby chciał się upewnić, że nie powiedział zbyt dużo.

— A czemu to? — spytał rudzielec, któremu ta rozmowa sprawiała wyraźną przyjemność. — Wystarczy popatrzeć na twoją damę i elegancką suknię, którą ma na sobie, żeby dojść do wniosku, iż jej ostatni dom był raczej luksusowy.

— Bywają różne rodzaje luksusu, *senhor* — odpowiedziała Isabel, wtrącając się do rozmowy i wracając do swego kobiecego głosu. Tristao był jej wdzięczny, obawiał się bowiem, że sam mógłby sknocić tajemnicze negocjacje.

Mężczyzna uśmiechnął się, ukazując różowe dziąsła, po czym spytał wyzywająco:

— I znalazła pani niezrównany luksus w ramionach swojego czarnego przyjaciela?

— Tak — odpowiedziała chłodno Isabel ku zdziwieniu Tristao.

Zaniepokoił się, widząc, że jeśli zechce, obdarzy innych mężczyzn kobiecością, którą on jej dał i która stała się teraz jej częścią.

— Cieszę się razem z panią, *senhora* — rzekł gładko nieznamy, marszcząc krzaczaste brwi nad nabiegłymi krwią oczami. — W Curva do Frances doceniamy ciało i jego potrzeby.

— Jak można znaleźć pracę w tutejszej kopalni? — wtrącił Tristao, — W Sao Paulo pracowałem przy montażu *fuscas* — moje zadanie polegało na mocowaniu śrubami silnika z lewej strony.

— Ach — powiedział mężczyzna, unosząc szczeniaste brwi i marszcząc miedziane czoło; najwyraźniej zrobiło to na nim wrażenie. — Słyszałem, że w Sao Paulo produkują samochody. Mieszkańcy Sao Paulo są zmyślni, ale bezwzględni. Dobrze zrobiłeś, że nawiałeś stamtąd, czarny przyjacielu. Myśl tylko, jak tu złapać niewolników. W Serra do Buraco nie będziesz pracował dla innych; będziesz *garimpeiro* — samodzielnym górnikiem, niezależnym przedsiębiorcą. Całe złoto, które znajdziesz na swojej działce, będzie twoje, zapłacisz tylko marne osiem procent państwu oraz wniesiesz rozsądną opłatę górniczej spółdzielni, która utrzymuje porządek, prowadzi nienagane akta, obsługuje rynny i maszyny rozdrabniające. Nie potrafisz sobie wyobrazić, jak złoto wędruje prosto z ziemi do rąk twojej pani. Istnieje wiele kroków, wiele etapów i wyzwania dla brazylijskiego geniuszu organizacyjnego. Drobinę złota są niczym wszy w potarganych włosach matki ziemi — kryją się, wiercą! Zdradza je jednak ciężar — gdy odsiejesz lepsze minerały, piasek, krzemionkę, na dnie sita zostają małe ziarenka! Musisz mieć płuczkę, ponieważ spółdzielnia pozwala każdemu *garimpeiro* zabrać do swojej chaty najbardziej obiecujące bryłki rudy i później, wieczorem, mój przyjacielu, gdy zmęczony, z obolałymi mięśniami, przykucasz w błocie obok tej bulgocącej wiedzmy, górskiego strumienia, ukazują się nagle jak świetliki — nie potrafią wydostać się poza rowki płuczki, małe diabełki, cenne kruszynki złota! Wiele razy widziałem, jak biedny *camarada*, który nie miał nic poza szmatami na grzbiecie, z dnia na dzień stawał się tak bogaty jak jeden z lordów Dom Pedra Segunda.

Dziwnie było słuchać o lordach Dom Pedra, jak gdyby wciąż jeszcze żyli. Mimo to Tristao spytał:

— A jak trzeba się starać o tę pracę?

Mężczyzna uniósł znowu wysoko rude brwi, odsłaniając blade kręgi wokół zmęczonych, zamroczonych *pinga* oczu.

— Nie trzeba się starać — przestań myśleć jak niewolnik! Po prostu idziesz i spisujesz umowę! Do tego, by zostać bogatym, potrzebny ci tylko kilof, młot, łopata, płuczka i działka.

— A jak się zdobywa działkę? — spytała Isabel, która przez całe lata przyglądała się, jak stryj Donaciano powoli pomnaża swoje bogactwo, i nauczyła się, że niczego nie ma za darmo, a niektóre rzeczy nie mają ceny.

— Ależ to proste, kupuje się ją! — odpowiedział mężczyzna. — Trzeba kupić działkę od *garimpeiro*, który, tak jak ja, zbił już majątek i teraz, gdy starość jest coraz bliższa, chciałby się nim nacieszyć. Możecie jednak być pewni, że chociaż dzięki kilku ruchom łopaty zapewniłem sobie życiowy komfort aż do grobowej deski, na działce zostało dość złota, by utrzymać książąt Arabii! Nie ma takiej drugiej działki w Serra do Buraco; znajduje się w miejscu, gdzie podczas wybuchu wulkanu żyła ołowiu spotkała się z gwałtownym podmuchem najczystszej błękitnej ognia, tworząc prawdziwą fontannę złota, zakrzepłą w ziemi gardziel, niczym gardło matki ziemi, śpiewającej najbardziej podniosłą pieśń. Proszę. Spójrzcie.

I wyjął zza wysokiej cholewki swego prawego buta złożoną kartkę papieru, która dopasowując się do jego pięty, przybrała kształt łyżki do butów, przesiąkniętą nieświeżym zapachem spoconej, ściśniętej w skórze stopy. Była to mapa, brązowa ze starości, krucha i poplamiona, tak często składana i rozkładana, że gdy rozprostował ją na stole, w miejscach zgięcia widniały prześwit. Mapa przypominała ogromną szachownicę z ponumerowanymi kwadratami; jeden z nich tak często był dźgany palcem, że numer całkiem się zatarł.

— Oto ona — moja śliczna. Taka szczodra jak piczka przeproszam za wyrażenie.

Powiedział im, że działki mają wymiary półtora na półtora metra, a co do głębokości kopania, to można nawet dotrzeć do jądra ziemi, jeśli komuś starczy siły. Gdy zapytali o cenę, podał im sumę dwukrotnie przewyższającą oszczędności, które zostały jeszcze Tristao.

Gdy Tristao popatrzył na Isabel, dostrzegła podniecenie w jego ciemnych, błyszczących oczach, a także pełną

dumy chęć sprawdzenia swej siły i sprytu w walce z upartą ziemią. Nie chcąc, żeby jego entuzjazm ich zdradził, natychmiast rzeczowo poinformowała rudzielca pewnym, głębokim głosem, charakterystycznym dla jej świeżej dojrzałości, że choć podana przez niego cena to z pewnością żart, po południu i wieczorem spróbują się czegoś dowiedzieć, zastanowią się, a następnie rano spotkają się z nim znowu.

— Do jutra rana kto inny może skorzystać z tej zesłanej przez niebiosa okazji — ostrzegł *garimpeiro*, przymrużając jednak znacząco oko, po czym zostawił ich, gdy zaczęli pertraktować z ciężarną matką okrągłolicej dziewczynki w sprawie ceny pokoju na górze. Tristao czuł, że zaczyna mu się tu podobać, a zwłaszcza podoba mu się własna żona jako partner w interesach.

XVI. Kopalnia

Po naradach, prowadzonych szeptem aż do północy, zdecydowali się kupić działkę. Od czasu gdy ich oczy spotkały się po raz pierwszy na plaży, znajdowali się w rękach Boga i myśl o podjęciu ryzyka spodobała się im obojgu. Odnalazłszy się, uwierzyli w swoje szczęście. Staną się bogaci, a jednocześnie ukryją się przed ojcem Isabel i jego sługusami w odległych regionach Goias. Rudzielec przyjął całą sumę, która pozostała ze zwitka *cruzeiros* Tristao, oraz kryształowy świecznik, identyczny z tym, który Isabel impulsywnie podarowała dwa lata temu niewdzięcznej matce Tristao. Gdy wciąż jeszcze zdawało się to niewystarczającą zapłatą za działkę i mężczyzna niebezpiecznie wywracał kaprawe oczka w chłodnym świetle poranka, Isabel zaproponowała mu medal, ukradziony z komody w sypialni ojca, który przyznał mu niegdyś król Tajlandii w uznaniu jego zasług, gdy pełnił tam służbę dyplomatyczną w charakterze brazylijskiego wicekonsula. Ciężki, ozdobiony wstążką krążek przedstawiał słonia w koronie, a umieszczony pod nim napis w dziwnym alfabecie sugerował jego siłę magiczną. Stwardniały kciuk z kępką rudych włosów dotknął pieszczotliwie gładkiego metalu — w kolorze miedzi do złudzenia przypominającym kolor jego skóry — i interes został ubity. Umowa, wyjęta z drugiego buta, składała się z kilku kartek papieru zwiniętych razem, stwardniałych i pożółkłych z powodu bliskiego sąsiedztwa pięty ich właściciela. Tristao rozboleła głowa, gdy próbował przeczytać umowę, ale dla formy wpatrywał się przez kilka minut w złowieszczy bałagan rządowych pieczęci, drobny druk i zamaszyste oficjalne podpisy.

Autobus, który przywiózł ich z Goianii do Curva do Frances, wracał do miasta, albowiem kierowca zaspokoił już swoje żądze u kobiety z zielonego przedmieścia. Tristao i Isabel zabrali się do Serra do Buraco furmanką zaprzęzoną w woły otwartą, ale z wysokimi bokami z desek. Cztery wychudzone woły ciągnęły wóz po zarośniętej trawą drodze niewiele szybciej, niż człowiek szedłby piechotą. Droga prowadziła głównie pod górę, choć natykali się na niewielkie doliny gdzie drewniane, uginające się mosty spinały brzegi wyschniętych, kamienistych rzek.

Przez kilka godzin jechali trzęsącym się pojazdem, którego twardą podłogę zaścielały zeschnięte resztki trzciny cukrowej, wraz z trójką innych pasażerów, metyskich *garimpeiros* czy też pasożytów czyhających na *garimpeiros*, podziwiających jasne, lśniące włosy Isabel oraz dwie niebieskie walizki, tak ciężkie od jej ubrań, jak gdyby były wyładowane kamieniami. Założyli, że przyjechała w góry pracować jako prostytutka i że Tristao jest dziwnym skrzyżowaniem jej niewolnika i zarazem sutenera. Żartowali na temat jej ceny, przewidując, że przybycie takiego luksusowego źródła rozkoszy wróży zmianę na lepsze w Serra do Buraco. Gdy posunęli się w swoich zalotach do kontaktu fizycznego — ciemna dłoń wyciągnęła się, by pogłodzić pieszczotliwie lśniący pusek na przedramieniu Isabel — Tristao chwycił najbliższego z trzech mężczyzn i wymierzył mu silny cios w twarz tak spokojnie, jak gdyby przykręcał śrubę mocującą silnik *fusca*. Mężczyzna zaczął mamrotać obraźliwe słowa, nazywając Tristao czarnuchem i kundlem, opadł jednak ciężko na podłogę pomiędzy swoimi dwoma towarzyszami, macając okrwawione dziąsło nad obruszonym zębem. Brakowało mu już kilku przednich zębów, stracił je w bójkach albo po prostu mu się zepsuły.

— Jedziemy sprawdzić nasze szczęście u bogów złota — wyjaśnił przepaszająco Tristao. Pokazał im zwiniętą umowę.

Mężczyzna zemścił się słownie, odsłaniając w szerokim uśmiechu czarne luki w uzębieniu.

— Takie papiery są drukowane setkami w Goianii i Cuiabie; nie są nic warte — powiedział. — Gdy dojedziecie na miejsce, przekonacie się, że nie macie żadnej działki. Ta góra to mrowisko pełne łajdaków.

Isabel, słysząc te słowa, uświadomiła sobie z nagłym uczuciem chłodu, że jej wiek dziewczęcy należy już do przeszłości, a ona sama zdążyła ku nieznanemu. Jeśli umowa okaże się zgodna z prawem, to właśnie rozpoczął się

proces, który pochłonie najlepsze lata jej życia. Przysunęła się bliżej do Tristao po mgliste pocieszenie. Mimo że był skoncentrowany na demonstrowaniu swej wartości innym mężczyznom, objął ją w pasie muskularnym ramieniem, jak gdyby potwierdzając z roztargnieniem, że znajdzie się pod jego opieką.

Jak się okazało, umowa była legalna. Zaniedbana działka rudzielnca znajdowała się wśród innych, podobnych skrawków ziemi. Pod naporem kopaczy to, co kiedyś było górą, przypominało teraz gigantyczną dziurę. W tej ogromnej misie o szerokości prawie kilometra, nie setki, lecz tysiące mężczyzn ciągnęły worki z błotem i łupały kilofami kamień na prymitywnych drewnianych drabinach, opartych o skalne ściany w wykutych tarasach kamieniołomu. Niemal codziennie odłamki skał zmieszane z ziemią osuwały się na harujących w pocie czoła mężczyzn; codziennie kilku *garimpeiros* ponosiło śmierć pod lawiną, umierało wskutek choroby, wyczerpania albo ginęło w bójce na noże. Zdarzały się grabieże i morderstwa, zarówno w samej kopalni, jak i w dziesiątkach nędznych osiedli, które powstały na okolicznych stokach gór — były to rzędy nędznych chałup, wśród nich parę sklepów, kostnice i — absurdalnie — salony manikiuru z licznymi niedużymi kabinami. Barów nie było; w promieniu piętnastu kilometrów od Serra do Buraco obowiązywał zakaz sprzedaży alkoholu, w przeciwnym razie chaos byłby jeszcze większy. Mężczyźni, zahartowani przy targaniu trzydziestokilogramowych worków po drabinach i wąskich półkach skalnych czterdzieści razy dziennie, mieli prawdopodobnie najlepszą kondycję na świecie, klatki piersiowe muskularne jak ciężarowcy, a nogi jak piłkarze. Bijatyki były ich jedyną rozrywką, ale tylko dla tych nielicznych szczęśliwców, którym Bóg pozwolił znaleźć samorodek złota. Zdążyli do tej tarasowej otchłani możliwości z wysuszonego, głodującego północnego wschodu, z nędznych wiosek rybackich Bahii i Maranhao, ze slumsów Fortalezy i Recife, a także z odrętwiałych, nawiedzanych epidemiami wiosek z dorzecza Amazonki. Prawnym właścicielem gruntów na ogromnym terenie Serra Dourada była kompania górnicza z odległego Sao Paulo, o brazylijskiej nazwie, lecz kontrolowana przez arabski oraz inny zagraniczny kapitał, jednakże sędzia federalny w Brasili orzekł, iż żaden Brazylijczyk nie może być pozbawiony prawa poszukiwania złota. Było to prawo państwowe, sięgające tysiącpięćsetnego roku, gdy po raz pierwszy ujrzano zielone brzegi Brazylii. Górnicy założyli spółdzielnię, która nadzorowała zakład płukania i wstępnego oczyszczania złotego kruszcu, zatruwający rtęcią wszystkie miejscowe rzeki, oraz sprawowała kontrolę nad punktem ważenia i bankiem.

Tristao poczuł się szczęśliwy, gdy się już we wszystkim zorientował i nabył w kantynie spółdzielni kilof, łopatę, młot oraz worki, dzięki czemu powiększył swój dotychczasowy dobytek w postaci poobijanej, zniszczonej, lecz mimo to wciąż błyszczącej płuczki, którą rudzielnec sprzedał im razem z działką. W fabryce *fuscas*, z dala od Isabel, przytłoczony strasliwym hałasem, Tristao był tylko kołem zębatym gigantycznego mechanizmu, nie znaczącą jednostką ekonomiczną, tkwiącą pomiędzy *proprietdrios* fabryki a *sindicatos*. Mając przed oczami płaską twarz Oscara z przerwą między przednimi zębami, dokręcał śruby, aż w końcu mięśnie ramion i pleców drętwiały mu z bólu. Każdy *fusca* sunący taśmą zdawał się uwozić trochę jego krwi w swoim garbatym nadwoziu. Tutaj, w drążonej górze na swoim własnym skrawku skały, łupiąc własny kamień na odłamki, z których każdy mógł zawierać błysk fortuny dla niego oraz Isabel, czuł się wniebowzięty i wolny, był jak bohatera postać na tle nieba, rzucająca wyzwanie naturze, a jednak stanowiąca jej cząstkę.

Ale minął jeden rok, potem drugi, trzeci i czwarty, a działka mimo jego wytężonej pracy nie przynosiła żadnego dochodu. Później, gdy właściciele sąsiednich działek odpadli — wskutek śmierci, obrażeń ciała, rozpacz, że nigdy nie trafią na żyłę złota — jego kwadrat półtora na półtora metra stał się dziurą rozdrabnianą kilofem i wykuwaną młotem, centymetr po centymetrze, w niewzruszonej, nieodgadnionej skale, a jego niegdyś wielkie nadzieje przerodziły się w niepewną, fanatyczną wiarę w prawie niemożliwe.

Nie znaczy to, że przez wszystkie te dni cierplivej pracy Tristao nie widział nigdy blasku złota. Zajęli z Isabel pustą chatę stojącą tyłem do zanieczyszczonego rtęcią strumienia — być może schronienie, które porzucił miedzianoskóry mężczyzna. Co wieczór Tristao przynosił do domu worek z najbardziej obiecującymi odłankami skały, które odkrył podczas całego dnia pracy — najjaśniejsze z kwarcem, najbardziej błyszczące z łuskami pirytu, „złoto głupców”, które niekiedy jest towarzyszem prawdziwego złota. Rozdrabniał młotem te grudki nadziei, tymczasem Isabel przygotowywała w chacie posiłek składający się z fasoli i ryżu. Potem kuczał nad brzegiem strumienia, płucząc odłamki w wodzie i wypatrując najcieńszych, które przyłgnęły do wyżłobień w płuczce, rozbiegających się gwiazdźście od środka niczym promienie przesłoniętego mgiełką słońca. Ten proces, to oczekiwanie nad brzegiem „tej bulgocącej wiedzmy, górskiego strumienia” na „małe diabełki, cenne kruszynki złota”, nigdy nie przestał go fascynować. Podobnie jak człowiek gapi się czasami, zahipnotyzowany, w płonący ogień, żeby wyczytać z niego wróżbę swojej przyszłości — pełgającą twarz, rękę demona — tak Tristao gapił się co wieczór, dopóki oczy nie zasły mu łzami, w wirującą płuczkę. Największy okruczeństwo złota, jaki znalazł, był mniejszy od łebka zapalki, ale nawet za to skromne źdźbło kupili trochę suszonego mięsa, *xarque*, żeby urozmaicić monotonną dietę i kochali się po raz pierwszy od wielu tygodni.

Zwykle Tristao był tak straszliwie zmęczony, że nie starczało mu sił, by dogodzić Isabel. Cała jego pasja koncentrowała się teraz na wymaginowanych konturach cennego metalu, ukrytego w nieznośnie upartej macierzystej skale. Blask jego uwielbienia opuścił ciało Isabel. Tutaj, na stromych stokach Serra do Buraco, drobny pył wżarł się w jej skórę, podkreślając zmarszczki, które pojawiły się na czole, w kąciakach oczu i ust, a nawet na szyi, kiedyś tak gładkiej i białej jak strumień mleka. Jej młodzieńcza twarz małej nabrała zaciętego wyrazu, oczy miała podkrążone ze zmęczenia. Gdy rozbierała się, idąc spać, w mroku chaty następował ciągle wybuch giętkiej białej wspaniałości; i chociaż jego serce wciąż reagowało na nią jak na widok czoła burzy, przyćmiewającego słońce nad konturem góry, jego ciało rzadko dotrzymywało mu kroku.

— Nie kochasz mnie tak jak przedtem — uskarżała się oczywiście.

— Ależ kocham — protestował. — Moja miłość jest niezmienna jak Matka-Złoto, chociaż czasami trudno ją dostrzec.

— Złoto stało się dla ciebie nie tylko matką, ale i żoną. Pracujesz również w niedziele, a mimo to niemal głodujemy. Urzędnicy w spółdzielni zawsze cię oszukują, nawet przy ważeniu najdrobniejszych pyłków i ziarenek, a połowę pieniędzy przepijasz w drodze do domu.

Była to prawda, *cachaca* zaczęto szmuglować w góry i sprzedawać po zawyżonej cenie. Tristao, nie chcąc się różnić od innych *garimpeiros*, nie zawsze odmawiał szklaneczki czy dwóch. Dawna słabość jego matki, którą pogardzał, teraz zaczynała się w nim odzywać. Gdy mózg był wystarczająco otepiały, w nieubłaganej skalnej ścianie życia otwierała się rozświetlona jaskinia, do której można się było wczłochać. Jego dumna i niezależna dusza, która tamtego dnia na plaży zażądała, by zdobył tę laleczkę dla siebie, wyrwał z jej środowiska, teraz niszczała, podobnie jak jego koszulka z napisem LONE STAR rozpadła się pod wpływem potu i słońca, jak caliznę jego działki powoli wyszczerbiały dni katorżniczej pracy.

Isabel, widząc cierpienie na twarzy męża, które wywołały jej słowa, oraz cień porażki i tchórzostwa na jego wypukłym czole, sama odczuwała ból. Postanowiła jednak, że musi zachować dystans wobec niego, jeśli chce pozostać sobą. W pierwszych miesiącach ich związku była niewolnicą Tristao, myślała wyłącznie o jego wygodach i jego dumie, gdy przystosowywał się do ciężkiej pracy w kopalni. Gdy zostawała sama w chacie, zapadała w drzemkę, słuchając monotonnego szmeru zatrutego strumienia, izolując się od niebezpieczeństw wyludnionej, skapaniej w słońcu ulicy ze stacją benzynową, gdzie była tylko niskooktanowa benzyna, z zapelnioną kostnicą, z kantyną sprzedającą podstawowe artykuły po zawyżonych cenach, z mnożącymi się salonami manikiuru. Myślała, żeby poszukać pracy, ale jej umiejętności — ogłada towarzyska bogatej dziewczyny, powierzchowna wiedza uniwersytecka — nie miały tutaj żadnej wartości. Dysponowała tylko jednym atutem, który hałaśliwie doceniali mężczyźni na ulicy, ilekroć zdecydowała się opuścić progi swojej chaty i wyjść na zewnątrz, gdzie chmury burzowe często gromadziły się nad postrzępionymi szczytami gór, ale rzadko przynosiły deszcz. A gdy już zaczynało padać, był to wściekły deszcz, paralizujący, osłepiający, który pozostawiał głębokie bruzdy w szerokiej drodze gruntowej i sprawiał, że spieniony strumień występował z brzegów i podchodził pod sam próg drzwi na tyłach domu.

Isabel wolała więc zostawać w środku — drzemiąc lub czytając — czytając bez celu, żeby zaspokoić przemożne pragnienie świata innego niż ten, w którym przebywała. Narzędzia górnicze i inne dostawy przychodziły opakowane w stare czasopisma lub gazety, które zawierały nieaktualne historie, ze zdjęciami modelek, prezentujących niemodne już suknie, i plotkami o popularnych piosenkarzach i piłkarzach, obecnie podstarzałych albo już nie żyjących, których zżarła rozpusta. A jednak te historie, które rzadko udawało jej się doczytać do końca, na skrawkach pogniecionego i pozwijanego papieru, były ponadczasowe — bezustannie powtarzało się pięć lub sześć tych samych faktów z życia ludzkiego, niczym strzały, które ranne zwierzęta przynoszą z powrotem w swych ciałach do rąk myśliwego. Miłość, ciąża, niewierność, zemsta, rozstanie. Śmierć — śmierć zawsze była w tych historiach.

Ubrania Isabel kończyły się. Dwie ciężkie niebieskie walizki były już prawie puste. Większa zawierała tylko wysadzany drogimi kamieniami staroświecki krzyż, ukradziony z mieszkania stryja Donaciana, papierośnicę z monogramem i pluszową zabawkę — kapibare, którą uwielbiała, będąc dzieckiem. Nadała jej imię Azor i zasypiając, tuliła do płaskiej piersi. Obecnie zabawka była sztywna i brudna od wszechobecnego krzemionkowego pyłu z pracującej bez przerwy kopalni. Suknie, bluzki i eleganckie, obcisłe dzinsy, których nie znosiła jeszcze do tego stopnia, że wyglądały jak szmaty, sprzedała manikiurzystkom, żeby móc postawić na stole talerz z fasolą, ryżem i *farinha*. Albowiem w jej oczach Tristao stał się umięśnioną maszyną, którą musiała żywić, w przeciwnym razie zatrzymałby się ich marsz przez życie.

Gdy już nie miała ubrań, które mogłaby sprzedać, na tyle zaprzyjaźniła się z manikiurzystkami, że pokazały jej, jak można zarobić pieniądze. Okazało się to zadziwiająco łatwe pod warunkiem, że człowiek nauczy się nie angażować. Mały męski dramat wlotu i upadku jest wzruszający, jeśli nie brać pod uwagę ewentualności, że mężczyzna może udusić cię swoimi rękami, gdy wpadnie w złość. Ale to kobieta potrafi zapobiec jego złym humorom. To kobieta potrafi pomieścić wszystko, co mężczyzna może dać, między swoimi nogami.

Gdy Tristao wrócił do domu i zastał na stole nie tylko ryż i fasolę, ale bekon i skwierczącą patelnię soczystej słodkowodnej ryby o nazwie *dourado*, z ananasem i *pitanga* na deser, zmierzył Isabel przeciągłym spojrzeniem — białka jego błyszczących onyksowych oczu nabiegły krwią tak jak podrażnione przez kurz białka miedzianokórego mężczyzny — i rozmyślnie nie spytał, na jaką żyłę złota natrafiła. Gardziła nim za to, za jego milczące przyzwolenie, ale również kochała go za jego realizm, jego stoicki takt. To romantyzm łączy ludzi, ale realizm ich wspiera. Tego wieczoru rzucił na ziemię nie przesiany worek z obiecującą rudą i usiadł przy niezwykle suto zastawionym stole ze sztuczną wytwornością króla, którego berłem jest pustka. Miała wrażenie, że przez cały wieczór krąży wokół niej z czujną delikatnością, jak gdyby jej ciało zamieniło się tylko w krystaliczną substancję. Gdy kładła się spać na sienniku z kukurydzianych łusek, poczuła że dotyka jej pleców i ramion, lekko, niczym ciała dziewicy.

Stał się bardziej czuły, ale był niezdolny do miłości fizycznej. Isabel często czuła, że nocą przygląda jej się w świetle świecy, słyszała w jego głosie powolną, ostrożną melodię gdy opowiadał jej o wydarzeniach całego dnia w kopalni. Odnosiła wrażenie, że w pokoju znajduje się więcej osób niż tylko oni. A może to jej wspomnienia wypełniali inni mężczyźni — ich okrzyki, uściski, ciała o tak różnych odcieniach skóry, umięśnieniu, ich zapachy, rodzaje włosów, sposoby przeżywania orgazmu w jej ciele? Za nie wyjaśnioną nadwyżkę *cruzeiros* kupiła długą cynkowaną wannę i Tristao co wieczór — stało się to pewną ceremonią — przynosił wiadra wody ze strumienia. Podgrzewali ją na naftowym piecu, po czym Isabel wchodziła do długiego koryta z parującą wodą i pozostawała w niej tak długo, aż woda wystygła. Widok własnego zanurzonego ciała, skóry o odcieniu cyny, włosów łonowych, unoszących się na wodzie niczym wodorosty, działał otepiająco na jej pamięć. Następnie jej mąż, szary od kamiennego pyłu, dolewał gorącej wody i kąpał się w wodzie, którą ona zabrudziła, aż jego czarna skóra zaczynała lśnić. Po kąpieli, czyści i rozleniwieni, kładli się do łóżka. Powoli odpływali, dotykając się lekko, czule, jak dwoje tonących ludzi, rozstających się w morzu.

Nawet w okresie, gdy ich miłość fizyczna była pełna wigoru i nieustanna, Isabel nie zaszła w ciążę. W drugim roku ich pobytu w Serra do Boraco okazało się, że jest brzemienna, i cała chata trzęsła się i drżała z powodu tego cudownego pęcznienia natury. Przez wiele tygodni wymiotowała każdego ranka, a potem zrobiła się duża i nieruchawa, skórę na rozdętym brzuchu miała tak napiętą i błyszczącą, że Tristao czuł zawrót głowy z miłości do niej z powodu tego nieuchronnego podwojenia jej istoty. Dziecko urodziło się (wody odeszły o północy, a pierwszy krzyk maleństwa rozległ się w chacie o szarym brzasku) i był to chłopiec o pomarszczonych niebieskich dłoniach, przypominających świeżo rozwinięte kwiaty oraz o genitaliach jak wciąż jeszcze stulony pączek. Zaproponowała nieśmiało, by dać mu imię Salomao, na cześć jej ojca, ale Tristao, obudziwszy się ze swego letargu, zaprotestował gniewnie, machając rękami i krzycząc, że jej ojciec jest jego śmiertelnym wrogiem, ponieważ on swego ojca nie znał, zgodził się na drugą propozycję Isabel, a mianowicie na imię Azor, które nosiła jej ukochana pluszowa kapibara, którą tak kochała, będąc małą dziewczynką.

— Nasze dziecko jest bardzo jasne — zauważył pewnego dnia Tristao.

— Wszystkie dzieci są na początku jasne — powiedziała Isabel. — Położna mówi, że najpierw melanina znajduje się w małej kieszonce u podstawy kręgosłupa, dopiero później rozchodzi się po całej skórze.

Ale dni mijały, niemowlę karmione mlekiem Isabel robiło się coraz grubsze, rączki i nóżki miało coraz silniejsze, a skóra prawie wcale mu nie ciemniała. Tristao trzymał w ramionach niewinną pecynkę ciała, przyglądał się jej — Azor gaworzył radośnie, wyciągając zaślinioną dłoń w kształcie gwiazdy ku znajomej czarnej twarzy — i próbował dostrzec choćby przelotnie cień Afryki, najmniejszą kropelkę ciemnej krwi, która zabarwiłaby biel skóry dziecka. Nie udało mu się. Isabel dowodziła, że dziecko ma spłaszczony nosek Tristao, jego małe uszy i prostokątne, surowe czoło. Jej kolejne dziecko, dziewczynka, która urodziła się w czternaście miesięcy po Azorze, była ciemniejsza, ale Tristao uważał, że jej skóra ma miedziany odcień, typowy dla Indian. Jej włosy, owszem, czarne tak jak jego, były jednak całkiem proste. Nie miał nic przeciwko temu, żeby Isabel nadała małej imię Cordelia, na cześć matki, którą ledwie pamiętała. Fakt, że Isabel przeżyła dwa porody, był w pewnym sensie zwycięstwem nad matką, która umarła przy drugim.

Nowe istoty napelniły chatę niewinną intensywnością własnych potrzeb, napadami złego humoru i bałaganem kolką, głodem, ekskrementami, pozostawiając dorosłym niewiele czasu na zastanawianie się nad wszystkim, co

zgotował im los. Teraz natura dała im do zrozumienia, po co się spotkali. Spółdzielnia manikiurzystek znalazła starą bezzębną kobietę, oderwaną od swego plemienia Tupi, która miała zajmować się dziećmi przez kilka godzin dziennie, żeby Isabel mogła wrócić do pracy. Ten nowy dodatek do ich rodziny, który zjawiał się w południe, a wychodził późnym wieczorem i nigdy nie ujawnił miejsca, gdzie sypia, miał na imię Kupehaki.

XVII. Samorodek

Ogłuszający szum kopalni — stukot kilofów, walenie młotów, gdy ustawiano coraz głębiej drabiny i montowano grube podpory; zdawkowe rozmowy, śpiew mężczyzn wlokących się gęsiego błotnistym zboczem ku rynnom i hałdom, które osypywały się zboczami Serra do Boraco, tworząc coś w rodzaju drugiej góry rosnącej obok wypatroszonej pierwszej; sporadyczne wrzaski, gdy wybuchła bijatyka albo lawina osunęła się na tarasowe działki — cały ten szum stał się częścią Tristao. Z dala od tego wielkiego odwróconego ula, nawet będąc z Isabel i dwójką dzieci, czuł się dziwnie osłabiony, koślawy i czemuś winny, jak gdyby zdradzał swoją prawdziwą żonę-kusicielkę-złoto. W kopalni to uczucie, że jego prawdziwe „ja” zamyka się wokół niego, przybierało na sile, gdy znajdował się w swojej głębokiej dziurze, kwadracie półtora na półtora metra, który wykuł i wykopał w skale góry.

Sąsiednią działkę po lewej stronie, która stała pusta przez cały rok, objęła rodzina ze stanu Alagoas, Gonzagowie. Zespół braci i kuzynów kopał bardzo szybko, znacznie szybciej od trudzącego się samotnie Tristao, toteż słońce wkrótce zajaśniało znów do jego jamy. Wciąż jednak pozostała jeszcze pionowa ściana skalna wysokości około dwóch metrów, w której zaciszu mógł się skryć, gdzie natarczywy szum zmniejszał się do dalekiego pomruku, a niebo kurczyło się do błękitnego kwadratu nad głową, gdzie czasami chmury przemykały niczym aktorzy w przedstawieniu oglądanym przez szparę w kurtynie. To ustronie nasuwało skojarzenie ze straszliwą samotnością grobu, ale było w nim coś erotycznego. W głębi jego jamy nie było chłodniej, lecz odrobinę cieplej, jak gdyby powoli zbliżał się do jednego z pilnie strzeżonych sekretów natury.

Od kilku dni posuwał się wzdłuż lewej ściany, śladem wijącego się odcinka jasnej rudy o czerwonawym zabarwieniu. Uważa się ją za najbardziej obiecującą, ponieważ złoto zwykle występuje w towarzystwie swego rodzeństwa — miedzi i ołowiu. Górnicy mówią, że gdy ziemia się rumieni, wkrótce obnaży się złoto, zaślni swoją nagością.

Atakował kilofem skałę, potężne uderzenie za uderzeniem. Oba końce były jednakowo tępe, wypolerowane od intensywnej eksploatacji. Podczas trzech lat pracy zużył trzy takie kilofy. Tristao kiwał się niezdarnie na boki, ponieważ żyła skręcała do wewnątrz, oddalając się od niego; miał uczucie, że czubek jego kilofa podąża za krzywizną kobiecego ciała wokół czegoś w rodzaju niszy, sięgając do ledwie widocznej, puszystej, podniecającej szparki. Miał erekcję, co zdarzało mu się niekiedy w zaciszu działki. Energia seksualna, której nie mógł z siebie wyrzesać w nocy, będąc z Isabel, budziła się w nim nagle w środku dnia, gdy atakował kilofem skałę. Czasami nawet się onanizował pod kwadratowym okiem nieba, wyobrażając sobie jednak zawsze ciało żony — on natomiast nie był w tych marzeniach sobą, lecz jednym z jej brutalnych klientów, którzy opluwali jej piersi, gdy już było po wszystkim.

Jego kilof drążący skałę w głąb odsonił jakiś błysk, a może było to złudzenie, może zwiodły go oczy, zmęczone półmrokiem i kamiennym pyłem. Ukląkł i zaczął poszerzać szczelinę w skale. Nad jego głową płynęły chmury, szare smugi, które przypominały zaciskające się i rozwierające pięści. Do jego prywatnego skrawka kopalni przesączał się szum z zewnątrz. Gdy słońce przywędrowało na kwadrat nieba i jego promienie padły pod kątem prostym na działkę, powietrze zrobiło się tak gorące jak woda w wannie Isabel. Ale widział lepiej. Przez całą godzinę atakował skałę z taką furją, że za jego plecami wyrosła sterta gruzu, połamał sobie paznokcie i poranił palce do krwi, wreszcie jednak błyszcząca powierzchnia ukazała się w całej okazałości. Bryłka miała ponuro czerwonawy połysk, nie była srebrzysto-łuskowata jak oszust piryt.

W ciągu kolejnych dwóch godzin, mrużąc oczy, jak gdyby patrzył w rozpalony piec, Tristao wydrążył skałę macierzystą od góry i od dołu na tyle, by uwolnić samorodek. Albowiem był to bez wątpienia samorodek, chropowata, a mimo to jedwabista bryłka złota, znacznie cięższa od kamienia porównywalnej wielkości. Ważyła mniej więcej osiemdziesiąt gramów, mierzyła około dziesięciu centymetrów na cztery i miała ciekawy kształt — coś w rodzaju brzucha, przedziałek, który mógł być zaczątkiem nóg, głowa bez twarzy. Był to bożek, sacrum. Pokrywały go małe kratery, jak księżyc. Tristao, podniecony, przekładał go z ręki do ręki. Próbował ukryć jego blask nawet przed kwadratem nieba. Gdyby którykolwiek z tysięcy uwijających się wokół mężczyzn dowiedział się o jego znalezisku, zabiliby go. Miał mętnik w głowie, oddychał szybko i płytko. Padł na kolana, dziękując Bogu. Ręka, która kształtuje przeznaczenie, jeszcze raz sięgnęła w dół i dotknęła jego życia.

Ubranie robocze w Serra do Buraco składało się z szortów, bawełnianej koszulki, kapelusza słonecznego ze słomy lub poliestru i butów do gry w koszykówkę, na grubej rowkowanej podeszwie, co było bardzo ważne ze względu na konieczność ciągłego wspinania się i schodzenia na dół. Nowe kowbojskie buty Tristao okazały się kompletnie niepraktyczne, były zbyt śliskie i ocierały mu nogi, natomiast tenisówki, które kupił na dworcu autobusowym były z kolei zbyt słabe. Mężczyźni nosili również torby umocowane w pasie, w których gromadzili okruchy złota, dopóki nie nabrało się ich tyle, by je przetopić, zamienić na pieniądze i zdeponować w banku spółdzielni. Tristao obawiał się, że samorodek wyrzuci mu z ręki torbę, upchnął go więc w swoim ważącym trzydzieści kilo worku wraz z innymi kamieniami i powłókł się ze swym ciężarem do domu, jak gdyby czekał go kolejny wieczór rozdrabniania, płukania, jedzenia ryżu z fasolą, układania dzieci do snu, kąpieli w brudnej po Isabel wodzie, by wreszcie zwalić się nieprzytomnie spać.

Gdy opróżnił worek na oczach Isabel, przez jedną straszliwą chwilę bał się, że bryłka zniknęła, ona jednak opadła tylko na sam dół i nie różniła się wyglądem od reszty bezwartościowych odłamków góry. Zdradzał ją jednak ciężar. Tristao wydobyl ją i oczyścił palcem z krzemionkowego kurzu, aby odświeżyć błyszczącą, złocistą powierzchnię.

— Jesteśmy bogaci — powiedział do żony. — Nie musisz już więcej chodzić do manikiurzystek. Może uda nam się kupić farmę w Paranie, mały domek nad morzem w Espirito Santo.

— Mój ojciec mógłby nas tam znaleźć — powiedziała.

— Co nas to obchodzi? Daliśmy mu wnuki. Czy nie udowodniłem przez wszystkie te lata, że jestem wiernym mężem?

Rozśmieszyła ją jego naiwność. Tak jak ona uparła się kiedyś, że pokocha jego nic nie wartą matkę, tak teraz on uczył się — między napadami nienawiści — patetycznej nadziei, że jej bezwzględny ojciec da za wygraną i zastąpi mu ojca, którego nigdy nie miał.

— Nie da się go tak łatwo ułagodzić, Tristao. Przekonanie, że działa nie tylko w swoim imieniu, lecz również w imieniu mojej zmarłej matki, czyni go fanatykiem. Chce dla mnie tego, co najlepsze. Ty jesteś najlepszy, ale on tego nie rozumie. Patrzy na to oczyma starego człowieka, oczyma białych *poderosos*, oczyma dawnych właścicieli niewolników i plantatorów.

— Co za ponura mowa, Isabelinha — jak gdyby przeszłość wciąż była teraźniejszością. Znajomość z manikiurzystkami sprawiła, że stałaś się cyniczna, zgryźliwa. Kiedy Bóg coś nam daruje, bluźnierstwem jest traktowanie tego podejrzliwie. Obejmij mnie — lata, które spędziliśmy tu razem, wreszcie zaowocowały, dały nam skarb!

Przepełniony entuzjazmem, chcąc przytulić Isabel, dał samorodek małemu Azorowi. Szkrab upuścił go sobie na gołe paluszki i zaniósł się płaczem, mała siostrzyczka zawtórowała mu w swoim łóżeczku zrobionym ze starej skrzynki po trzonkach od kilofów i ustawionym na ceglach, żeby nie miały do niego dostępu węże i jadowite mrówki.

Isabel wzięła rozsłochane dziecko na ręce i powiedziała do Tristao:

— To były trudne lata i nasza miłość nieco ucierpiała, ale byliśmy tutaj bezpieczni, udało nam się ukryć. Boję się, że ta bryłka złota zwróci na nas uwagę.

— Zbyt się martwisz, kochanie; to ta twoja burżuazyjna krew. Jutro zaniosę złoto do probiercy w spółdzielni. Jeśli uznam, że zaniża cenę, udam się do niezależnych handlarzy złota, którzy włóczą się po całej kopalni — oferują więcej, ponieważ nie płacą ośmiu procent państwu dzięki temu, że szmuglują złoto przez granicę boliwijską, na co Indianie przymykają oko. — Był to zwykły porządek rzeczy w ludzkim ulu Serra do Buraco — złoto żyło zarówno w drobnych okruchach i żyłach w ogromnej masie kamienia, jak i w opowieściach i myślach górników.

Niestety, przecucia Isabel się sprawdziły. Mimo że Tristao zdołał niepostrzeżenie zanieść samorodek do probiercy, wieść o wspaniałym znalezisku rozeszła się stamtąd lotem błyskawicy. Probiernia mieściła się wraz z bankiem spółdzielczym i państwowym urzędem podatkowym w jedynym budynku z betonowych płyt w mieście złożonej z samych drewnianych domów. Zwieńczony gwiazdzistą flagą stał w bezpośrednim sąsiedztwie kostnicy, do której dostarczano codziennie ofiary bójek na noże, wypadków w kopalni, chorób płuc i

bandytyzmu, który szerzył się na drogach wokół Serra do Buraco. Proberca, chudy, żółty mężczyzna w czarnym garniturze i celuloidowym kołnierzyku, który mówił po portugalsku z sepleniącą wymową, typową dla starego kraju, cmoknął z uznaniem językiem, następnie zważył bryłkę i wyjaśnił, że dokładną wartość będzie mógł podać dopiero po stopieniu i oczyszczeniu, po czym wymienił sumę w setkach tysięcy nowych cruzeiros.

— W dodatku, proszę pana, wartość złota będzie rosła, gdy tymczasem wartość pieniądza spada.

Tristao zadumał się. Przez noc fizyczny aspekt samorodka całkowicie się zmienił — z humanoidalnego bożka stał się kostropatym kartoflem, którego oczka, małe dzioby, sugerowały księżycowe pochodzenie. Zostawił go w bankowym depozycie i przyjął pokwitowanie, podejrzewając, że już nigdy więcej nie zobaczy niebiańskiej bryłki, przesłania z tamtego świata.

Przez całą noc padał deszcz; zbocza i wydeptane półki skalne zrobiły się okropnie śliskie. Gdy Tristao zbliżał się do swojej działki, zobaczył, że zebrało się wokół niej sporo mężczyzn. Praca wrzała na sąsiednich, do niedawna zaniedbanych działkach. Brązowe grzbiety zginały się, wydobywając rudę, która nagle dzięki plotce nabrała wartości. Dwóch braci Gonzagów wdrapywało się właśnie na górę z działki Tristao. Zanim zdążył się odezwać, napadli na niego.

— Ty bandyto! — wrzasnął starszy i niższy, o imieniu Aquiles. — Obejrzelismy wszystko i zmierzylismy, przekroczyłeś granicę, kopaleś na naszej działce! Samorodek jest nasz!

— Kłusowników takich jak ty — dodał młodszy i wyższy, Ismael — powinno się wieszać i obcinać im ręce i nogi, jako ostrzeżenie dla wszystkich *garimpeiros*!

— Nie przekroczyłem granicy mojej działki — upierał się Tristao, choć gdy przypominał sobie, jak szaleńczo atakował skałę, gdy dostrzegł błysk, oraz uczucie docierania do bezwstydnej intymności, nie był pewien, czy to rzeczywiście prawda. Nie dawało się niczego dowieść, ponieważ nie potrafiłby nawet w tej chwili wskazać dokładnie miejsca, z którego wydobył samorodek.

— Wezwiemy mierniczych — groził wściekle Aquiles — i policję, i prawników!

Zaskarżyli go do sądu i proces, który ciągnął się miesiącami, wzbudził uwagę miejscowej prasy. Samorodek, wielokrotnie wyjmowany z depozytu bankowego w celu fotografowania, był największą i najczystsza bryłką złota wydobytą w Serra do Buraco, choć nie tak dużą jak niektóre znalezione w głębi Australii w 1851 roku. Brazylię ogarnęła nowa fala chciwości i nadziei, podsycanych przez mass media. Przyjechał fotograf z „O Globo” i zrobił zdjęcia Isabel oraz Tristao w ich chacie: Isabel kąpie się w swojej cynkowanej wannie, mydlana piana zasłania wszystko z wyjątkiem nagich ramion i rąk, lśniącej łydki i kokieteryjnie wygiętej w łuk bosej stopy; Tristao trzyma na ręku swego jasnego pulchnego synka i córeczkę o miedzianym zabarwieniu skóry, oczy błyszczą mu jak bańki z czarnego szkła pod szlachetnym wysokim czołem, gdy czujnie wpatruje się w oko kamery.

Fotograf, przysadzisty mężczyzna w średnim wieku, który miał wymięte ubranie i kilka zapasowych aparatów zawieszonych na szyi, potrafił wywołać żartami uśmiech na twarzy Isabel i Tristao, dziennikarka natomiast, inteligentna i dynamiczna młoda kobieta w siatkowych pończochach na chudych jak patyki nogach była tak rozbijająca i towarzyska, że pogwałciłiby wszystkie zasady gościnności, nie przyjmując obojga i nie pozując do zdjęć. Goście spędzili w ich chacie godzinę i przez cały ten czas sprawiali raczej wrażenie członków rodziny — zmieszczających krewnych, którzy pod wpływem impulsu przyjechali do Goias, by roztoczyć przed wieśniakami wizję uroków miasta — niż czubka poszerzającego się klina bezosobowej demaskacji. Wprawdzie Isabel inteligentnie uchylała się od odpowiedzi na bezpośrednie pytania dziennikarki o rodziców, a Tristao z przebiegłością ulicznego chłopaka kłamał na temat swojej rodziny, której się wstydził, ale czarno-białe zdjęcia mówiły same za siebie. Tristao i Isabel na tle swej chaty spoglądający z trzeciej strony „O Globo” stali się jeszcze jedną z tych par, których oszołomione, zmarszczone twarze i wzruszająco ubogie otoczenie dziwnym zrządzeniem losu zostały wywleczone na światło dzienne z masy bezimiennej biedoty niczym ryba na haczyku. Nagłówki krzyczały. „Górnicy toczą spór o cenne znalezisko — wielką bryłę złota”, „Para włóczęgów u progu bogactwa”. Przyjechali kolejni dziennikarze. Tristao był uprzejmy dla wszystkich. Wykombinował sobie w swej pełnej nadziei duszy, że ten najazd albo ściągnie na nich niebezpieczeństwo, albo też spowoduje przełom.

Pewnego dnia, powróciwszy o zmierzchu z pracy, zastał siedzący na jednym z dwóch krzeseł, jakie znajdowały się w chacie, srebrzysty cień, mężczyznę w szarym garniturze. Jego pierwszą, haniebną myślą było, że Isabel uprawia swój proceder w domu, potem jednak zorientował się, że mężczyzna o smutnym wyrazie twarzy,

srebrnych skroniach i starannie przystrzyżonym wąsie, to Cesar. Isabel stała przerażona obok pieca z pulchnym Azorem na biodrze, sięgające do pasa włosy miała rozpuszczone. Cordelia leżała w łóżeczku, popłakując przez sen.

— Cóż, przyjacielu, odnalazłem cię znowu — rzekł Cesar, wyciągając od niechcienia swój szary rewolwer, nie mierząc jednak z niego w Tristao, lecz, grzeczniej, w bok. — I znowu na łonie rodziny — tym razem twojej własnej. Moje najserdeczniejsze gratulacje.

— A gdzie Virgilio? — spytał Tristao. — Czy w dalszym ciągu gra dla Moóca Tiradentes?

Cesar uśmiechnął się ze znużeniem.

— Ponieważ mu zwałeś, Virgilio... został wyznaczony do innego zadania.

— Czemu nas prześladujesz? Nikomu tu nie przeszkadzamy.

— Nie jest to absolutna prawda, przyjacielu. Przy całym swym godnym pożałowania braku dyscypliny Brazylia nie jest jednak krajem, w którym nie istnieją żadne normy, tradycje, porządek. Po pierwsze przeszkadzasz mojemu wspaniałemu chlebobdawcy.

Cesar, który uważał, że będąc na usługach ojca Isabel zobowiązany jest do większej uprzejmości, musiał już przez pewien czas rozmawiać z dziewczyną swoim fałszywie życzliwym tonem. Dlatego nazbyt się rozluźnił — był gładki i nieco rozleniwiony, ręka z rewolwerem opadła mu bezwładnie, tak że lufa skierowała się w dół. Nie spodziewał się, że Tristao ciśnie prosto w niego, z siłą nabytą podczas codziennej morderczej pracy, wazący trzydzieści kilogramów worek rudy, trafiając go w twarz i zwalając na ziemię razem z krzesłem.

Isabel krzyknęła, mały Azor roześmiał się, podniecony, a Tristao w jednej chwili znalazł się przy Cesarze, przyduślił mu kolanami klatkę piersiową i zdecydowanie, staccato, zaczął walić go w głowę największym z kamieni, które wysypały się z worka. Wykrzywiona twarz starszego mężczyzny odprężyła się, powieki zatrzepotały i opadły. Srebrna skroń była zalana krwią. Był już za stary do tego rodzaju pracy.

Tristao dał rewolwer Cesara Isabel i powiedział:

— Musimy stąd odejść. Spakuj nasz dobytek i przygotuj dzieci. Ja ukryję ciało.

— Ale on wciąż żyje — zaprotestowała Isabel.

— Tak — potwierdził Tristao z cichą melancholią Cesara, wyniosłą melancholią tych, którzy mają przewagę. Mężczyzna był ciężki, cięższy od trzech worków kamieni, ale Tristao, który znów znalazł się na zakręcie drogi wyznaczonej przez los, czując, że poziom adrenaliny gwałtownie mu rośnie, zarzucił ciało lekko na plecy.

Zapadła noc. Księżyc jeszcze nie wzeszedł i na niebie świeciło niewiele gwiazd. Dzwoniły cykady. Kilka metrów w górę strumienia za ich chatą ułożony był przełaz ze śliskich kamieni. Po drugiej stronie, wśród gęstych zarośli prowadziła ścieżka, którą można było przejść niepostrzeżenie, gdy ciemność zgęstniała. *Garimpeiros* i ich rodziny chodzili tam załatwiać swoje naturalne potrzeby i niejeden raz Tristao poślizgnął się na niewidocznym ludzkim łajnie, którego smród towarzyszył mu potem przez dobre kilka kroków. Czuł delikatne muśnięcia liści oraz gałązek palm, okrągłe błyszczące listki krzewów, których nazwy nie znał, siekły mu skórę. Gdy zboczył ze ścieżki, podrapały go ciernie. Bał się, że Cesar się ocknie i będzie musiał wdać się z nim w kolejną bójkę. Mimo że był zahartowany, zaczynały boleć go mięśnie ramion. Wreszcie jednak roślinność nieco się przerzedziła, na niebo wypłynął księżyc, dzięki czemu Tristao widział teraz lepiej okolice. W oddali, niczym odległy zamek, majaczyła oświetlona sylwetka spółdzielczej kruszarni, gdzie worki rudy rozdrabniano na proszek i poddawano działaniu rtęci, a następnie cyjanku, aby chemikalia wyssały z niej złoto. Tony odpadów uformowały na tyłach wydrążonej Serra do Buraco drugą górę i tam właśnie, ku szarym sypkim zboczom tej lawiny odpadów, strawionego i wydalonego kamienia, Tristao niósł nieprzytomnego Cesara. Nikt tutaj nie przychodził do tych urwistych dolin pustyni, stworzonej ręką człowieka. Omijały ją nawet węże i jadowite mrówki. Daleko, w zagłębieniu bielejącym w coraz jaśniejszej poświacie księżyca, Tristao zrzucił z ramion swój ciężar. Cesar jęknął, ale się nie ocknął, choć nawet w jego jęku słyhać było typową dla tego mężczyzny intonację, po części humorystyczną ojcowską godność, maskującą zawziętość egzekutora. Chwyciwszy Cesara za gęste siwe włosy, Tristao delikatnie odchylił jego ciężką, szlachetną głowę. W świetle księżyca, pod napiętą skórą, w sierpowatym cieniu rzucanym przez ucho, rysowała się żyła szyjna. Tristao wiedział, że nieco niżej

znajduje się jej jaśniejsza, czerwiejsza siostra — tętnica szyjna. Wyjąwszy z wewnętrznej kieszonki szortów swoją wierną GEM, żyłkę o jednym ostrzu, przeciął skórę poziomo, tak głęboko jak wchodziło ostrze, a następnie, gdy buchnęła krew, ale nie tak obficie, jak się spodziewał, dodał pionowe cięcie, dopiero później zdając sobie sprawę, że zostawił na miejscu zbrodni swój inicjał — literę T.

Zamierzał pochować ciało w sypkich kopalnianych odpadach, ale dopóki płynęła krew, serce funkcjonowało, wydawało mu się nieprzyzwoitością pogrzebać Cesara żywcem. Niczym pies kopiący przednimi łapami Tristao przysypał szary garnitur szarym pyłem, zostawiając jednak głowę na wierzchu. Sterczała ze zbocza niczym głaz narzutowy albo piękna głowa strzaskanego posagu.

XVIII. Mato Grosso

Wróciwszy do chaty, straszliwie zmęczony i gnębiony wyrzutami sumienia z powodu swego uczynku, Tristao nie zdołał odpocząć ani chwili — jego rodzina stała gotowa do wyjścia, skromny dobytek spakowany w tobołki leżał u ich stóp. Pomarańczowy plecak wypełniały ubrania, a lżejsze przybory kuchenne były owinięte w koce i moskitierę. W migotliwym świetle naftowej lampy nawet malutka Cordelia patrzyła na nich szeroko otwartymi, poważnymi oczkami: nie płakała, wyczuwając atmosferę niebezpieczeństwa. Stara Tupi, Kupehaki, zwęszyła ich ucieczkę i zjawiła się w chacie. Próbowali odwieść ją od zamiaru pójścia z nimi, mówili szybko i ostro, do niej jednak zdawało się nic nie docierać. Stała w odległości wyciągniętego ramienia od Isabel, powtarzając wszystkie jej ruchy, chwiejąc się, gdy ona się chwiała, a nawet padając ze współczuciem, gdy Isabel osunęła się na podłogę, przerażona i zrozpaczona. Przywiązała się do nich i za nic nie chciała się z nimi rozdzielić. Stara Tupi przyniosła ze sobą długi, upleciony z wikliny koszyk w kształcie cylindra, przytroczony na plecach. Podtrzymywała go szeroka taśma, opasująca czoło. Pomyśleli, że w gruncie rzeczy może być pomocna, nawet jeśli będzie z nimi podróżowała tylko przez krótki odcinek drogi. Ostatecznie w piątkę przepawili się gęsiego przez zanieczyszczony strumień i ścieżką biegnącą w dół od kruszarni i hałdy ruszyli ku nie zamieszkaną dolinie — chyba że przez bandytów, którzy napadali na handlarzy złota i na karawany z objuczonymi wołami i mułami, wiozącymi dostawy. Mechaniczny szum góry, który utrzymywał się aż do północy, ucichł za ich plecami. Nie słychać już było odgłosów górniczego osiedla, od czasu do czasu ciszę rozdzierało tylko wycie psa, wybuch szczególnie głośnego śmiechu czy odgłosy sprzeczki. Tristao miał wrażenie, że ścieżka — to rozszerzająca się, to zwęszająca wśród strzępiastych czarnych cieni roślinności — żarzy się niebieskawo pod ich stopami, gdy oczy oswoiły się już z ciemnością. W błękitnym świetle krew Cesara wydawała się fioletowa. Isabel niosła przed sobą malutką śpiącą Cordelię w nosidełku zawieszonym na paskach, łysa główka dziewczynki kiwała się na boki. Tristao najpierw niósł Azora na barana. Chłopiec trzymał go delikatnie, lecz nieustępliwie, za sztywne od kamiennego pyłu włosy. Gdy Tristao poczuł, że chwyt dziecka słabnie i Azor najwyraźniej zapada w sen, wziął go w ramiona, zdumiony, jak ciężki się zrobił w ciągu niespełna dwóch lat. W plecaku oprócz ubrań miał rewolwer Cesara, załadowany sześcioma kulami, kowbojskie buty i przytroczoną do pasa torbę z kilkoma okruchami złota; ciężkie narzędzia górnicze, zniszczone od używania, zostawił bez żalu w chacie. Człowiek zmienia czasem skórę po to, by przeżyć.

Kupehaki, z głową pochyloną do przodu, przeciwstawiając się naciskowi *tipóia*, opaski na czole, targała w swoim koszu kilka naczyń kuchennych, blaszane pudełko zapalek, kilka haczyków i linek do łowienia ryb, wysadzany drogimi kamieniami portugalski krzyż i zabrane w pośpiechu ze spiżarni nędzne trzydniowe zapasy mleka w proszku, suszonej fasoli, *xarque*, liście *mate* i skwaśniałe, twarde ciastka z tapioki. Raz ona, raz Isabel niosła na głowie nieporęczne, ale na szczęście lekkie zawiniątko z kocami, moskitierą oraz starą skórą wołową, która, rozpostarta na ziemi, chroniła przed dokuczliwymi mrówkami i jadowitymi, zamieszkującymi w ziemi pajakami.

Tej pierwszej straszliwej nocy biwakowali na półce skalnej, w odległości niespełna trzech kilometrów od kopalni; dorośli czuwali, śpiąc na zmianę przy trzeszczącym ogniu, w ciemności dookoła roilo się od nieznanych stworzeń, a może duchów. Nawet drzewa zdawały się mówić, poruszając drapieżnie konarami. Przez całą noc słychać było pełne cierpienia krzyki, jak gdyby w mroku skradał się morderca. A jednak zamglony świt zastał bezdomnych podróżników nietkniętych. Odkaszczyli flegmę zalegającą im gardła, przetarli zaspane oczy, zarzucili na barki ciężar, który miał im pomóc przetrwać, i ruszyli w drogę. Unikając bardziej uczęszczanych szlaków, wędrowali kamienistymi dolinami Dourados od wschodu do zachodu słońca w kierunku rozległego, falistego płaskowyżu Mato Grosso. Nad nimi rozciągało się bezkresne niebo, jak gdyby Bóg z westchnieniem ulgi zakończył mozolny trud stworzenia, zadowalając się płatanim niskich ciemnych krzewów, mieszaniną kaktusów, zarośli i wysokiej trawy, gdzieniegdzie urozmaiconych niezbyt imponującym laskiem. Najbardziej rzucającym się w oczy drzewem *mato* była brazylijska sosna w kształcie odwróconego stożka. Im wyżej, tym coraz dalej sięgały jej kolejne ciemne gałęzie, co w efekcie wyglądało jak piramida stojąca na własnym

wierzchołku. Kupehaki nauczyła ich, jak wydobywać z gnijącej kory zwalonych gigantów białe soczyste robaki, zwane *coró* i jak jeść je żywcem, wijące się, kiedy nie ma akurat ognia, żeby je upiec; jeśli przemoгло się pierwszy odruch wstrętu, smakowały jak masło kokosowe.

To również Kupehaki pokazała im podczas wielu dni i tygodni ich wędrówki, jak chwycić nietoperze, śligi i ropuchy, pająki, larwy i koniki polne, jak „wydoić” sok z drzewa *bombax*, które jagody zbierać, a których się wystrzegać, ponieważ są trujące, które nasionka i orzechy zrywać i łuskać, gdzie szukać miodu magazynowanego przez małe pszczoły bez żadeł, zwane „eye-lickers”, które lubują się w ludzkim pocie i pchają się wściekle do nozdrzy, kanalików łzowych i wilgotnych kącików ust. Są gorsze od much-krwiopijców i os *maribondo*, bo raczej zginą w ekstazie w wydzielinach ludzkiej twarzy, niż odlecą.

W Serra do Buraco natura została wyrócona na lewą stronę — wyżłobiona, wypiętrzona i sproszkowana przez ludzką namiętność do złota. Tutaj, w bezkresnej monotonii zarośli i cętkowanej sawanny, gdzie suche wzniesienia *chapaddo* przeplatały się ze strużkami brązowych rzek, człowiek odzyskiwał swoje skromne miejsce w ostrej walce, oceanie żarłocznej proteiny, pienistym delirium grabieży. Kupehaki nauczyła ich, jak usuwać za pomocą żyłki Tristao szare pasozyty, które podstępnie i bezboleśnie wpijały się w nogi, i jak błyskawicznie zrzuć ubranie, gdy niewinnie wyglądający liść, potrącony, uwalnia mnóstwo mikroskopijnych kleszczy, rozbiegających się pod ubraniem jak ukłucia strzał. Jeśli ich błyskawicznie nie strząsnąć, w jednej chwili wbijają się pod skórę. Również Kupehaki nauczyła Tristao, jak zbierać suche gałęzie krzewów i jak rozniecać ogień, gdy skończą się zapalki, pocierając dwa patyczki i okładając je suchą trawą. Ona też pokazała Isabel, jak sklecić namiastkę szałasu z zielonych palmowych liści, które stwarzają złudzenie schronienia. Kiedy poza kręgiem pełgających płomieni rozlegał się ryk jaguara, to Kupehaki uspokajała Azora bajkami o psotnym jaguarze-bożku. Koila ich strach przed otaczającymi ich niebezpieczeństwami, opowiadając o dzikich zwierzętach jak o braciach i siostrach człowieka. Gdy wyjce wrzeszczały im nad głowami i obrzucały ekskrementami, tłumaczyła to jako żartobliwe powitanie; ukąszenia małych nietoperzy wampirów, gdy w nocy przypinały się do odsłoniętej ręki śpiącego, interpretowała jako rodzaj pocałunku, który oczyszcza krew, z umiarem. W dzień entuzjastycznie machała rękami do niezliczonych ptaków — zielonych papug długoogonowych, białych ibisów i siewek, różowawych warzęch, żabiru, olbrzymich bocianów, równych wzrostem człowiekowi, *bentevi*, tyranów o żółtych brzuchach, oraz efektownych żółtaczków przegoskrzydłych, które wiją gniazda wśród fioletowych orchidei, rosnących bujnie na okazałych palmach *uauacu*. W oddali, gdzie bagniste jezioro lśniło słabym blaskiem niczym miraż, kolorowe grudki, różowe i białe wysepki flamingów i czapli skrzyły się w spiekocie. Słyszając ludzkie głosy, do których nie były przyzwyczajone, wielkie ptaki zrywały się do lotu i przepływały im nad głowami, łopocąc skrzydłami w powietrzu.

Tristao bał się zmarnować sześciu nabożów w rewolwerze Cesara. Raz strzelił do czapli i chybił; za drugim razem zastrzelił człapiącego leniwie mrówkojada, po którego pieczonym tłustym mięsie wszystkich zemdliło; za trzecim razem ranił jelenia, który umknął pościgowi, przedzierając się na trzech nogach w głąb sawanny, aby tam paść ofiarą drapieżnych dzikich świń, pekari. Pozostałe trzy kule postanowił zostawić, na wypadek gdyby się pojawili wrogowie w ludzkiej skórze. Kupehaki pokazała im polany, gdzie ziemia koloru kawy pokryta była warstwą popiołu. Indianie uprawiali tam maniok, kukurydzę i tytoń, pozostawili też na pamiątkę swego pobytu kilka pnących męczennicy jadalnej. Po białych — poszukiwaczach *mamelucos*, zrodzonych z portugalskich ojców i indiańskich matek — zostały bardziej przykre ślady: zarośnięte chwastami pagórki i chodniki porzuconych kopalń, niszczone domy w opuszczonych miastach. Niekiedy ruiny liczyły sobie sporo stuleci i trudno było nawet poznać, że są to wspomnienia po człowieku — rzędy kamieni, które niegdyś były murem, zagłębienie w ziemi, które było spiżarnią. Ludzie zachłannie wędrowali przez niezmierzone przestrzenie, ale nie znajdowali niczego, co zachęcałoby ich, by zapuścić korzenie. Wielu z nich umarło, pod bezkresnym niebem pozostały po nich kopczyki grobów, zaznaczone bezimiennymi stertami kamieni albo zjedzonymi przez termyty krzyżami. Żarłoczne owady wyjadły wszystko, zostawiając tylko miejsca, gdzie drewno było pokryte farbą, opadła teraz na ziemię w okruchach, z których nic nie dawało się odczytać. Imię człowieka nie trwa długo w Mato Grosso.

Obecni poszukiwacze nie tracili całkiem nadziei, mimo że niemal przymierali głodem. Pewnego dnia muszą przecież zobaczyć na horyzoncie zaludnione miasto albo rzekę, która zaprowadzi ich tam, gdzie ich praca będzie potrzebna, gdzie zostaną wpleceni w strukturę społeczną. Wydawało się, jakby wraz ze swym brzemieniem cofali się w czasie, zostawiając za sobą szaleństwo, które ich lekkomyślna populacja sprowadziła na ich wiek, i wkraczając w nieskażone obszary, gdzie wciąż jeszcze liczy się praca chętnych ludzkich rąk. Isabel pamiętała z map, które zakonnice pokazywały jej w szkole, że na zachodzie Brazylii graniczy z Boliwią lub Peru. Powinny tam być góry ze szczytami tonącymi w białych chmurach, Indianie okryci kocami, w melonikach, oraz maoistowscy rewolucjoniści, którzy mogą ich przyjąć i zamienić w żołnierzy w wojnie przeciwko mężczyznom w srebrzystoszarych garniturach.

Tymczasem ich wędrówka przez monotony obszar porośnięty karłowatą roślinnością wymagała codziennej walki o pożywienie, o życie, odpierania demonów choroby, które atakowały krew. Azor, który na początku był tłuszcikiem jak pędrak, schudł, rączki i nóżki zrobiły mu się cienkie jak patyczki, oczy się zapadły. Nauczył się iść obok nich, nawet przez kilka godzin, bez słowa skargi, mimo że jego buzia — takie wrażenie odnosiła Isabel — skurczyła się i przypominała twarz starego człowieka. Cordelii, która wciąż była karmiona piersią, powodziło się znacznie lepiej, mimo że Isabel miała coraz mniej mleka. Isabel straciła swą kobiecą krągłość, wyschła na szczapę jak Kupehaki, chociaż skóra na rękach nie zwisała jej w pomarszczonych fałdach jak podgardle iguany. Żebra Isabel stały się widoczne i delikatne jak żeberka liścia palmy, mięśnie łydek stwardniały jak u Tristao. Mocno się opaliła, włosy jej zjaśniały na słońcu, Tristao natomiast sprawiał wrażenie przykurzonego, czarne ramiona wyblakły mu zupełnie, podobnie jak plecak, niegdyś jaskrawopomarańczowy, a teraz lekkoróżowy, prostokątny transparent wskazujący drogę przez trawę, zarośla, las, w miarę jak jedne przechodziły w drugie na powtarzających się bez końca przestrzeniach Mato Grosso. Skóra Tristao dziwnie zmatowiała — na policzku i przedramionach pojawiły się szare plamy jak upiorna mapa — w gęstych, sprężystych włosach pokazały się pierwsze pasma siwizny. Przystał się golić, żeby nie tępić ostrza żyłki, a jego broda była bardziej miękka i delikatniejsza od włosów na głowie, urosła zresztą tylko kilka centymetrów i na tym koniec.

Miłość Isabel do niego przybrała nowy kształt — wydłużony, niczym ogromna pętla, którą wykonuje samolot, wzbija się w górę, mając nad sobą i pod sobą niestrudzony przestwór, a następnie nurkuje w dół. Zdziwiła ją swoją siłą uśpioną siłą, którą budził nagle widok jego twarzy pod pewnym kątem, rzadko oglądanym — na przykład z góry kiedy wysokie prostokątne czoło zasłaniało oczy, okna w ciemność, a zarysowana w perspektywicznym skrócie szczeka wtulała się w zagłębienie muskularnego ramienia — albo widok jego wychudzonego ciała, zgiętego, pochylonego, gdy próbował rozniecić ogień, kręgow uwypuklających się wzdłuż pleców niczym progi rwącego strumienia. Czasami, gdy kuczał na jasnych piętach przy ogniu, żeby sprawdzić, czy na znękanym, cierpliwym ciałku Azora nie ma kleszczy, wszy, pijawek, robaków, albo gdy w środku nocy przynosił jej do karmienia kwilącą Cordelię — ponieważ nawet jej wyschnięte piersi dawały pocieszenie maleństwu — Isabel płakała z osobliwej radości, radości, że wybrał właśnie ją, że podszedł do niej tamtego dnia w oślepiającym blasku plaży, że odcisnął swoje piętno na jej oczach, na każdym milimetrze jej młodego, delikatnego ciała, nadał sens jej życiu. Wybrał ją, posiadał i zaakceptował, a teraz zaakceptował nawet te dzieci jako swoje, zaakceptował swój los mężczyzny prześladowanego przez jej ojca. Gdy przyglądała mu się, jak się porusza, nie wiedząc, że go obserwuje, czuła, że wdziera się w głąb jej duszy, że oboje kołyszą się w niej, wilgotni, bojaźliwi i boleśnie, ekstatycznie napięci. I gdy wreszcie inni zasypiali — Azor i Cordelia w objęciach starej Kupehaki pod siatką wspartą na palikach — przemykała się przez piaszczyste obozowisko, żeby przypomnieć mu o ich miłości, on zaś z usłużną szybkością rósł jak na drożdżach. Impotencja, która gnębiła go w czasach pracy w kopalni, minęła, ale jego potencja, niegdyś owoc ich bliskości niczym ziarno kielkujące w wilgotnej szczelinie, teraz nadchodziła z oddali niczym pomruk burzy, która nie powoduje deszczu. Na tym odludziu Tristao, jedyny mężczyzna wśród nich, stał się nieuchwytnie wielki — księżyc, który wydaje się mieć takie same rozmiary jak guzik trzymany tuż przy oku.

— Tristao — spytała go cicho pewnej nocy — a jeśli umrzemy tutaj?

— Wówczas sępy nas rozszarpią — odpowiedział, wruszając muskularnymi ramionami — i twój ojciec nigdy nas nie znajdzie.

— Myślisz, że wciąż nas ściga?

— Na pewno, zwłaszcza od kiedy zabiłem jego człowieka, czuję, jak depcze nam po piętach.

— To nie mój ojciec poluje na nas — zaprotestowała. — To system.

— Droga Isabel, nie powinienem był nigdy pojawić się w twoim życiu. Byłabyś teraz żoną grubego eleganckiego faceta z towarzystwa w Rio, mieszkałabyś na Avenida Vieira Souto.

Położyła mu palce na wargach.

— Jesteś moim przeznaczeniem. Jesteś tym, czego zawsze najbardziej pragnęłam. Wymarzyłam cię i wtedy się zjawiliś. Jestem naprawdę szczęśliwa, Tristao.

Rankiem wstawali, dorzucali suchego drewna do żarzącego się ognia, podgrzewali to, co zostało z wieczornego posiłku, szukali pożywienia, żeby nabrać sił przed całodniową wędrówką, i ruszali w drogę. Jeśli w pobliżu znajdował się strumień albo niezbyt słone jezioro, kąpali się szybko, zanim ich obecność zdążyła przyciągnąć

paszożyty i jadowite ryby. Szybko wyjmując z wody, która nocą stawała się przejmująco chłodna, nagie, lśniące ciało jednego ze swoich dzieci, Isabel spojrzała w górę i odniosła wrażenie, że kopuła niebieska obraca się wokół osi. W otaczającym ją krajobrazie i rozpiętym nad nim niebie była jakaś doskonałość, gdzie rozbielone, przejrzyste chmury stały nastroszone w miejscu albo też gęstniały, tworząc zbite masy o ołowianych, a jednocześnie przezroczystych środkach i spieszyły na wschód — na wschód, w kierunku odległego wybrzeża, odległego dwudziestego wieku — doskonałość znieruchomiałego ruchu, łagodne okrucieństwo, pełna nieobecność, wyniosłość bezkresu, która jednak otaczała ją czułością, tak jak skorupka jajka utrzymuje odżywcze białko wokół rozrastającego się żółtka.

Wędrując dzień po dniu, mieli wrażenie, że znaleźli się w kieracie, który nie mogąc poruszyć przestrzeni, został wprzęgnięty w czas. W powietrzu nad *planalto* zawisł pewien zapach, delikatna przydymiona ostrość. Isabel przyszło do głowy, że taki właśnie zapach Brazylii musiał poczuć Cabral i załoga jego okrętów tamtego kwietniowego dnia w tysiąc pięćsetnym roku, zapach strawy gotowanej przez Tupi i czerwonego drzewa brazylijskiego, które było początkowo jedynym skarbem ogromnego kraju. Czują się coraz bardziej w domu, ukołysana jednostajnym rytmem ich wędrowki — budzili się ze snu w swoich objęciach, odkrywali, że w poszukiwaniu ciepła wszyscy przysuwali się coraz bliżej do spopielającego ogniska i że są okropnie brudni; kapali się w perłowym, niewinnym świetle poranka; szukali czegoś do zjedzenia, zbierali jagody, orzechy, dzikie ananasy, ogłuszali kijami lub kamieniami małe zwierzątka, jaszczurki, krety, wiewiórki o jaskrawopomarańczowych ogonkach; ich poszukiwania zawsze przynosiły jakiś efekt i wprawdzie nie byli całkiem nasyceni, ale też nie umierali z głodu, głód działał na nich niczym gaz, powodując zawrót głowy; pakowali się, uspokajając małego płacznego Azora wesołymi, kłamliwymi obietnicami, że wkrótce ich tułaczka się skończy; podążali gęsiego na zachód, w kierunku kępy ciemnozielonych araukarii, różowej ściany skalnej, rysującej się zębato na tle niebiesko-brązowego horyzontu; wieczorem rozbijali obozowisko. W drżącej czerwonej poświacie zachodzącego słońca — wyglądającego jak rozżarzone węgle, *brasa* — improwizowali nowy dom, zbierali drewno na opał, badali teren, rozpalali ognisko, gdy pojawiały się pierwsze gwiazdy, anemiczne dzieci słońca, które już zaszło.

Isabel czuła się bezpiecznie i błogo w tej powtarzającej się codziennej rutynie, ale Kupehaki coraz częściej dostrzegała świeże ślady upraw w sawannie. W płytkiej dolinie, którą ominęli, wypatrzyła nie stado jeleni, lecz koni — wielkich służalczych bestii o dzikich oczach, które europejscy osadnicy sprowadzili na kontynent.

— Guaicuru — powiedziała stara Tupi, ale nie potrafili jej zmusić, żeby wyjaśniła, co to słowo oznacza. Kupehaki wywróciła tylko oczy i wyszczerzyła zęby, co pozostało jej z czasów, gdy była dziewczyną. Jej nerwowe zachowanie udzieliło się dzieciom, których płacz, skargi i niemożliwe do zaspokojenia żądania denerwowały zmęczonych rodziców.

Dotarli nad brązową rzekę, zbyt szeroką i bystrą, żeby mogli się przeprawić na drugą stronę. Kilka gnijących w wodzie skrzyżowanych pali pozostało po prymitywnym indiańskim moście, który zniosły wezbrane wody. Jutro zbudują tratwę z pni balsy, wiążąc je lianami. Wzdłuż brzegu rzeki ciągnęły się piaszczyste terasy, postanowili zatrzymać się na noc na najwyższej, w pobliżu gęstej kępy palm *uauacu* i wyższych od nich, smuklejszych *carandd*.

XIX. Napaść

Ożywiony szum rzeki, plusk fal rozbijających się o brzeg, rechotanie zab nie pozwoliły Isabel zapaść w głęboki sen, toteż to, co się wydarzyło, stanowiło jak gdyby przedłużenie jej marzeń sennych — wysocy, nadzy mężczyźni, pomalowani jak karty do gry, zmaterializowali się nagle w przyćmionym świetle księżyca i w blasku padającym od przygasającego ogniska. Język, którym się posługiwali, był zgrzytliwy, mówili szybko ale niezbyt głośno, nawet gdy napad błyskawicznie osiągnął punkt kulminacyjny. Musieli obserwować ich od dawna ponieważ najwyraźniej akcja — została dokładnie zaplanowana. Dwa cienie dopadły Kupehaki i podniosły starą kobietę do góry; podczas gdy jeden z mężczyzn unieruchomił jej ramiona, drugi chwycił ją za włosy i podrzynając jej gardło czymś w rodzaju białego sierpu sporządzonego z zuchwy z wyostrzonymi zębami, okręcił i urwał jej głowę; z padającego na ziemię tułowia trysnął pióropusz czarnej krwi. Pełen niedowierzania krzyk zamarł Isabel w krtani. I teraz, i później, w koszmarach sennych, wydawało jej się, że urwana głowa patrzy na nią z martwym spokojem spod półprzymkniętych powiek, jak gdyby Kupehaki chciała powiedzieć, że uczyniła już wszystko, co było w jej mocy, i czeka, by jej pani zwolniła ją z obowiązków.

Dwa inne wysokie cienie pochwyciły dzieci, które spały wciąż pod osłoną moskitiery, i bełkocąc coś, zniknęły w gęstwinie palm. Azor zaczął krzyczeć, ale prawdopodobnie zatkało mu usta dłonią. Inny cień wywrócił długi

kosz Kupehaki, szukając skarbów wśród przedmiotów rozsypanych na piasku obok ciała pozbawionego głowy.

Tristao zerwał się na równe nogi, co spowodowało, że Indianin, który zbliżał się do nich, zatrzymał się nagle. Był nagi, miał tylko stożkową osłonę na penis i bransoletki z muszelek i zębów na przegubach i na kostkach. Jego twarz, bez śladu zarostu, której bezzęse, zaczerwienione oczy nadawały zraniony wygląd, pokrywał koronkowy wzór namalowany czerwoną i niebieską farbą, z przekłutej dolnej wargi sterczały niczym cienkie białe kły trzy kościane pręciki. Włosy miał krótkie i sztywne od jakiegoś mazidła; gdy obnażył zęby, okazało się, że są krzywe i czarne. Otworzył usta ze zdumienia, ponieważ w słabym świetle zobaczył mężczyznę ciemniejszego i kobietę jaśniejszą, niż kiedykolwiek zdarzyło mu się spotkać, i ten widok był dla niego przerażający, a zarazem święty. Trzymał w dłoni bambusową dzidę o ostrym i bez wątpienia nasączonym trucizną końcu, ale zawahał się przez fatalną dla siebie sekundę, tak jak rybak waha się, obliczając, pod jakim kątem powinien cisnąć włócznią w zwodniczą wodę. Isabel poczuła ostry żywiczny odór, który wydzielają jego sztywne włosy, i spostrzegła, że w miejscu, gdzie powinny znajdować się uszy Indianina, są skrzydła ptaków. Wówczas Tristao strzelił do niego z rewolweru Cesara.

Napastnik upuścił dzidę i z gardłowym okrzykiem zdziwienia chwycił się za bok, jak gdyby użądliła go pszczoła. Próbował uciekać, ale nogi mu się zaplątały, zrobił parę kroków w kółko, a następnie upadł głową w stronę ogniska, wciąż przebierając nogami i kopiąc piasek. Pozostali Indianie, usłyszawszy strzał, uciekli z bezwstydnym tchórzostwem dzikusów. W uszach Isabel strzał zabrzmiał jak klaps, budząc ją wreszcie całkowicie. Kiedy zerwała się na nogi, żeby stanąć obok Tristao w ostatniej sekundzie ich życia? Nie pamiętała. Zapach żywicy przypomniawszy jej natomiast lekcje gry na skrzypcach, które załatwił kiedyś dla niej stryj Donaciano. Bardzo szybko je zarzuciła, podobnie jak wszystkie inne lekcje tego rodzaju — rysunku, tańca, haftu. Była zdolna jedynie do miłości.

Tristao podszedł do wierzgającego Indianina i wycelował w niego lufę rewolweru, nie wystrzelił jednak. Zamiast tego wyjął z kieszeni szortów jakiś przedmiot, zapewne zyletkę, i przykucnął, by zrobić coś, czego nie widziała zza jego pochylonych pleców. Gdy wstał, zbrodnicza otepiałość jego rysów opadła na twarz Isabel niczym rosa. Życ nadal było czymś dziwnym i przytłaczającym.

— Muszę zachować dwie kule — wyjaśnił. — Może dla ciebie i dla mnie, jeśli wrócą.

Myśl o tym, że może ponieść śmierć z jego ręki, zawierała w sobie tak wspaniałą logikę, że Isabel poczuła, jak napinają się jej uda. Po chwili jednak ponura, bolesna rzeczywistość przesłoniła promienne fantazje. U jej stóp leżało ciało Kupe-haki, w powietrzu unosił się 'smród ekskrementów, wydalonych w śmiertelnym paroksyzmie.

— Porwali nasze dzieci! — wybuchnęła płaczem Isabel. W tym okrzyku zaimek „nasze” był fałszem.

— Indianie mają konie — powiedział Tristao. — Słysząc jeszcze tętent kopyt. Nigdy nie uda nam się ich dogonić na piechotę. — Dyszał ciężko, wał obronny jego czoła przecinała pionowa zmarszczka. Sprawiał wrażenie, jak gdyby był zły na nią.

— Och, moje maleństwa — jęknęła i zemdląła. Piaszczysta ziemia wyszła jej na spotkanie niczym miękkiej materac dziecinnego łóżka, w czasach gdy ojciec — zanim matka umarła przy porodzie, a on zmienił się w rannego, cierpiącego potwora — prznosił ją na rękach, śpiącą, z jakiegoś wspaniałego miejsca, w którym przebywali razem wszyscy troje, ona zaś w przebłyску świadomości czuła jego silne ramiona, potem dotyk białej pościeli, uświadamiała sobie swoje zmęczenie i ufność, gdy przelewano ją z głębokiego wiadra jednego snu w drugie.

XX. Znowu sami

Gdy wróciła do przytomności, światło poranka skrzyło się na lśniącej, brązowej powierzchni rzeki, a Tristao siedział, wpatrując się w ogień, który na nowo rozniecił. Gdy weszła w krzaki, żeby załatwić naturalną potrzebę, połamane gałązki i ślady na piasku powiedziały jej, dokąd zostało zaciągnięte ciało Kupehaki. Mrówki i sępy wkrótce dokonają swego dzieła i po wiernej Tupi zostaną jedynie kości. Isabel zaschło w ustach, żołądek miała pusty.

— Co zrobimy? — spytała Tristao.

— Będziemy żyli, jak długo się nam uda — odpowiedział. — Musimy przepłynąć się przez rzekę i posuwać się

na zachód. Za nami został tylko smutek i niebezpieczeństwo.

— Ale Azor i Cordelia... — Łzy spływały po policzkach Isabel, gdy wyobraziła sobie ich małe rączki i ufne spojrzenia szeroko otwartych oczu, niczym filizanki, które czekają na to, by je napełnić. Nawet gdy głód i zmęczenie dawały im się we znaki, zawsze patrzyły na matkę z ufnością.

— Nie mamy dość siły — powiedział Tristao — ani żadnej możliwości odzyskania ich. A nawet gdyby nam się udało, w jaki sposób moglibyśmy chronić je przed niebezpieczeństwami tego odludzia? Może będzie im lepiej wśród tych, którzy potrafią przetrwać. Gdyby Indianie zamierzali je zabić, uczyniliby to na miejscu.

Isabel ogarnęła bezsilna wściekłość. Wydawał się taki zadowolony z siebie, mówiąc tak posepnie, tak rozsądnie o ich rozpaczliwej sytuacji.

— Po co właściwie mamy żyć? — spytała go. — Myślisz, że światu — zatoczyła dłonią krąg, jak gdyby pokazywała nawet obszary poza Mato Grosso — zrobi jakąkolwiek różnicę, czy umrzemy wcześniej czy później? Po co walczyć choćby o jeden dzień, Tristao?

Spojrzał na nią z rezerwą, przechylając lekko głowę na bok i mrużąc oczy, jak to czynił, gdy był tylko małym plażowym złodziejaskiem, chociaż od tamtych czasów na jego twarzy pojawiły się pierwsze zmarszczki.

— Grzechem jest nawet pytać o to — powiedział. — po prostu mamy obowiązek żyć.

— Nie istnieje nikt — krzyknęła, tym razem wskazując na niebo — kogo obchodziłoby, co jest twoim obowiązkiem! Boga nie ma, a nasze życie jest straszliwym przypadkiem! Urodziliśmy się w cierpieniu, także cierpienie, głód, żądza i strach popychają nas bez żadnego celu.

— Rozczarowałaś mnie, Isabel — powiedział z bardzo poważną miną, cicho, jak gdyby chciał wycofać ten jej okrzyk protestu. — Jeśli świat nie ma celu, czemu jest tak przemyślany? Zastanów się, jaką troską otoczone są najdrobniejsze owady i chwasty. Mówisz, że mnie kochasz; musisz zatem kochać życie. Życie jest darem, za który musimy czymś odpłacić. Wierzę w duchy — mówił dalej — i w przeznaczenie. Ty jesteś moim przeznaczeniem, a ja twoim. Jeśli teraz poddamy się bez walki i umrzemy, nigdy nie spełnimy naszego przeznaczenia. Być może w nasz los zostało wpisane uratowanie dzieci, a może nie. Wiem jedno, Isabel: los zetknął nas nie po to, żebyśmy nakarmili dziećmi żołądek świata, lecz żebyśmy udowodnili, że miłość istnieje, stali się dla świata przykładem miłości. Czuję to nawet w fabryce *fuscas*, kiedy myślałem, że nigdy cię więcej nie zobaczę.

I to była prawda, że godząc się z jego osądem i dzieląc z nim trudy dalszej wędrówki, przymierając głodem, kochała go bardziej niż kiedykolwiek. Nigdy nie odczuwała większej potrzeby kochania go, nawet niegdyś, w hotelu w Sao Paulo. W ich rozpaczliwej samotności miłość fizyczna stanowiła potwierdzenie jej prawa do Tristao, dodawała mu otuchy, przypominała jej, że nadal żyją, była błaganiem go o przebaczenie i perwersyjnym triumfem zanikających sił. Ponieważ brakowało im pożywienia, pieprzenie się zastępowało im strawę. Ponieważ byli zagubieni, ich ciała stały się jedynym celem ich podróży, jedynym domem. Nie znali się na roślinach tak jak Kupehaki, toteż kilkakrotnie najedli się przez pomyłkę trujących jagód, wykopali i ugotowali trujące korzonki. Gorączka i halucynacje o mało ich nie pokonały; biegunka wyczyściła ich jelita do gładkości marmuru. Wychudzona, udreżona wymiotami, wstrząsana dreszczami z powodu gorączki, szczękająca zębami Isabel mimo to miała ochotę bawić się jego członkiem, wodzić czubkiem języka po nabrzmiątych żyłach i spijać przezroczystą kropelkę nektaru z jego małej, wąskiej szczeliny, zanim poczuła między nogami coraz szybsze ruchy Tristao, a pod palcami napięte mięśnie pleców. Gdyby miała oddać ostatnie siły w takim uścisku, jej życie przybrałoby kształt kwiatu z delikatnym kielichem rozchylonym na światło życia.

On zaś, zdumiony jej namietnością, tak nadmierną i ekstrawagancką jak zwinięta orchidea żywiąca się powietrzem, pozwalał, by go podniecała, nawet gdy jego witalność spadała niemal do zera, gdy jego własny szkielet wydawał mu się ciężki jak kamienie i z trudem włókł go w cienkim worku skóry przez cierniste *chapadoes*, po czym z zawrotem głowy pozwalał mu opaść na twarde podłoże, kiedy zatrzymywali się na nocny odpoczynek. Zbyt słaby, by podnieść się z ziemi, przyglądał się sennie nagiej Isabel, która siedziała na nim okrakiem i nasuwała się na jego pracę. Biodra, brzuch i wzgórek Wenusy pokryty jasnym puchem nawet przy jej wychudzeniu pozostały zaokrąglone, ostatni ślad kobiecego sadelka. Jej szparka obejmowała go ciasno, najpierw sucha i bolesna, potem wilgotna i lepka, Isabel opadała na jego oleistoczarne włosy łonowe, unosiła się, znów opadała, jej wyschnięte piersi trzepotały na białej klatce piersiowej o zebrach niczym zeberka liścia palmowego.

Głód jest najpierw bólem, burkliwym, nekającym intruzem, potem zaś narkotycznym oszołomieniem, przyćmieniem, do którego człowiek się przyzwyczaja, a jego świadomość dryfuje gdzieś bez oporu. Nawet wyjce na leśnych polanach wycofywały się z respektem pod baldachim zieleni ustępując drogi tym dwojgu ludzi, duchom. Na wilgotnym piasku widniały świeże ślady pak i tapirów, nigdy jednak nie natknęli się na te zwierzęta, zresztą byli zbyt słabi i powolni by je schwytać. Dzięki wykładom z botaniki Isabel potrafiła rozróżnić palmy *buriti* o sztywnych wachlarzowatych liściach, palmy *bacaba* o liściach bardzo długich i zakrzywionych, które wyglądały, jak gdyby były potargane, niskie palmy *nacuri*, kolczaste palmy *boritana* o smukłych pniach, które lubią wilgoć, i jeszcze smukłej sze palmy *accasby* o pniach prostych jak strzały; o innej porze roku mogliby pożywić się orzechami lub rdzeniem palmy, teraz jednak nie znajdowali tu niczego. Tętniące wokół nich życie było dręczącą tapetą w pustej celi. Pewnego dnia dotarli do całkowicie martwego lasu, gdzie drzewa miejscami stały, miejscami leżały zwalone niczym strzaskane kolumny zdewastowanej świątyni, mszystozielone, ciemnoróżowe, białe jak śnieg i niebieskawe. Jaki bóg był tutaj żarliwie czczony, a mimo to umarł?

Gdy oboje byli bliscy załamania, powietrze przed nimi zaroilo się od mieniających się tęczowo kolibrów, zwanych pocałunkami kwiatów, ze szmaragdowymi grzbietami, żółtymi szyjkami i plamistymi skrzydełkami, niczym owoc, który sam prosi się, żeby go zerwać. Tristao i Isabel nauczyli się je chwytac, zaciskali w dłoni trzepocące skrzydełka i ukrecali lebki. Sześć czy osiem z nich oskubali starannie z przepięknych metalicznych piórek, upiekli, nadziawszy na cieniutkie patyczki, i zjedli twarde, słodkie mięso o gorzkawym posmaku. Kiedy indziej trafili na plantację nerkowca zachodniego, opuszczoną przez jakichś chwilowych rolników, i żarłocznie pochłonęli wszystko, do czego udało im się dosięgnąć, zarówno orzechy, jak i grubą skórę. Takim sposobem, od jednej sporadycznej uczty do drugiej, wędrowali przez coraz gęstszy las, gdzie trudno było dojrzeć zachodzące słońce i gdzie światło dzienne ledwie przedzierało się lodowatymi iskierkami sponad najwyższych pieter roślinności.

Swoją samotną wędrowkę Tristao i Isabel rozpoczęli od przepłynięcia brązowej rzeki w pobliżu pechowego obozowiska. Każde z nich użyło do tego celu grubego pnia zwalonej palmy, ale spróchniałe drewno piło wodę jak gąbka i bardzo szybko zatoneło; Tristao musiał ciągnąć Isabel przez ostatnie sto metrów, jej biała dłoń wczepiona w jego lśniące ramię przypominała pijawkę na czarnym błyszczącym jesiotrze. Na szczęście piranie, które skubały ich w kostki u nóg, nie były przyzwyczajone do ludzkiego ciała i ruchów, i żadne przypadkowe chapnięcie nie skaleczyło skóry do krwi, co mogłoby doprowadzić je do szału. Opadłszy niemal całkiem z sił, Tristao namacał stopami piaszczystą płyciznę; chwytając z trudem oddech, zdołali dobrnąć do przeciwległego brzegu. Nie wiedząc o tym, przeszli przez *planalto* od terenów, gdzie rzeki płyną na południe, w kierunku do Paragwaju, aż do krainy Indian Pareci, gdzie strumienie są dopływami Amazonki, tysiąc pięćset kilometrów na północ.

XXI. Ratunek

Mineły tygodnie. Położyli się, by umrzeć. Niewielki zagajnik kopernikii woskodajnej rzucał przyjemny, drżący cień; pomiędzy smukłymi falującymi konarami Tristao i Isabel widzieli trawiaste, porośnięte krzewami zbocze, opadające ku jeszcze jednej rzece, jeszcze jedno wzniesienie na bezkresnym *planalto*. Było późne popołudnie, delikatne cienie zacieśniały swoją sieć, pojawiły się moskity i drobne mustyki na których uklucia Tristao i Isabel od dawna stali się niewrażliwi.

Kochankowie, trzymając się za ręce, zwrócili twarze ku niebu. Słyszał, jak jej oddech staje się coraz bardziej chrapliwy, płytki, i odwrócił głowę, żeby jeszcze raz zobaczyć jej profil — opalone czoło, linię migotliwych jasnych włosów zgarniętych od skroni do tyłu, wystający podbródek, świadczący o zmysłowości i skłonności do psot, jak to odgadł na pierwszy rzut oka. Na jej wychudzonym palcu namacał luźne teraz, twarde kółeczko pierścionka DAR, który jej kiedyś ofiarował, a jego oczy, niemal bez udziału świadomości, za profilem Isabel zarejestrowały obecność wysokich skórzanych butów, zniszczonych od długiego noszenia i niepogody. Były tam również inne męskie buty, wysłużone, przypominające wyglądem łapy zwierzęcia, a nad nimi spłowiełe, podarte bryczesy z grubego sukna w rozmaitych kolorach.

Tristao usiadł i natychmiast poczuł szpic rapiera przytknięty do gardła.

— Nie ruszaj się, czarnuchu — odezwał się niski głos, grzecznie, z osobliwym i wytwornym akcentem, jakiego Tristao nie słyszał nigdy przedtem. Potem wyłoniła się twarz koloru mosiądzu, pełna, ale nie łagodna, brodata, osłonięta szerokim skórzonym kapeluszem. — Sądząc po twoim wyglądzie, dawno nie miałeś nic w ustach. Nie trzeba mieć długiego kutasa, żeby cię przebić na wylot. A cóż to za zjawisko śpi obok ciebie? Pewnie prawdziwa

księżniczka, która przywędrowała z daleka, z pałacu zacnego Joao Quinto. Dwa kwadraty szachownicy przybyły do nas, żebyśmy mogli sobie zagrać!

Mężczyzna i jego towarzysze, przyglądający im się z ciekawością, wybuchnęli radosnym rechotem, z czego Tristao wywnioskował, że niewątpliwie nastąpi teraz coś w rodzaju zabawy. Nawet gdy skuli mu ręce ciężkimi zardzewiałymi kajdanami, a na szyję włożyli żelazną obręcz ze zwisającym łańcuchem, otepiały i znużony pomyślał, że robią to dla jego dobra.

Isabel obudziła się z cichym okrzykiem z rozpadającego się teatru swoich snów.

— Tristao — powiedziała — jeśli umarliśmy, niebo zamieszkuje brutalne anioły.

Zbójów było sześciu lub siedmiu, wszyscy brodaci i odziani w podarte, zniszczone ubrania uszyte ze skrawków skóry i tkaniny; wszyscy mieli na sobie dziwne napierśniki, pancerze z surowej skóry zwierzęcej z bawełnianym podbiciem — Isabel pomyślała, że są wystarczająco miękkie, by były wygodne, a jednocześnie dość twarde, by stanowić ochronę przed strzałami. Stan ich ubrań świadczył o tym, że noszą je bardzo długo i w różnych warunkach atmosferycznych; niektórzy z mężczyzn mieli na głowach kapelusze uplecione z palmowego łyka, inni tylko zawiązane chusty. Niektórym brakowało ręki lub nogi. Kilku trzymało w rękach muszkiety i rusznice. Zamruczeli z zachwyty, słysząc głos Isabel, jak gdyby do tego najodleglejszego od cywilizacji punktu przywieziono z Wenecji lub Antwerpii dźwięczny, śpiewny klawesyn. Wieki minęły od chwili, gdy po raz ostatni słyszeli głos białej kobiety. Oprócz nich w grupie znajdowało się około dwudziestu Indian, których odzienie było bardzo zróżnicowane — od kompletnej nagości do workowatych spodni i roboczych koszul. Jeden z patrzących gniewnie dzikusów miał przekłutą przegrodę nosową, zwisały z niej papuzie pióra; inni przyozdobili swą nagość naramiennikami z małpiej skóry i naszyjnikami z perłowych rzecznych muszelek, składającymi się z wielu sznurów. Wszyscy jednak, łącznie z kilkoma kobietami, które trzymały na rękach małe dzieci, wydawali się żyć w całkowitej zgodzie z tą pstrokatą gromadą i wszyscy, niczym małe pszczoły „eye-lickers” zebrałi się wokół Tristao, dotykając go bezwstydnie i oglądając ze wszystkich stron, jak gdyby był jakimś niezwykłym mechanizmem.

Nie kwapili się natomiast, by dotknąć Isabel, próbowała więc użyć swej władzy i stanąć między nimi a Tristao, jednak brutalność, z jaką została odepchnięta, nakreśliła wyraźnie granice nabożnego podziwu dla jej jasnej urody. Czuła również, że jej delikatny kobiecy głos nie przenika w pełni przez grubą błonę bębenną odzianych w skóry poszukiwaczy przygód. Mimo to przywódca bandy, mężczyzna z rapierem, w dziwnym odruchu szacunku pozwolił jej trzymać łańcuch od żelaznej obręczy na szyi Tristao, jak gdyby uznając jej pierwszeństwo jako właścicielki.

— Boję się, Tristao — wyznała szeptem.

— Dlaczego? Przecież to ludzie twojej rasy. — Wrogość i zawziętość w jego głosie sprawiły jej przykrość. Po długiej wędrówce, podczas której ich osłabłe ciała niemal się ze sobą stopiły, nagle otworzyła się między nimi przepaść. — Przynajmniej nas nakarmią — dodał łagodniejszym tonem. — Ci zbójce są tłuszczy jak świnie.

Cała grupa zeszała z boczem w dół szeroką ścieżką w kierunku rzeki. Uprzątnięte pola i plantacje manioku oraz fasoli przygotowały ich na widok osady — rozsiąanych z rzadka okrągłych chat o palmowych dachach, niektóre w stylu indiańskim, o otwartych bokach, inne ze ścianami z bierwion i błota, co miało służyć europejskiemu poczuciu bezpieczeństwa. Wzdłuż rzeki ustawione były rusztowania do suszenia ryb i pale, na których wisały sieci. Na ziemi leżały nie dokończone łodzie z wydrążonych pni, obok nich walały się strużyny i rdzewiejące żelazne narzędzia. Spłowiła *bandeira*, z krzyżem i tarczą herbową widoczną w wyblakłych fałdach, zwisała z bambusowej tyczki przymocowanej do deski kalenicowej największej budowli obozowiska, otwartego długiego baraku, w którym mogła zbierać się cała ludność osady. Tu właśnie, przed całe zgromadzenie, zostali przyprowadzeni jeńcy, uprzednio nakarmieni i wykapani przez zręczne, stanowcze indiańskie ręce. Mężczyzna, który ich znalazł, poprowadził ich przez podniecony tłum przed oblicze drugiego mężczyzny, podobnego do niego, również o cerze koloru mosiądzu, lecz starszego i szczuplejszego. Siedział w wiklinowym fotelu z wysokim oparciem ozdobionym cętkowaną skórą jaguara szczerzącego kły, która miała dodawać splendoru temu tronowi.

— Mam zaszczyt być kapitanem tej *bandeira* dzielnych i pobożnych mieszkańców stanu Sao Paulo — wyjaśnił, przedstawiając się z ironicznym patosem: — Antonio Alvares Lanhas Peixoto. Poznałaś już mojego młodszego brata, Jose de Alvarenga Peixoto. — Broda Antonia była ukształtowana w długi szpic, a kolor skóry przypominał złoto, co stanowiło wynik skrzyżowania ras. Złotem lśniły jego kości policzkowe i wydatny orli

nos. Ponieważ wydało mu się, że Isabel przygląda się jego nosowi, przyłożył do niego palec i powiedział: — Moja matka była Indianką z plemienia Carijó, a ojciec neofita, dawnym synem Abrahama, jak zresztą połowa mieszkańców Sao Paulo. Błogosławiona służba świętej inkwizycji w Bahii nigdy nie sięgnęła tak daleko na południe... nie dlatego — dodał spieszenie — żeby księża uznali, że brakuje nam żarliwej ortodoksji. Na rany Chrystusa, czy nie ryzykowaliśmy życia i zdrowia psychicznego dla zbawienia pogan? Czy nie tułamy się nie wiadomo od ilu lat po tym przeklętym piekle kaktusów i mrowisk, dręczeni na wszelkie sposoby przez ryby o ostrych zębach i brzęczące owady, które Stwórca Wszechrzeczy uważał za stosowne wynaleźć? Czy nie byliśmy na każdym kroku bezlitośnie napastowani przez tych dzikusów, których chcieliśmy uratować, uzbrojonych i podjudzanych przez hiszpańskich jezuitów, którzy są zdrajcami w czarnych sutannach, zdrajcami wobec własnej rasy i religii?

Te upominające pytania były najwyraźniej skierowane nie do Isabel — mimo iż nawet w oratorskim zapale nie spuszczał z niej błyszczących małych oczu w pięknym kolorze bursztynu — lecz do obdarłej gromady wojowników stłoczonych za plecami jeńców.

— Odziani w sutanny bluźniercy udzielają schronienia niewiernym — powiedział, mając na myśli jezuitów — tworzą specjalne misyjne wioski dla własnego zysku i rozpusty i trzymają tam nagich próżniaków, podczas gdy to my naprawdę ich uczymy w naszych osadach i królewskich *aldeias* boskiej religii, użytecznej pracy i dobrych obyczajów.

— Słyszałam o królach — powiedziała nieśmiało Isabel — ale oni rządili dawno temu.

— Zawsze — przerwał jej okrągłolicy Jose. — Od dawna już jesteśmy na tym odludziu, poprzysięgliśmy sobie bowiem nie wracać nigdy bez Indian albo złota. Jeśli przeżyjemy kilku królów i okaże się, że podczas naszej nieobecności w cudowny sposób staliśmy się ojcami kilkorga dzieci, to jakie będzie to miało znaczenie, gdy powrócimy do naszych posiadłości jako bogaci ludzie z gromadą chętnych służących, którzy będą dla nas pracować i których wymienimy na ziemię? Białe złoto jest naszym celem, czerwone złoto zyskiem!

Jego brat uniósł długi palec, by uciszyć ten zachłanny entuzjazm.

— Werbujemy pogan dla ich własnego zbawienia — przypomniał zebranym, zwracając się do Isabel. — Uderzają nas w jeden policzek, a my im nadstawiamy drugi i bierzemy ich tylko do niewoli, podczas gdy oni zabijaliby, nie zważając na nic. W swej bezbożnej ciemnocie zjadają mózgi i organy wewnętrzne wrogów, żeby zyskać męstwo w walce. Odzwyczajamy ich od takiego barbarzyństwa, przekazujemy im natomiast odpowiednie wiadomości i wdrazamy do użytecznej pracy. Tak więc pośród okrucieństw walki, nawet jeśli odplacają nam zatrutymi strzałami, pozwalamy im wejść w łaski naszego Zbawiciela.

Ta górnolotna deklaracja wzbudziła niepowstrzymany śmiech *bandeirantes*. Zapanowała radosna wrzawa, Jose zaś pochylił się ku Isabel i Tristao i powiedział chytrze:

— Jeśli, oczywiście, nie są zbyt słabi albo zbyt młodzi, by pracować, a kobiety zbyt stare, by ogrzać łóżko mężczyzny.

— To znaczy, że ci wszyscy ludzie — spytała Isabel Antonia — są niewolnikami?

— Proszę cię, dziecko, nie używaj tego słowa. Branie do niewoli tubylców zostało stanowczo zakazane w instrukcji królewskiej i wielokrotnie potępione w bulli papieskiej. Zamierzamy jedynie „administrować”. Ci, których tutaj widzisz, są naszymi sprzymierzeńcami; Tupi, Guarani i Caduveo przekonali się do naszej sprawy i dlatego zostali naszymi przewodnikami i pełnymi miłości towarzyszami. Wielu z nas zrodziły indiańskie matki, sami też poczynamy dzieci z Indiankami. Owszem, niektórzy uciekliby z naszej służby, gdyby tylko im się udało. Ale Bóg nie obdarzył jeszcze naszej ekspedycji obfitym żniwem nawróconych dusz, a wielu z tych, których zyskaliśmy dla Jezusa, zostało niestety wezwanych do jego niebieskiego królestwa z powodu gorączki i ospy. Nasz kapelan zużył swój zapas drogocennego wina, udzielając ostatniej komunii.

— Te łotry uciekają! — wybuchnął Jose. — Uciekają, umierają! Okazują tak niewiele wdzięczności za naszą opiekę, że nikczemnie zmuszają swoje serca, by przestały bić! Dlatego ten czarnuch jest tutaj cennym skarbem; w samym Sao Paulo niewielu może sobie pozwolić na luksus posiadania Murzynów czystej krwi. Sa rasą, którą Bóg stworzył, żeby wzbogacić ludzi lepszych od nich — synowie Chama mają służyć synom Sema i Jafeta. Nie umierają. Oplakują swoją zapowietrzoną ojczyznę, czczą bożków i bębny, a jeśli uda im się zebrać bandę, podnoszą bunt i uciekają, tworząc w dziczy *quilombos*, gdzie panuje kompletna anarchia; nie umierają jednak u

nas tak zdradziecko i masowo.

— On nie jest niewolnikiem! — wykrzyknęła Isabel. Antonio uniósł ze zdziwieniem barokowe brwi, w których siwizna przeplatała się z miedzianymi pasemkami.

— A zatem kim jest?

— Jest moim mężczyzną — moim towarzyszem, moim mężem — powiedziała Isabel. Zebrała wszystkie siły, by wytrzymać falę szyderstw, ponieważ absurdem wydawało się mówić w ten sposób o milczącym uparcie stworzeniu w żelaznej obroży, utrzymanym na łańcuchu niczym pies lub małpa; jej słowa powitała jednak pełna zdumienia cisza. — Kocham go — rzuciła w tę ciszę cichutkim, łamiącym się głosem. Przez tyle kilometrów niosła tę miłość niczym naczynie z dreźdeńskiej porcelany, przemierzając całą Brazylię.

Antonio pochylił się do przodu, mierząc ją bacznym spojrzeniem bursztynowych oczu.

— Opowiedz nam swoją historię — zażądał.

— Wędrowaliśmy na zachód przez tak wiele tygodni, że nie potrafilibyśmy ich zliczyć — wyjaśniła — uciekając przed niezadowolaniem mojego ojca z powodu naszego związku i szukając miejsca, gdzie moglibyśmy się osiedlić i zająć pożyteczną pracą. Kilka tygodni temu nasza mała grupka została zaatakowana przez pomalowanych dzikusów; zabili naszą wierną Tupi, porwali dwoje naszych dzieci i odjechali na wielkich koniach. — Wspominając to wszystko, poczuła, że ciężar przeżyć przytłoczył ją, łzy spłynęły po jej policzkach, w gardle dławiły ją powstrzymywane łkania.

— Ach, to byli Guaicuru — diabły wcielone! — wykrzyknął Jose z podnieceniem. — Dosiadają koni arabskich jak cyrkowcy, nie używają ani siodeł, ani strzemion, wskakują na nie jednym susem. Ich kobiety, żeby plamię mogło wędrować, uśmiercają dzieci w swoim łonie, okaleczając się w okrutny sposób, co pociąga za sobą ich bezpłodność w przyszłości. Żeby nadrobić brak dzieci, kradną je, gdzie mogą, wychowują jako własne szatańskim sposobem. U tych śmierdzieli wszystko jest tak wbrew naturze, że niektórzy mężczyźni noszą kobiece stroje i siusiają, kucając, i mają chyba miesięczne krwawienie. Ich świętokradztwa nie znają granic!

— Panie, moje dzieci... — zwróciła się Isabel do Antonia łamiącym się głosem, słowa więzły jej w gardle — ... może udałoby się wam uratować moje dzieci?

Przywódca *bandeirantes* pochylił się ku niej gestem kochającego ojca.

— Guaicuru są okrutni i jest ich bardzo wielu — powiedział ze smutkiem. — Było nas trzykrotnie więcej niż obecnie przed starciami z Guaicuru.

— Równie okrutni są Paiagua — wtrącił Jose, pocąc się z oburzenia w swoim grubym skórzanym pancerzu. — Nie mają koni, lecz czółna, ślizgają się nimi po wodzie jak ptaki! Pływają jak ryby, z nożami w zębach!

— Czy ten, którego nazywasz swoim mężem — spytał Antonio Isabel, a jego spiczasta siwa broda i bursztynowe spojrzenie wywierały taką presję, że przypomniało jej się guzowate czoło ojca — próbował bronić dzieci, które przecież były tak samo jego, jak twoje?

Nie był to właściwy moment na wyjaśnianie, że nie jest to takie niewątpliwe. Przed oczyma stanął jej jeszcze raz straszliwy obraz napaści — dzieci owinięte moskitierą niczym larwy, pomalowany na czerwono i niebiesko Guaicuru, cienkie białe kostki zwisające z jego warg.

— Owszem, próbował. Zastrzelił jednego z Indian, było ich jednak zbyt wielu, zresztą dzieci uprowadzili błyskawicznie.

— Zastrzelił, powiadasz?

— Znaleźliśmy ten mechahizm wśród ich rzeczy — wtrącił Jose. — Jest zdumiewająco wykonany i najpierw wzięliśmy go za holenderską zabawkę albo włoską tabakierkę, dopiero dokładne oględziny wykazały, że jest to rewolwer, tylko mały i kanciasty, bez skałki.

Podał rewolwer Cesara Antóniowi, który obejrzał gładką powierzchnię, po czym eleganckim gestem

staroświeckiego muszkietera wycelował ponad ich głowami, ale niezbyt daleko, i pociągnął za spust. Rozległ się ostry huk wystrzału i kula przebiła ze świstem strzechę baraku, nie pozostawiając w niej widocznej dziury; rozbawiony przywódca wypalił jeszcze raz, po czym rozległ się już tylko suchy trzask. Były to dwie kule, które Tristao zostawił dla Isabel i dla siebie. Teraz muszą żyć.

— Tak jak powiedziałeś, bracie, to dziecinna zabawka. Nie dałoby się z niej ustrzelić nawet kolibra.

Następnie Antonio zwrócił się do Isabel rozkazującym tonem:

— Ten czarny niewolnik nie jest już twoim mężem, moje drogie dziecko. Niewolnicy się nie żenią. Nie rozpaczaj. Jestem samotnym człowiekiem i przekonasz się, że wcale nie takim wiekowym, jeśli idzie o moje zdolności, jak mogłoby ci się wydawać na pierwszy rzut oka.

Uparte milczenie Tristao, stojącego u jej boku, było niczym grzmot pioruna, niczym bicie jej własnego, zdumionego, wytrwałego serca.

XXII. Obozowisko

Stary przywódca *bandeirantes* wziął Isabel za żonę — swoją trzecią żonę, ponieważ o jego potrzeby dbały już dwie tubylki, Takwame i Ianopamoko. Wydawały się nie mieć nic przeciwko jej obecności w domu; jej dłonie ulżyły im w pracy, poza tym przez pierwszy rok zastępowała je niemal całkowicie w łóżku Antonia. Zaszła w ciążę i w drugim roku urodziła syna o bursztynowych oczach, któremu dała na imię Salomao, w nadziei, że gdy dorośnie, będzie mądry i przyniesie zaszczyt jej ojcu; może to ułagodzi jego wściekłość, która kazała mu ścigać ich bezlitośnie. Kiedy przekazała Tristao wiadomość o swojej decyzji przez Ianopamoko — młodszą z indiańskich konkubin Antonia, młodszą nawet od Isabel, filigranową piękność z plemienia Tupi-Kawahib, o cylindrycznym tułowi, bez talii i o szczupłych rękach i nogach — Tristao prychnął i przeklął żonę. „Niech to dziecko pożre jej serce” — powiedział, a drobna, wykrzywiona twarzyczka Ianopamoko, gdy próbowała naśladować parsknięcie czarnoskórego mężczyzny o grubych wargach, przybrała wręcz komiczny wyraz. Jej raczej płaską twarz pokrywał delikatny, koronkowy wzór wykonany farbą w kolorze indygo, kropkowane linie i haczykowate kształty były pełne znaczenia jedynie dla pomarszczonej staruchy, która odnawiała wzory, gdy bladły, i która sama była bliska wielkiego zapomnienia lub niezmiernego pamiętania, śmierci.

Być może klątwa Tristao zadziałała, ponieważ maleństwo było dziwnie spokojne i bezwładne w ramionach Isabel, a pamiętała, jak Azor od pierwszych tygodni swego życia kopał i wiercił się, jak pracowały jego małe tłuściutki mięśnie.

Tristao, który miał nogi skute kajdanami, żeby nie mógł uciec, został najpierw zaprzęzony do pracy na polach, wypalonych polach, obsadzonych maniokiem, kukurydzą, batatami, orzeszkami ziemnymi, tytoniem, tykwami i czarną fasolą — później jednak, gdy ujawniły się jego umiejętności techniczne, nabyte w fabryce *fuscas* i w kopalni złota, przydzielono mu pracę przy drażeniu czółen, na wypadek gdyby *bandeirantes* zechcieli popłynąć w dół rzeki. Czółna musiały być solidne i szerokie, żeby zniechęcić wojowników Paiagua, którzy pływali pod wodą, do wywracania ich do góry dnem. Dlatego trzeba było ścinać najgrubsze kasztanowce, mahoniowce i araukarie, a następnie starannie je drażyć i formować za pomocą jedyne w osadzie, zardzewiałego topora ciesielskiego. Bracia Peixoto mieli nadzieję, że ta rzeka zawiedzie ich do Madeiry — nad którą, jak donosiły wcześniejsze ekspedycje, wioski indiańskie są tak gęste jak winogrona na winorośli, proszące się, by je zerwać — a następnie do Amazonki, skąd dotarliby drogą morską do rajskiego starożytności w stanie Sao Paulo, otoczeni przez oswojonych i wdzięcznych dawnych pogan.

Leżąc obok Antonia na łóżku pod fascynująco dokładnie wyrzeźbionym krucyfiksem — gdzie każdy paznokieć u rąk i nóg, każdy łepok gwoźdźca, każdy strumyczek krwi był bardziej autentyczny od prawdziwego — Isabel słuchała opowieści o długiej podróży *bandeirantes*. Jak wyruszyli, podnieceni, w świetnych nastrojach, z dużymi zapasami, a żony, dzieci i wspierający ich bankierzy machali im na pożegnanie; jak po czterdziestu dniach przybyli, znacznie przeredzeni i zaszargani, ale zahartowani, do misji znajdujących się nad rzeką Paranapanema i w Guairze, tylko po to, by odkryć, że owe misje z uległymi, nawróconymi na wiarę chrześcijańską plemionami, stłoczonymi jak owce w zagrodzie, zostały tak splądrowane przez poprzednich *bandeirantes*, że nikczemni hiszpańscy jezuici przenieśli się z tymi, którzy przeżyli, na południe i na zachód, za wodospad Iguacu, nad Parane; jak dotarli do Parany i przemierzali ją całą, a po trudach podróży musieli stoczyć kilka straszliwych walk, ponieważ władze hiszpańskie zezwoliły w końcu jezuitom dać Indianom do ręki broń palną. Łatwe zwycięstwa Antonia Raposa Tavaresa i Andre Fernandes, dostarczające tysiące jeńców, należały do bardziej

niewinnej przeszłości. *Bandeira* Peixoto wycofała się na północny zachód, do bagnistego Pantanal, gdzie dostały im się tylko nędzne resztki. Wyprzedziły ich rzezie, choroby i plagi jaguarów oraz kajmanów, które urządzały sobie uczyty z osłabionych Indian. Zagłodzone niedobitki, zaledwie kilka rodzin, raczej wymarłyby, ohydnie pierdząc i kaszląc, niż dałyby się pojmać.

— Zjawiając się w wiosce, zachęcaliśmy jej mieszkańców do zebrania plonów z ich plantacji i okazywaliśmy cierpliwość dorównującą zadaniu; gdy wreszcie plony były zebrane, pozwalałem moim ludziom na ucztowanie i rozpustę przez jedną noc, po czym ruszaliśmy w dalszą drogę, zabierając resztę żywności i nęcąc w ten sposób Indian, którzy dołączali do naszej zacnej kompanii. Jak powiedział ci Jose, najdroższa Isabel, poganie zdążają ku zgubie, jeśli nie zdzięsiatkuje ich malaria, na którą nie mają żadnej odporności, albo *pinga*, którą podstępnie podsunęli im biali, umrą z dezorientacji — czystego niezrozumienia dzikusów wobec tego, co próbujemy osiągnąć. Gdy wspominaliśmy o złocie, wyczarowywali wizje wielkich miast za następnym łańcuchem górskim pełnych tego surowca, jak gdyby chcieli, żebyśmy prędzej zniknęli im z oczu, a także miast pełnych diamentów, gdy opisywaliśmy te kamienie. Mimo to nigdy nie dotarliśmy do krańca dziczy. Pora deszczowa następowała po porze suchej, błękitna rzeka po brązowej, a my wciąż nigdzie nie docieraliśmy, wędrując pod Krzyżem Południa w kierunku Gwiazdy Polarnej.

— Jak dawno to było, mój panie? Jak długo trwa wasza wędrówka?

— Trudno powiedzieć, drogie dziecko. Mój mózg wchłonął w siebie białą mgłę odległości.

Mimo że dawno już utknęli w tym obozowisku, nadzieja wyruszenia w dalszą drogę wciąż płonęła w mózgu jej pana podniecała go, aż zaczynał ruszać wąsami, a czasami ożywiała jego chude łędwie — nadzieja dotarcia do rzeki Madeiry która przeleje w jego posiadanie zdrowych tamtejszych mieszkańców, chętnych do nawrócenia się na brazylijski styl życia, dzięki czemu jego *favenda* na *terra roxa* Sao Paulo stanie się niebem na ziemi.

Trzymając w ramionach swego apatycznego syna i znajdując w jego bladej buzi zaledwie tyle siły czy rozumu, by ssać, Isabel wybuchała płaczem i płakała ze zdwojoną rozpaczą na myśl o Tristao, swym dumnym kochanku, skutym i zaprzęgniętym do nie kończącej się pracy przy drażeniu szerokodennych czółen tępym toporem ciesielskim, ponieważ Indianie, którzy przed jego pojawieniem się wykonywali ją od przypadku do przypadku, teraz uważali, że nie będą się zniżać do takiej pracy i do ich obowiązków należy wyłącznie smaganie batem czarnego niewolnika, żeby szybciej się ruszał.

Ianopamoko współczuła Isabel; zrodziła się między nimi siostrzana miłość i wspólny język, utkany z ubożego portugalskiego Ianopamoko oraz z tych wyrażeń w jej ojczystym języku — słowa kończyły w nim się ostro akcentowanymi sylabami *zip, zep, pep, set, tap, kat* — które Isabel stopniowo przyswoiła.

— Wiesz — powiedziała jej pewnego dnia Ianopamoko, gdy bezwładne dziecko, owoc słabych łędzwi Antonia, miało już ponad rok — magia wciąż istnieje. Najeżdżcom nie udało się jeszcze zniszczyć całkowicie naszego dawnego przymierza z duchami. Są jeszcze odległe miejsca — tu użyła słowa kończącego się na *zep*, które w uwłaczający sposób nazywało Portugalczyków „zjadaczami wnętrza pancerników”

— gdzie nie powstała dotąd ich plugawa noga. Jest pewien szaman, o siedemnaście dni drogi stąd na zachód, który mógłby...

— Uwolnić Tristao? — spytała skwapliwie Isabel. Ianopamoko zawahała się. Zmarszczyła lekko brwi, jej buzia skrzywiła się pod błękitną koronką ozdobnego ornamentu.

— Zamierzałam powiedzieć, że mógłby dać twojemu dziecku mózg taki, jak mają inne dzieci.

— Och, tak? — Isabel starała się sprawiać wrażenie zainteresowanej, jak przystało matce. Jednakże jako była studentka uniwersytetu w Brasili, gdzie miała wykłady z psychologii, wiedziała, że z mózgiem, który składa się z bilionów połączonych wzajemnie neutronów, to nie taka łatwa sprawa. A niedorozwój umysłowy Salomao, fakt, że nie potrafił nawet raczkować ani nie zaczynał mówić, z powrotem zwróciły jej miłość ku mężowi; klątwa Tristao okazała się silniejsza od imienia jej ojca i nasienia zdobywcy, tak więc ułomność dziecka połączyła ją tajemnym ogniwem z afrykańskim niewolnikiem, którego topór od świtu do zmierzchu napełniał cały obóz gniewnym łomotem.

— Magia — wyjaśniła Ianopamoko, jak gdyby chciała zmniejszyć widoczną przepaść między ich priorytetami — ma swoje reguły i granice, podobnie jak natura, z której się wywodzi. Żeby brać, trzeba dawać. Być może,

żeby twoje dziecko stało się inteligentne, musiałabyś oddać mu część własnej inteligencji, tak jak jego ciało w twoim łonie żywiło się tym, co ty uprzednio zjadłaś.

— Jestem gotowa poświęcić częściowo siebie — powiedziała Isabel ze szczerością równą szczeroci drugiej kobiety. — Nie mogę jednak wyobrazić sobie, że stanę się mniej inteligentna, nie przestając być sobą.

— Droga do szamana będzie długa i niebezpieczna. A nie jest on też nieśmiertelny. Jest bardzo stary i bardzo smutny ponieważ widzi i przewiduje los ludzi.

— Jeśli ma prawdziwą moc, to czemu — spytała Isabel — nie powstrzymał fali śmierci i klęski, która przyszła z Europejczykami?

— Magia nie może być ogólna — wyjaśniła Ianopamoko, nie tracąc ani na chwilę cierpliwości. — Nie może być — to długie słowo kończyło się na *tap* — polityczna. Polem jej działania jest ludzka dusza, a nie kraj czy ludzie. Trzeba złożyć osobistą prośbę, istnieją pewne procedury i konsekwencje, czasami nie całkiem jasne. Podobnie jak w naturze, nie dostajesz czegoś za nic. Dla wielu Indian — tu padło słowo kończące się na *kat* i oznaczające dosłownie „ludzi przyzwoitych, takich, którzy nie są nieobyczajni lub nieczyści” — magia stała się zbyt wyczerpująca. Szaman stroni od ludzi i przyjmuje niewiele osób. Ale myślę, że w twoim przypadku, ponieważ przybyłaś do nas jak zjawa i ponieważ twój smutek ma spokojną czarodziejską głębię, magiczne rozwiązanie może być na miejscu.

— Pójdiesz ze mną, Ianopamoko?

— Tak. Będę musiała. Sama nigdy byś tam nie trafiła.

— Ależ, kochanie, czemu?

Smukła młoda kobieta odwróciła twarz, jak gdyby w obawie przed ostrym spojrzeniem, potępiającym ją za nieprzyzwoitość. Jej krótkie włosy, sztywne od żywicy zmieszanej z popiołem, miały kształt odwróconej misy.

— Kocham cię — powiedziała w swoim zawilim, wartkim języku.

Przypadkowe dotknięcia — delikatne jak te, którymi kwiatowe pylniki muskają aksamitnym pyłkiem w kolorze kakao pokryte złocistym puszkim nóżki pszczoł — jakimi wcześniejsza żona przywódcy *bandeirantes* powitała Isabel, podczas wielu nocy przerodziły się w znacznie dłuższe i rozmyślnie pieszczoty, kontynuowane w obecności innych, w niewinnym stylu rasy, dla której nagość stanowi pełne ubranie. Jeśli czasami figlarne przytulenia wywoływały sekretny dreszcz, rosę szczęścia na płatkach kobiecości i drżące pragnienie, żeby dać sobie tyle, na ile pozwalają tajemnice ciała, czy Isabel, zawieszona niefortunnie między starym kochankiem a tym dawnym, młodym, lecz teraz zakutym w kajdany, miała się czegokolwiek wstydzić? Tak, obie żony kochały się nawzajem, duszą i ciałem.

— A Salomao? — spytała. — Czy musimy go ze sobą zabrać? Taka podróż mogłaby zabić biedne chucherko.

— To prawda — odrzekła poważnie Ianopamoko. — Dziecko musi zostać. Pójdziemy tylko ty i ja. Takwame oraz jej córki zajmą się Salomao, będą go karmić pożywną papką z tapioki i banana. Zauważyłam, że masz coraz mniej mleka i w żadnym wypadku nie wystarczy ono jako pokarm dla twojego synka.

Czy Isabel dosłyszała nutkę wyrzutu w głosie Ianopamoko? Co ta drobna kobietka koloru sepii, niewiele większa od dziecka, wiedziała o macierzyństwie, jego ślepych uliczkach i naturalnym braku litości? Mimo że przez pewien czas była faworytą Antonia, pozostała jałowa, w najgłębszych zakamarkach swojej duszy nieczuła na męski wdzięk.

XXIII. Płaskowyż

Las na zachodzie, za rzeką (przepłynęły ją o świcie w dniu swej ucieczki jednym z małych, wydrążonych w drzewie czółen, które obozowi rybacy trzymali przycumowane do brzegu), można było właściwie nazwać dżunglą — *sefoa* lub *mata*. Z wypalonego słońcem terenu, po męsku surowego porośniętego karłowatą roślinnością, przeszły do bujniejszego ciemniejszego, kobiecego świata. Wąskie ścieżki, których Isabel nigdy by sama nie wypatrzyła, wiły się w świecie zielonego cienia, pełnego kwiatów i owoców. Przypominający dźwięk

trąbki głoś *jacu* oraz piski szerokonosych małp prześlizgujących się niewidocznie wśród roślinności, towarzyszyły im w wędrówce przez gąszcz, gdzie baldachim gałęzi przepuszczał jedynie nikłe smugi promieni słonecznych, w których unosiły się chmury owadów. Monotonii szarych, gładkich pni drzew, wyciągających gałęzie ku niebu, przystrojonych girlandami pnączy i podpierających się grubymi węzłami sterczących nad ziemią korzeni, nie urozmaicało runo leśne. Przez wiele kilometrów kobiety szły po brązowym dywanie suchych liści palmowych i łusek nasion jak po nierównych płytach nagrobkowych jakiejś ponurej, opuszczonej katedry, rozsiewającej słodkawą, kadzidlaną woń rozkładu. Kasztany i orzesznice obsypywały je gradem owoców, gdy lanopamoko zręcznie wspinała się po pniu i potrzasała gałęziami. Idąc boso od świtu do zmierzchu, podróżniczki zjadały się sinawymi owocami *araca*, które pachną terpentyną i powodują, że ślina pieni się w ustach, strączkami *inga*, wypełnionymi słodkim puchem, dzikimi ananasami, których miąższ obfituje w duże czarne pestki i smakuje malinami, oraz gruszkami zwanymi *bacuri* i jeszcze delikatniejszymi w smaku *acai*, które przez noc ścinają się w owocowy ser. Wszystkie te słodkości zdawały się tylko czekać na obie kobiety w tym nie zamieszkanym raj. Dzieło stworzenia było świeże, pełne ulotnych, ozdobnych form; jak wielu innych artystów, Bóg wcześniej osiągnął najbardziej wypracowane i fantastyczne efekty.

Nocą obie kobiety kładły się razem spać we wspólnym kokonie moskitiery, a raniem wyplątywały się z niego jak wilgotne motyle. Przywierały do siebie mocniej, gdy nocny chłód kąsał je coraz dotkliwiej; wspinały się wyżej i wyżej, wędrując przez ten klasztorny zielony świat, aż wreszcie szesnastego dnia dotarły do pól na stoku porośniętych wysoką trawą, nieregularnych tarasów falujących srebrzyście w podmuchach wiatru i prowadzących w górę skalistego płaskowyzu. Ściany płaskowyzu znaczyły lśniące nitki wodospadów. Te strugi leż na twarzy natury, miejscami niczym nie różniące się od zastygłych żył kwarcu, przebiegały wśród szerokich wstęg glonów i mchów. Kilku Indian mówiących w języku Ianopamoko, których Isabel z trudem rozumiała, przyglądało im się czujnie spośród wysokiej trawy. Patrzyli na nią, jak gdyby nie była istotą ludzką. Głos Ianopamoko łagodnie postukiwał i świstał, gdy tłumaczyła, prosiła, żądała. W pewnej chwili uniosła długie lśniące włosy Isabel w obu dłoniach, jakby je ważyła, a następnie potarła poślinionym palcem jej skórę, udowadniając, że bladeść młodej kobiety nie jest skutkiem malowania.

— Wydaje im się, że podejmują wielkie ryzyko — wyjaśniła w końcu Ianopamoko — i chcą czegoś w zamian.

— Mamy ze sobą krzyż i papierośnicę — powiedziała Isabel. — Zatrzymaj krzyż. Daj im papierośnicę.

Wygrawerowany, zdobny monogram stryja Donaciana zniknął pod pomarszczonym, zabarwionym umbrą, szerszym wskutek cierpliwej wykonywanej ręcznie pracy w lesie kciukiem przybyłego na powitanie Indianina. Mężczyzna pstrykał zamkiem, otwierając i zamykając papierośnicę. Za każdym razem śledził, szczerząc zaślinione zepsute zęby i wybuchając pełnym zdumienia śmiechem, zygzakowatą ucieczką czegoś niewidzialnego, co — jak sobie wyobrażał — musiało być uwięzione w środku. Podarunek został przyjęty. Po tych długich pertraktacjach Isabel oraz Ianopamoko zostały poprowadzone stromym zboczem w górę po śliskiej, krętej ścieżce, która kilkakrotnie przebiegała za welonem wodospadu. Czuly na twarzach ukłucia kapryśnego pyłu wodnego tęczowych okruchów wielkości ważki.

Na szczycie stało kilka niskich (ze względu na wiejące wiatry) chat z plecionki narzuconej glinką, wśród roślinności, jakiej Isabel nigdy nie widziała — karłowate, powykręcane, cierniste, ozdobne odmiany, jak gdyby przeniesione z koralowych ogrodów na dnie płytkiego morza. Zapaściły korzenie w szczelinach spękanej lawy. Isabel kroczyła po tej powierzchni jak po nierównych kamieniach, ułożonych jako przejście przez rzekę, albo jak po bochenkach chleba. Skała była szara niczym popiół, szczątki prastarego ognia, starszego od oceanu. Gdy Isabel podniosła oczy, zobaczyła w oddali coś całkiem dla niej nowego, co oglądała tylko w książkach i czasopiśmie podróżniczych — śnieg, czystą biel na szczytach gór, która z tej odległości wydawała się tak niebieska jak chmury. Zgłębiła u zakonnic geografii na tyle, żeby wiedzieć, iż muszą to być Andy i że gdzieś między nimi a nią kończy się Brazylia.

Chociaż mieszkała trzy lata wśród Indian i poznała trochę ich język oraz tradycje, wciąż byli dla niej nieprzejrzysti jak kapryśne dzieci, ich nieprzewidywalność stanowiła mieszaną upartej nieśmiałości i maskowanego pożądania. Ci, którzy znajdowali się na ich łasce, byli narażeni na niebezpieczeństwo — mała iskierka mogła spowodować wybuch, przeskok od opieki do morderstwa; cały tamten świat, pełen psychicznej energii, krył się za ich migdałowymi oczami i okaleczonymi ustami. Ta osada na szczycie płaskowyzu stanowiła rodzaj terenu katedry, enklawy, której żywności dostarczały pobliskie łąki i lasy, i która była skupiona wokół szamana w jego niskiej, owalnej chacie. Z miejscami kultu religijnego Isabel kojarzyło się poczucie bezpieczeństwa; mimo to właśnie tutaj, gdzie niewidzialny system miał swoją oś, mogła kogoś straszliwie obrazić. Ruszyła z obawą na swoje pierwsze spotkanie z szamanem.

Jego chata przypominała kształtem i strukturą gniazdo garncarza rdzawego i była tak niska, że Isabel musiała się schylić, wchodząc do środka. Dym szczypał ją w oczy, prawie nic nie widziała. W świetle sennego ogniska, ułożonego z zebranych na szczycie płaskowyżu gałązek i kępek mchu, palącego się błękitnym płomieniem, dojrzała wreszcie niedużego nagiego mężczyznę, leżącego w hamaku rozpiętym tuż za ogniskiem. Ciało miał gładkie, wystający brzuch, ale jego głowa była zdumiewająco wysuszona albo też pozornie zmniejszała ją wysokie, pionowe przybranie z papuzich piór. Włosy na skroniach, brwi, rzęsy miał całkowicie wyskubane, ale nad odstającymi uszami rosły mu długie białe kosmyki niczym delikatne, proste dodatkowe pióra. Na kostkach nóg miał bransolety z dużych trójkątnych suszonych orzechów, w jednej ręce trzymał pustą tykwę wielkości strusiego jaja, którą potrząsał dla podkreślenia wagi swoich wypowiedzi.

Gdy tylko szaman ją zobaczył, zamknął oczy i potrząsnął swoim marakasem, jak gdyby chciał obronić się przed jej widokiem. Mimo że Isabel przyzwyczała się chodzić nago, jak Indianka, na tę okazję owiązała się w talii czymś w rodzaju sarongu, który wcześniej upinała — żeby zabezpieczyć nogi przed kolcami i ukąszeniami owadów, gdy zbierała w lesie pożywienie dla gospodarstwa domowego Antonia — zrobionego z granatowej jedwabnej sukni w małe czerwone kwiatki. Włożyła ją kiedyś, niczego nie podejrzewając, na wizytę w domu Chiquinha, przy innej okazji, gdy chciała się korzystnie prezentować.

— Maira — powitał ją szaman. — Kim jesteś? Czemu zakłócasz mój spokój?

Ianopamoko, tłumacząca jego słowa na stworzony przez nią i Isabel ich własny język, często musiała prosić szamana, by powtarzał słowa, albowiem oprócz tego, że posługiwał się jakimś dziwnym dialektem, był bezzębny i miał dolną wargę przekłutą kilkoma kołeczkami z jadeitu, co czyniło jego wymowę niewyraźną.

— Maira — wyjaśniła Ianopamoko — to imię, jakim nazywają proroka, kogoś w rodzaju Jezusa u Portugalczyków. Nigdy nie widział nikogo o twoim kolorze skóry i włosach jak promienie słońca. Biali ludzie nie zawędrowali jeszcze do tej części świata.

Isabel przypomniała sobie pogardliwe słowa Tristao: „ludzie twojej rasy”, które mogły wytyczać początek jej próby poszukiwania cudu.

— Nie jestem prorokinią — powiedziała. — Jestem tylko straszliwie zrozpaczoną kobietą, która przyszła do ciebie błagać, byś pomógł jej swą magią.

Ianopamoko przetłumaczyła. Szaman skrzywił się i wymamrotał coś, przerywając sobie gniewnym grzechotem marakasa.

— Mówi — szepnęła Ianopamoko — że magia to męska sprawa. Kobiety są ziemią i wodą, mężczyźni powietrzem i ogniem. Kobiety są — nie jestem pewna znaczenia tego słowa, myślę, że oznacza ono „nieczyste”, ale ma również sens: „coś skomplikowanego”.

Następnie dość długo mówiła coś szamanowi, po czym wyjaśniła Isabel:

— Powiedziałam mu, że przyszedł tutaj w sprawie swojego małego synka, którego ojciec jest tak stary, że dziecko urodziło się bez energii normalnego człowieka.

— Nie — zaprotestowała Isabel — nie przyszedł tutaj przez wzgląd na Salomao, lecz z powodu Tristao, mojego męża!

Szaman wodził wzrokiem od jednej kobiety do drugiej, wyczuwając ich sprzeczne intencje i wymachując z oburzeniem marakasem. Ślina spływała mu przez jeden otwór w wardze, z której wypadł kołeczek z jadeitu. Przemówił, nie podnosząc głosu, zmuszając obie kobiety, żeby pochyliły się ku jego kołyszącemu się hamakowi. Ianopamoko, wzburzona, powiedziała do Isabel:

— Nie lubi mnie, ponieważ jestem kobietą tej samej rasy co on. Nie mówi tego, ale ja to czuję. Wydaje mi się, że powiedział, iż jesteś w duchu mężczyzną i dlatego zgadza się rozmawiać z tobą, ale tylko z tobą.

— Och nie, nie mogę! Nie zostawiaj mnie z nim!

— Muszę, pani. Irytuje go. Magia nie zadziała, jeśli będę przy tobie. — Ianopamoko stała już na swych zgrabnych, gładkich nogach, gdy szaman uczynił jakiś gest dłonią i powiedział coś, pryskając śliną i potrząsając

swoim wspaniałym przybraniem głowy z papuzich piór. — Kaze przynieść — wyjaśniła Ianopamoko — *cauim*, *petum* i *jage*.

Jak się Isabel później dowiedziała, *petum* był to tytoń o osobliwym aromacie, a *cauim* — rodzaj piwa o smaku orzeszków nerkowca. Wyraźnie zaimponowała szamanowi, gdy po męsku — jak gdyby wracając do swoich studenckich czasów w Brasili — popijała piwo i zaciągała się dymem z fajki napełnionej tytoniem, którą jej wciąż podawał. Miała wrażenie, że specjalnie wydmuchuje dym prosto na nią, i gdy przyszło jej do głowy, że robi to, chcąc okazać jej uprzejmość, również dmuchnęła mu w twarz. Wzrok jej się zmącił, złociste smugi w glinianym łonie chaty zaczęły jej tańczyć przed oczyma, pomyślała, że w fajce musiał znaleźć się nie tylko tytoń. Może tym składnikiem było *jage*. Stary szaman o chłopcym ciele, z penisek przyzwoicie zakrytym pleciana słomkową osłoną, z której wystawał napletek niczym mały pomarszczony kwiat kaktusa koloru ochry, nic nie mówił, tylko przyglądał jej się coraz baczniej. Przez cały ten czas Isabel siedziała w kucki naprzeciwko niego, dzieliło ich ognisko; nie odczuwała niewygod, ponieważ więzadła rozciągnęły jej się przez wszystkie te lata spędzone wśród dzikusów i *bandeirantes*. Wprawdzie w tej pozycji sarong nie zasłaniał dolnych części jej ciała, ale czemu właściwie miałyby je ukrywać? Czy nie dają nam one najwspanialszych chwil i nie prowadzą nas przez życie ku naszemu przeznaczeniu? Może otumanienie było przyczyną tej refleksji.

Gdy szaman w końcu przemówił, jakimś cudem go rozumiała; niektóre słowa były niczym pełne znaczenia znaki świetlne migocące w ciemności, sens zdania powoli prześlizgiwał się przez czarne dziury. Jakiś składnik dymu pozarł barierę między ich umysłami.

Powiedział jej, że ma duszę mężczyzny.

— Och, nie! — zaprotestowała i z braku słów ujęła w dłonie nagie piersi i uniosła je lekko.

Zatrzepotał jedną dłonią, rozganiając dym, drugą wykonał lekceważący gest swoim marakasem. Dał jej do zrozumienia, że wie, iż ona wcale nie chce uzdrowić swojego dziecka. Jak to możliwe?

Nie знаła słów, którymi mogłaby mu wyjaśnić, że dziecko budzi w niej odrazę, wstydzi się go. Zamiast tego zaczęła naśladować apatyczny wyraz twarzy Salomao, oczy, w których nie ma iskierek życia. Wymówiła słowo oznaczające mężczyznę — pełne ostre dźwięków, kończące się na *zep* — i poklepując się rozwartą dłonią po piersi, powiedziała:

— Tristao.

— Tristao cię pieprzy — rzekł w końcu szaman.

— Tak — potwierdziła — ale nie przez ostatnie trzy lata. — I zręcznie nakreśliła ruchem palców kajdany wokół swej nagiej kostki. — Został wzięty do niewoli przez złych ludzi — powiedziała, nieprawdopodobnie dumna z długości swej wypowiedzi. — On jest czarny. — W obawie, że nie wyraziła się jasno, wyciągnęła rękę i podniosła kawałek węgla z brzegu ogniska. Żeby lepiej ją zrozumiał, wskazała gestem dłoni niewielki otwór w dachu, przez który wydostawał się dym. W czarnym kółku mrugało parę gwiazd. Zapadła już noc. — Jego pobratymcy przybyli zza wielkiego oceanu, z innej wielkiej wyspy, większej nawet niż Brazylia, gdzie słońce czyni ludzi czarnymi.

— Maira, czego oczekujesz od mojej magii?

Gdy wyjaśniała, o co jej chodzi, szaman otwierał coraz szerzej bezzębne usta, najpierw nic nie rozumiejąc, a potem, gdy zrozumiał, odezwał się:

— Magia jest sposobem przekształcania natury. — To chyba właśnie znaczyły jego słowa. — Niczego nie da się stworzyć, tylko Monan to potrafi, a on już dawno temu zmęczył się tworzeniem, albowiem zobaczył, jaki chaos ludzie uczynili z jego świata. Magia może jedynie coś przestawić i zamienić, tak jak pionki w grze. Gdy coś stąd przenosimy tam, coś stamtąd musimy przenieść tutaj. Każda korzyść wymaga ofiary, gdzie indziej. Czy mnie rozumiesz?

— Rozumiem.

— Czy jesteś skłonna poświęcić się dla tego Tristao?

— Już to zrobiłam.

— Czy jesteś gotowa zmienić siebie?

— Tak, jeśli wciąż będzie mnie kochał.

— Będzie wciąż cię pieprzył, ale nie w taki sam sposób. Gdy ingerujemy za pomocą magii w naturę, nic nie pozostaje takie samo. Wszystko się zmienia. — Zmrużył oczy, straszliwie zaczerwienione od dymu i *cauim*.

— Tak, jestem gotowa — powtórzyła Isabel. — Bardzo tego chcę.

— Zatem zaczniemy jutro, Maira. Musimy robić to w świetle dziennym, przez sześć dni. — Miała wrażenie, że wargi szamana poruszają się niezależnie od znaczenia wypowiedzianych słów, że dociera ono do jej mózgu, gdy jego usta są jeszcze zamknięte. — Czym mi zapłacisz? — spytał.

— Wszystkie cenne rzeczy, które miałam, zostawiłam w domu, wyjeżdżając. Pozostał mi tylko nieduży krzyż wysadzany drogimi kamieniami. Krzyż jest symbolem naszego Boga. Oznacza zarówno śmierć w mękach, jak i życie wieczne. Pod tym znakiem ludzie mojej rasy podbijają świat. — Narysowała węglem znak krzyża na swej białej dłoni i pokazała mu. Szaman zamknął podrażnione, zmęczone oczy, jak gdyby nie chciał dopuścić do siebie pecha. — Jest wart mnóstwo cruzeiros — powiedziała.

— Co to jest cruzeiro?

Nie potrafiła mu wyjaśnić.

— Papier, którego używamy jako środka wymiennego, tak jak wy używacie muszelek czy żywicy.

— Wezmę to. — Wskazał na pierścionek z napisem DAR.

— Nie, proszę... dostałam go od Tristao, to coś w rodzaju ślubowania.

— W takim razie jest dobry. Więzi w sobie dusze was obojga. — Wyciągnął rękę, rozkołysany hamak podkreślał ruch jego rozwierających się i zwierających palców. Nie wymagało pomocy narkotyku, żeby zrozumiała wymowę tego gestu: „daj mi”.

Z rozpaczą w sercu Isabel zsunęła z palca pierścionek z wygrawerowanym napisem i włożyła go do nadstawionej dłoni szamana. Rękę miał rozpaloną jak dziecko, gdy zaatakują je zarazki przeziębienia, odry lub koklusz, i komórki jego ciała toczą z nimi walkę. Czuła się, jak gdyby wybito jej ząb, wiedziała, że nigdy już nie odzyska tego, co właśnie oddała. Życie nas ograbia, kradnie nam nas samych, kawałek po kawałku. To, co w końcu z nas zostaje, jest już kimś innym.

— Żeby ten zabieg odniósł skutek, musisz znać moje imię. Brzmi ono Tejucupapo.

— Tejucupapo.

— To cię zmieni.

— Oddaję się w twoje ręce, Tejucupapo.

— Masz wielką odwagę mężczyzny. Energię życiową wojownika. Nie tak jak ta szmata, która jest z tobą. Ona wkrótce umrze.

— Och, nie... tylko nie kochana Ianopamoko! Była dla mnie taka dobra i miła!

Kołeczki z jadeitu trącały jego dolne dziąsła, gdy rzekł szorstko:

— To, że jest dla ciebie miła, ulega ci, daje jej zmysłową rozkosz. Delektuje się tym. Wyczuwa w tobie mężczyznę i... — W końcu powiedział: — Pieprzysz ją. — I splunął obficie w ognisko, aż niemrawy ogień zasyczał głośno, zaśpiewał na wysokiej nucie.

Mimo to Ianopamoko została włączona do magicznego zabiegu, który polegał między innymi na pomalowaniu całego ciała Isabel czarnym barwnikiem, zwanym *genipapo*. Nie wolno było nakładać go obficie, lecz powoli, starannie tworzyć koronkowy wzór z kropkowanych linii i esów-floresów, który potrafią namalować tylko indiańskie kobiety, zachowując odpowiednią tajemną symetrię i odpowiednią kolejność. Gdy Ianopamoko pracowała, pokrywając wzorami białą, fosforyzującą skórę Isabel, pomagały jej młode dziewczyny ze społeczności plateau, używając do tego celu małych pędzelków z włosia kapibary, osadzonych na patyczkach z rozszczepionego bambusa. Tejucupapo dmuchał ciepłym dymem *petum* na świeże wzory, dzięki czemu wsiąkały głębiej w skórę, i nadawał im nieusuwalne piętno tworzenia Monana. Isabel z trudem powstrzymywała śmiech, czując skrupulatne muśnięcia pędzelków i ciepłe obłoczki dymnego oddechu Tejucupapy, które docierały do najbardziej intymnych zakątków jej ciała.

Rozbawiona z powodu łaskotek, zdumiała się, widząc na twarzy Ianopamoko lśniąca strumyczki łez, przypominające strugi łez-wodospadów na urwistych ścianach płaskowyżu. Ianopamoko kochała ją taką, jaka była przedtem. Nocami Isabel starała się przekonać swoją towarzyszkę, że w środku ani trochę się nie zmieniła, i kochała się z nią bardziej natarczywie, z męską szorstkością, ponieważ filigranowa Indianka teraz nie tak łatwo dawała się porwać fali uniesienia. Isabel zdała sobie sprawę, że tajemnicza bladeść stanowiła dla Ianopamoko część jej powabu, i poczuła się urażona. Jedynie Tristao kochał jej wnętrze.

Oszołomiona samym procesem malowania, pałac mieszanek *petum* i *jage*, rozumiała słowa szamana, który opowiadał jej o legendarnych czasach, kiedy ziemia, świeżo stworzona przez Monana, była niemal pusta. Ludzie toczyli się po niej niczym małe kupki gnoju po klepisku baraku pokrytego dachem z gwiazd, które świeciły wtedy znacznie jaśniej. Po jednym pokoleniu następowało kolejne, zawsze goniąc za nową zwierzyną w stronę obszarów, gdzie ziemia nie była jeszcze utrudzona. A zwierzyna była wspaniała — stada koni o długich brodach i rozgałęzionych porożach oraz długowłose stworzenia, które wygrzebywały zdobycz nosem i których krzywe zęby krzyżowały się na przodzie pyska. Uciekając zawsze w stronę horyzontu, zwierzyna prowadziła ludzi przez wąski pas ziemi między dwoma oceanami — oceanami, których nie stworzył Monan, ale które pozostały po deszczu, jaki zesłał, żeby ugasić wielki ogień swego wściekłego gniewu, skierowanego przeciwko ludziom przed Irin-Mage, ojcem pierwszej Mairy. Ci ludzie nie byli właściwie ludźmi, ale tak ich nazywamy. Ogień nazywał się Tata. Wody — Aman Atoupave. Monan stworzył ludzi, by go sławili i byli mu wdzięczni za to, że istnieją, oni jednak woleli pić *cauim* i pieprzyć się. Nowa kraina była ogromna, ale ludzie wyeksploatowali ją, zabijając zwierzęta i siebie nawzajem, zapominając o Monanie. Przybyli do innego wąskiego pasa ziemi między bezkresnymi błękitnymi przestrzeniami Aman Atoupave. W tym nowym miejscu rosło wiele wysokich drzew. Były tam leniwe wielkie pancerniki z kamieniami w ogonach, które przesypany, zwisając głową w dół, niemal całe życie, a w rzekach małe rybki, które potrafiły zjeść krowę, zanim zdążyła zaryczeć z bólu. Ludzie przemykali się między drzewami, polowali i łowili ryby. Uprawiali maniok, pozyskiwali leki z roślin i wyplatali odzież z piór. Tutaj panował spokój. Tutaj ludzie byli szczęśliwi. Monan stworzył kobietę we wcześniejszym miejscu. Teraz, w obecnym miejscu, obdarzył ludzi swoim końcowym dobrodziejstwem — wynalazł hamak. Jedynie niewidzialny Tupan, grzmiący z nieba, i niewidzialny Jurupari, przemykający się po lesie i rozsiewający swój diabelski smród, przypominali ludziom o tym, że czas płynie i wszystko się zmienia.

Codziennie przed południem cały proces zaczynał się od nowa. Co dzień nakładano na skórę Isabel nowe wzory, aby zasłonić nie pomalowane jeszcze miejsca. Po każdym wyczerpującym etapie barwnik *genipapo* coraz dokładniej pokrywał jej skórę; siódmego dnia była czarnobrazowa, ciemniejsza od ziarenek kawy, ale jaśniejsza od mocnego naparu kawy, wszędzie z wyjątkiem wnętrza dłoni, spodniej części stóp, ciała pod paznokciami i wewnętrznej strony powiek. Odkryła ze zdumieniem, że nawet jej wargi sromowe nabrały fioletowego odcienia *genipapo*. Małpia twarz Isabel o pełnych wargach i siodełkowatym nosie nabrała jeszcze bardziej radosnego, szelmowskiego wyrazu. Jej platynowe włosy pocierano tak długo, pasemko po pasemku, czarną żywicą, aż zeszywniały i skręciły się w pierścionki. Jej nowa hebanowa skóra uwydatniła muskularność ciała, będącą skutkiem jej ciężkiej pracy jako trzeciej żony Antonia — kształtne łydki, krągłe, jędrne pośladki i piersi, napięte, atakujące przestrzeń silny kręgosłup; chciała iść, ruszać się, kręcić. Naga, wydawała się teraz mniej naga niż przedtem. Miała na sobie lśniąca, cienką, elastyczną powłokę przypominającą metal pociemniały w procesie galwanizacji. Włosy, które przedtem opadały miękką falą na ramiona, zostały obcięte, tak że tworzyły wokół głowy sprężystą poduszeczkę, podobną do ozdoby z piór *papagaio*, jaką miał Tejucupapo. Wyglądała teraz na wojownika, którego dojrzał w niej Tejucupapo. Tylko jej oczy pozostały szaroniebieskie.

— Oczy są zwierciadłem duszy — powiedział szaman. — Gdy twoja dusza stanie się czarna, wówczas ściemnieją również oczy.

Gdy się rozstawali, ostrzegł ją:

— Teraz musisz szukać opiekuna. Nie jesteś już Mairą. Twoja skóra straciła swoją magię.

— A twoja magia, Tejucupapo — czy jesteś pewien, że zadziałała... wszędzie?

Niechętnie mówiła w obecności Ianopamoko o cudzie, o który prosiła. Wiedziała, że ta kobieta nie akceptowała jej wyboru.

Tejucupapo czytał w jej myślach. Kołysząc się ze znużeniem w hamaku, potrząsnął swoim marakasem. Oddech miał przesycony przykrym odorem *caium* i tytoniu.

— Mówiłem ci — gdy coś stamtąd umieszczamy tutaj, coś stąd musimy umieścić tam. — Sprawiał wrażenie smutnego starego dzikusa, apatycznego i pokonanego.

— Zanim odejdę stąd na zawsze, Tejucupapo, pozwól, że zadam ci ostatnie pytanie. Twoi ludzie cierpią. Są ograbiani i gwałceni; wymierają całe plemiona. W końcu choroby i biali ludzie ze strzelbami dotrą nawet na ten płaskowyż, wprowadzając chrześcijaństwo i niewolnictwo. Czemu magia twoja oraz innych szamanów nie zwróci się przeciwko nim?

Szaman mówił do Ianopamoko tak szybko, że Isabel nie mogła nadażyć, oboje wybuchnęli dziecinnym śmiechem, odwracając twarze i zasłaniając usta.

— On mówi — przetłumaczyła swoim cichym głosem Ianopamoko — że przeszłości nie można zmienić, a przeszłość i przyszłość są niczym korzenie i gałęzie jednego potężnego drzewa. Mówi, że magia jest dobra dla owocu tylko w chwili, gdy spada.

Utkwiwszy spojrzenie zaczerwienionych oczu w twarzach obu kobiet, Tejucupapo uniósł wysoko do góry marakas, który trzymał w lewej ręce, i pozwolił mu opaść — z ostrym grzechotem wypełniających go suchych nasion — do prawej ręki. Tak szybko mija życie, mówił jego gest, gdy na jedną chwilę zyskuje się możliwość, by magia zmieniła jego bieg.

XXIV. Ponownie obozowisko

Podczas następnych siedemnastu dni w drodze powrotnej przez dżunglę kobiety żywiły się owocami i orzechami, których im nie szczędziła natura. Wędrowały ledwie widocznymi ścieżkami wśród bujnej zieleni, zewsząd dobiegało skrzeczenie małych papug, nosowe dźwięki, wydawane przez tukany o absurdalnie wielkich dziobach, głośny syk hoacynów z dziwnymi pazurami na skrzydłach. Mała Indianka przez cały czas była czuła, drżąca, tuliła czarną, gibką Isabel z nową namiętnością, zrodzoną z przecucia nieszczęścia.

Ianopamoko wydawała się teraz jeszcze drobniejsza, bardziej krucha, bardziej kobieca ze swoimi szczupłymi, zgrabnymi nogami i pozbawionym talii tułowiem. Isabel miała czasami dosyć odgrywania roli mężczyzny, chociaż czerpała radość z tego, że jest wyraźnie silniejsza, że kroczy bez wysiłku naprzód, nieustrudzona w swojej nowej skórze, wymachując długą lekką dzidą, którą dostała na pożegnanie od członków szczepu, gdy tymczasem Ianopamoko idzie za nią z tyłu niosąc na plecach koszyk z ich niewielkim dobytkiem i żywnością.

Gdy po szesnastu dniach dotarły nad rzekę, obozowisko *bandeirantes* na drugim brzegu wydało im się złowieszczo spokojne. W miejscu zabudowań widać było przez gęste listowie tylko ruiny i zwęglone pionowe słupy. Było późne popołudnie, wkrótce miała zapaść ciemność. W półmroku dostrzegły chwiejne światło jednej pochodni, rozległ się czyjś krzyk. Małe czółno, które ukradły, uciekając, wciąż znajdowało się tam, gdzie je ukryły w gąszczu nisko rosnących palm. Ianopamoko, przejmując przywództwo, nalegała, żeby popłynęły w dół rzeki, gdzie kończyły się już pola uprawne, i dopiero tam przepawiły się na drugi brzeg. Nazajutrz rano zamierzała zakraść się przez pola do obozowiska na rekonesans. Isabel miała czekać na jej powrót.

— Moi pobratymcy będą mnie ochraniać. Znają mnie — powiedziała — ale już nie znajają ciebie.

— Antonio natomiast będzie na ciebie wściekły za to, że uciekłaś. Postanowiłam zaopiekować się tobą, obronić cię przed nim. — Zamierzała wyjaśnić wycieczkę do szamana jako próbę uleczenia ich synka z niedorozwoju umysłowego i przez następne dni udawać, że dostrzeżę w dziecku oznaki inteligencji i energii.

Ianopamoko dotknęła ramienia Isabel i przesunęła po nim palcami, jak gdyby przypominając jej o kolorze skóry.

— Najdroższa, czuję, że teraz twoja obrona nie na wiele by się zdała. Zapominasz, jak bardzo zmienił się twój wygląd. Pierwsza myśl, jaka im przyjdzie do głowy na twój widok, to żeby uczynić cię niewolnicą, jeśli nie zabić ciebie jako demona. Zjadacze wnętrzości pancerników odczuwają potrzebę zabijania wszystkiego, czego nie rozumieją. To ciasnota ich chrześcijańskiego świata jest przyczyną tej ich okropnej pasji i władzy. Dzisiaj będziemy spały razem, a jutro, wczesnym rankiem, sprawdzę, co zaszło w obozowisku. — Czulość złocistobrunatnej dziewczyny — jej własny koronkowy ornament zbladł w czasie długiej podróży — spływała na ciało Isabel przez całą noc niczym delikatny deszcz szumiący w liściach drzew.

Gdy świt zbudził Isabel, całą pokrytą kroplami rosy, Ianopamoko nie było przy niej. Nie wróciła nawet, gdy słońce weszło już wysoko. Trzymając w dłoni dzię, Isabel zaczęła skradać się ostrożnie obrzeżem pół manioku i czarnej fasoli. Zbliżyła się do miejsca, gdzie niegdyś stał długi barak, a teraz były tu tylko popioły i zwęglone drewno, rozsypane liście palm i kalebasy oraz słodkawy odór śmierci. Kilka ciał Indian, posiekanych mieczami i rozszarpanych przez zwierzęta, leżało na ziemi dość długo, by straciły ludzki wygląd, wyschły, przypominały raczej *xarque* na ubitej, wymiecionej ziemi, między długim barakiem a domem Antonia, Isabel znalazła świeże zwłoki Ianopamoko z odciętymi od korpusu rękami. Jezioro krwi, w którym leżało okaleczone ciało, wciąż jeszcze nie skrzepło, czerwień hibiscusa, w której odbijało się niebo, nabrała barwy szkarłatu. Kto by pomyślał, że drobne ciało Ianopamoko ma w sobie tyle krwi? Roje brzęczących monotonnie moskitów i „eye-lickers” wirowały nad krzepnącym jeziorem, żerując na nim; owady siadały na delikatnej twarzy Ianopamoko, ozdobionej koronkowym ornamentem, nie omijając otwartych oczu.

— Cud nad cudami, czarna dziewczka! — usłyszała nagle z tyłu słowa wypowiedziane barytonem, w archaicznym portugalskim języku.

Isabel odwróciła się i zobaczyła Josego Peixota z gołą głową, jego opalona, wykrzywiona wściekłością twarz przybliżyła się do niej. W dłoni trzymał obnażony pałasz. Napierśnik z bawełnianym podbiciem był potrzaskany, sterczały z niego kłaki bawełny; schudł, ostatnie wydarzenia dodały mu lat, bardzo przypominał w tej chwili swojego starszego brata. Isabel zamierzyła się dzida, on jednak przeciął ją na pół, machnąwszy pałaszem tak blisko jej twarzy, że poczuła ruch powietrza.

— Coś ty za jedna? — spytał. — Czy i ty bierzesz udział w zdradzieckim spisku mojego podłego brata? Jesteś czarna jak mleko Hotentotów, ale oczy masz niesamowicie niebieskie. Ty diablico, widzę w twoim wzroku coś znajomego i wytwornego. Szkoda! *Merda!* Przekłęci Indianie, siekliśmy ich pałaszami i siekliśmy, a oni wciąż nadchodzili — uwolnili spod naszej władzy swoich przyjaciół, diabelskich wysłanników piekła, chociaż chodziło nam wyłącznie o ich wieczne dobro, przekłęci *bugres!* — Zdała sobie sprawę, że jest pijany; może sprawiła to *cachaca*, a może był po prostu zmęczony i zropaczony. Krew matki z plemienia Carijó nie wystarczyła, by uchronić go przed panicznym strachem przed pustkowiem. Myślał głośno, niczym człowiek, dla którego czar się rozwiął, odsłaniając bardziej tajemniczy czar. Zmierzył Isabel mętym wzrokiem i powiedział: — *Negrinba*, może dostałbym za ciebie kupę forsy w Bahii, ale wszystko, co żyje, stało się moim wrogiem. Zanim jednak znajdę rozwiązanie tej zagadki, możesz ulżyć moim obolałym lędzwiom. — Trzymając wciąż ciężki miecz w uniesionej wysoko prawej ręce, zaczął lewą gmerać przy sprzączce pasa podtrzymującego jego skórzane bryczesy.

Isabel chciała coś powiedzieć, ale przerażenie ścisnęło jej krtą. Trupi smród wionął z ust Josego, gdy przysunął się bliżej i ostrzegł ją:

— Na słodką matkę Chrystusa, przysięgam, że jeśli uczynisz choćby jeden ruch, obetnę ci ręce, tak jak to uczyniłem tamtej drugiej czarownicy. Pójdiesz przynajmniej do diabła z pełną piczką i urodzisz dzielnego chrześcijanina, żeby pierdnął w pysk szatanowi!

Serce Isabel waliło, jak gdyby chciało wyskoczyć jej z piersi, wahała się, czy ma ulec, a następnie spróbować ucieczki w chwili odprężenia, czy też zrejterować od razu spod miecza Josego. Brutal rozpiął spodnie, odsłaniając brudnoszary gruzełek ciała, gruby i krótki jak u biednego Salomao i daleki od erekcji. Po jego krwiożerczej gębie przemknął cień zmieszania.

— Bierz się za niego, szmato! — wrzasnął.

Genitalia Josego cuchnęły starym spleśniałym serem. Isabel nakazywała sobie siłą woli, żeby uklęknąć, zanim jednak jej drżące kolana usłuchały tego polecenia, z tyłu za Josem pojawił się wysoki, brodaty biały mężczyzna. Rozległ się świst powietrza, trzask kości i *bandeirante* padł na ziemię u jej stóp, z czaszką rozłupaną narzędziem na długim trzonku, wierzgając nogami w ostatnich konwulsjach. Isabel rozpoznała w śmiercionośnej broni

zardzewiały topór ciesielski używany do drażenia czołen, ale ten jasnoskóry wybawca, szczupły, o wysokim czole i smutnych brązowych oczach, był jej obcy. A może...? Jego broda była kędzierzawa, ale usta miały dziwnie znajomy, zdecydowany wyraz.

— Tristao! — wykrzyknęła cicho Isabel, osuwając się na kolana.

— Ty śmierdząca czarna kurwo — powiedział biały człowiek — zamierzałaś obciągnąć pałę temu draniowi! — I uderzył ją tak mocno, że upadła na piasek obok ciała *bandeirante*. Z okropnej dziury w czaszce Josego wyciekał jego mózg, przypominający ryżowy pudding polany sokiem buraczanym. Żrenice miał wywrócone jak Chrystus na krucyfiksie wiszącym nad łóżkiem Antonia. Świeże zwłoki natychmiast obsiadły muchy, karmiąc się wypływającą krwią.

Miotana skrajnymi emocjami — od wstrętu i przerażenia do pełnej zdumienia ulgi — Isabel wybuchnęła płaczem. Czuła na sobie wzrok mężczyzny, tak jak wczorajszej nocy czuła delikatne jak deszcz pieszczoty Ianopamoko.

— Skąd znasz moje imię? — Głos jej kochanka był teraz nieco wyższy i mniej chropawy, cechowała go niedbala stanowczość białego człowieka, który oczekuje posłuchu. Jakby przepaszając za to, że ją uderzył, powiedział: — Uległość wobec tego niegodziwca dałaby ci w najlepszym wypadku jeszcze pięć minut życia. Lepiej umrzeć nie zbrukaną. Kiedy wy nauczycie się dumać? Indiańska dziewczyna plunęła mu w twarz, zamiast ulec.

Isabel przestała płakać i zmierzyła mężczyznę oskarżycielskim spojrzeniem.

— Tristao, jak możesz mnie nie poznać? Pozwoliłam uczynić się czarną, żebyś ty mógł być biały. Stało się to za sprawą szamana, daleko na zachodzie, skąd można dojrzeć ośnieżone góry.

Kucnął przy niej — bulwa ignamu wyrzuszała przetarty materiał jego starych plażowych szortów — i dotknął jej włosów, lśniącego ramienia, wciętej talii, długiej, gładkiej pachwiny, muskularnych ud.

— Isabel? Czy to ty? — Przesuwał drżącymi palcami po jej wywiniętych pełnych wargach o dziwnym podwójnym obrysie i pionowym przedziałku pośrodku górnej wydatnej wargi, uległe miękkich, o fioletowym zabarwieniu. — To ty. Twoje oczy.

W mroku swej czaszki — tym teatrze duszy, zwykłym krwawym ryżowym puddingu — poczuła, że za chwilę z jej oczu popłyną znowu ciepłe łzy.

— Czy moje oczy to jedyna rzecz, która ci pozostała do kochania? Moje dawne zimne oczy. Niech więc tak będzie, Tristao. Nie kochaj mnie, tylko mnie wykorzystuj. Będę twoją niewolnicą. Już po raz pierwszy mnie uderzyłeś. Jesteś już zbyt dumny, zbyt wybredny, żeby całować moje usta. Kiedy ja miałam twój obecny kolor skóry, a ty mój, zabrałam cię, zwykłego ulicznika, godnego pożałowania *moleque*, do apartamentu stryja, w którym było więcej kosztownych przedmiotów, niż widziałeś w życiu, oczy miałeś okrągłe jak spodki, oddałam ci moją dziewiczą krew, chociaż mnie bolało, bolało okropnie. Nigdy ci nie powiedziałam, jak bardzo. Byłeś zbyt duży i zbyt brutalny.

— Nie chciałem być brutalny. To była niezdarność wynikająca z braku doświadczenia.

Powiedział to tak szczerze, że Isabel poczuła się w obowiązku usprawiedliwić go.

— Być może byłeś jedynie tak brutalny, jak musiałeś.

— Oddaliśmy się sobie nawzajem. Daliśmy to, co musieliśmy dać. Gdzie jest pierścionek z napisem DAR?

— To cena, której zażądał szaman za to, że będziesz biały i przestaniesz być niewolnikiem.

Mimo że postępowała przez cały czas bezinteresownie, poczuła strach, mówiąc mu to.

— Oddałaś pierścionek, który stanowił symbol naszego wzajemnego oddania, naszej przysięgi? — rzekł z niedowierzaniem.

— Nie oddałam go. Wymieniłam za twoje życie. To czarny kolor twojej skóry stał się przyczyną tego, że wzięto cię do niewoli, a przedtem budził wrogość moich opiekunów.

Dotknął w zamyśleniu swojej jasnej brody.

— Rzeczywiście tak było, najdroższa. Postąpiłaś pięknie. — Wyciągnął dłoń, pomagając wstać jej z piasku, na który niczym z rozciętej tykwy sączyła się płynna zawartość głowy Josego, przyciągając tysiące brzęczących malutkich „eye-lickers”, muszek *pium*, małych skrzydlatych krwiopijców, zwanych *borrachudos*, i moskitów tak mikroskopijnych jak drobiny kurzu, *pokora*. Odeszli od tej spragnionej, kłującej chmury i usiedli na czymś, co niegdyś było gankiem domu Antonia. — Pozwól, że ci opowiem moją historię. Jest bardzo dziwna — zaczął, ale duma Isabel została zadraśnięta.

— No, dalej! Uderz mnie jeszcze raz za to, że oddałam twój pierścionek. Obetnij mi rękę, tak jak to uczynił Jose drogiej Ianopamoko, jedynej przyjaciółce, jaką kiedykolwiek miałam. Ty nigdy nie byłeś moim przyjacielem, tylko mężczyzną. Mężczyzna nigdy nie może być przyjacielem kobiety, takim prawdziwym. Nauczyła mnie, czym jest miłość. Ty zaś nauczyłeś mnie, jak to jest być niewolnicą. Zbij mnie, porzuć mnie. Mam cię dosyć, Tristao. Nasza miłość kosztowała nas zbyt wiele.

Skrzywił cienkie wargi w pewnym sobie uśmiechu białego człowieka, a nawet roześmiał się cicho.

— Nonsens, Isabel. Kochasz mnie. Jesteśmy skazani na siebie nawzajem, na naszą miłość; bez niej właściwie nie istniejemy, bez niej jesteśmy jak zwierzęta, które rodzą się i umierają, a między tymi wydarzeniami żyją w ciągłym strachu. Nasza miłość wyniosła nas ponad, poza okropności zwykłego życia. — Ujął ją za rękę, czuła swój puls bijący powoli, rozkosznie, zgodnie ze spokojnym rytmem jego głosu. — Dzień po dniu, przez siedem dni, czerń stopniowo zniknęła z mojej skóry, nie wiedziałem czemu. Najpierw zrobiłem się szary, później biały, jak gdybym nigdy nie oglądał słońca. Ten stary głupiec, twój tak zwany mąż, Antonio Pebcoto, przypisał to jednej z chorób, które nękają chwypanych przez nich niewolników. Jednakże później, gdy mój stan zdrowia się nie pogarszał i inni biali zabójcy przesądnie woleli zdjąć mi kajdany, okazał się jeszcze bardziej zabobonny od nich i powiedział, że moje przeobrażenie w chrześcijanina takiego jak oni jest znakiem od Boga, żeby zwinąć obóz i przenieść się gdzieś indziej. Jose sprzeciwiał się temu, mówiąc, że maniok i bataty nie zostały jeszcze zebrane i że nie ma dość czółen, Antonio jednak nazwał go heretykiem i buntownikiem, występującym przeciwko dobremu królowi Joao, ponieważ wątpi w cudowny znak zesłany przez niebiosy. Moje przeobrażenie miało zwiastować, że znajdą złote królestwo rządzone przez złotego człowieka, *o dourado*. Inni poparli swego przywódcę i podnieśli wrzawę, żeby ruszać w drogę, a ponieważ brakowało czółen, by pomieścić wszystkich towarzyszących im Indian, pozabijali kobiety i dzieci i spalili chaty. Podczas całej tej rzezi udawałem, że przyłączyłem się do nich. Ściagałem dziewczynę Caduveo aż do lasu, ale potem ukryłem się tam i obserwowałem wszystko z daleka. Jose obraził brata swymi wątpliwościami — być może już od dawna istniały między nimi niesnaski — Antonio kazał innym mężczyznom związać go i porzucić w miejscu, gdzie było dużo mrowisk. Widziałaś sama, że wrócił stamtąd całkiem oszalały. Obserwowałem go przez te ostatnie dni, szukającego pożywienia i ogarniętego furją, i zastanawiałem się, czy skoro mam teraz ten sam kolor skóry co on, nie moglibyśmy zawrzeć przymierza i uciec do Mato Grosso, aż wreszcie dzisiaj zmusił mnie, bym podniósł na niego rękę. Coś kazało mi cię uratować, chociaż z daleka byłaś tylko szamocącym się cieniem.

— A mój syn, Salomao? — spytała Isabel, nie umiejąc przezwyciężyć pewnej nieśmiałości wobec tego nowego, białego, mówiącego ze swadą Tristao, mimo że jednocześnie jej nowe „ja” dało jej, gdzieś wewnątrz, czego nie zdążyła jeszcze zbadać, nową przewagę. Jej dawną zewnętrzną wyższość zastąpiła skryta, niema siła czy też pewność, że może smakować jak przyprawa, dzięki której mdłe danie staje się wysmienite.

Temat Salomao najwyraźniej nudził i zbijał z tropu tego mężczyznę, podnieconego swym ostatnim uczynkiem. Na twarzy Tristao zawsze malowała się rezerwa, teraz jednak dotyczyła ona przyszłości, przyszłości związanej z tym zniszczonym, przesiąkniętym krwią obozowiskiem.

— Antonio zabrał go ze sobą — powiedział. — W swym fanatyzmie wierzy, że nieszczęsne dziecko jest kimś w rodzaju świętego, który zaprowadzi go do rajy mimo wszystkich jego grzechów. Salomao nie chował się dobrze pod opieką Takwame i jej córek, ale też nie umarł. Obawiam się jednak o los całej wyprawy, Isabel. Nie uda im się popłynąć daleko tą rzeką; Indianie pokazali mi, w jaki sposób drążyć dna czółen tak cienko, żeby szybko zaczęły przeciekać. Nigdy nie dotrą do Madeiry.

— A przynajmniej nie w tych czółnach — powiedziała Isabel, przyznając swemu utraconemu synowi, pomyłce ciała ledwie trzymającej się przy życiu, legendarną wytrzymałość *bandeirantes*, którzy raz za razem —

wiedziała to jeszcze z czasów szkoły u zakonnice — wracali z nieprawdopodobnych wypraw. Próbowwała wykrzesać z siebie macierzyński żal za swoim małym, bladym synkiem, ale doznawała jedynie surowej, chorej ulgi, że już go z nią nie ma, a ona nie ponosi za to winy. Była wolna, mogła się skoncentrować na tym, którego kochała wcześniej. Skierowała na siebie jego uwagę w chaosie cywilizowanego życia i zatrzymała go; teraz cieszyła się tą majestatyczną samotnią, w której zamierzała podbić go ponownie, za pomocą nowej magii albo nowego koloru skóry.

To on objął przywództwo, jak nigdy przedtem. Wyglądało to tak, jak gdyby teraz, gdy miał białą skórę, jego mózg stał się kwadratową skrzynką z linearnymi możliwościami — siatką przeróżnych rozwiązań, wyborów, przewidywań. Przedtem, gdy podejmowali decyzję co do kupna działki w Serra do Buraco albo gdy prowadziła go do hotelu w Sao Paulo, a następnie postanowiła iść ze swoimi porwaczami bez daremnego oporu, to Isabel była przewodnikiem Tristao po świecie znajdującym się poza dzielnicą ruder; teraz to Tristao śmiało planował wspólną wędrówkę przez pustkowia, z powrotem do tamtego świata. Zdecydował, że nie opuszcza obozowiska natychmiast, lecz pochowają najpierw ludzkie szczątki, pokryją na nowo dachem pozostałości chaty Antonia i zaczekają, aż dojrzeje maniok, fasola i bataty. Następnie, z zapasem *farinha*, zmielonej przez Isabel i odparowanej na słońcu, oraz suszonego mięsa zwierzyny upolowanej przez niego za pomocą starej rusznicy, którą zostawili *bandeirantes*, wyruszą przez *chapadoes*, gdzie przedtem omal nie umarli z głodu.

Indianie z otaczającej obozowisko dżungli, którzy przyglądali się, jak ta para buduje swój tymczasowy dom, widząc, że oboje nie przejawiają wrogich zamiarów, powoli przybliżyli się do jego granic, zaczęli znów łowić ryby, służyli pomocą, gdy ich o to proszono, i rozkradali resztki skarbów *bandeirantes*. Isabel i Tristao nie chcieli jednak brać ze sobą w powrotną podróż żadnego z tych dzikusów. Niecierpliwie pragnęli zmierzyć się jeszcze raz ze współczesnością, natomiast ci skarłali, nadzy i samookaleczeni mieszkańcy odległej przeszłości, z ciekawymi nosami, zaczerwienionymi od dymu oczami, bulwiastymi brzuchami i nieustannymi wzdęciami, spowodowanymi przez pasożyty jelit, wydawali się kolegami z dzieciństwa, z ławy szkolnej, którzy muszą pozostać w przeszłości, by nadal cierpieć i ulegać zwyrodnieniu.

XXV. I znów sami

Gdy spalony dach został zastąpiony nowym, Tristao i Isabel zyskali trochę intymności, w której mogli znów zająć się odkrywaniem siebie. Trzy lata minęły od wybuchu ich namiętności w okresie między napaścią Guaicuru i uratowaniem ich przez *bandeirantes*, miłości zmysłowej, którą podsyciała gorączka spowodowana głodowym osłabieniem i romantyczne widmo śmierci. Od tamtego czasu Isabel i Tristao nie uczynili niczego, by zasłużyć sobie za powrotem na miano kochanków. Teraz powoli — jej rytm cielesny wydawał się wolniejszy, jego zaś bardziej nerwowy, gwałtowny — próbowali na nowo uprawiać błotnisty, nadrzeczny obszar seksu. Ich nowe skóry dały im okazję do najbardziej niebezpiecznego aktu miłości — negocjacji. Kim byli, skoro na psychiczną konstrukcję każdego z nich musiała wpłynąć inwazja tego drugiego? Z innym kolorem skóry przyszły inne gruczoły, inne zapachy, inne włosy, inne własne wizerunki, inne historie. W zmysłowości Isabel była teraz jakaś ironia, jakieś znużenie wynikające z doświadczenia wielu pokoleń czarnych kobiet.

Po swej świętej pamięci białej matce Isabel odziedziczyła głównie pustą kokieterię i chyba strach przed porodem. Teraz odczuwała wpływ innego dziedzictwa, poczuła siłę nie tylko pasywną; jako czarna dziewczyna odkryła w sobie zasoby szaleńczego gniewu i gdy ciemność zamykała się wokół szeleszczącego siennika, który dzieliła z Tristao, stawała się tyranem, kimś brutalnym i złośliwym. Jego biała skóra lśniła w mroku chaty, przez szpary w dachu sączyły się jedynie wąziutkie smużki światła księżycowego; Isabel bawiło drażnienie się z mężczyzną, robiła uniki, niewidoczna dzięki swej nowej powłoce. Podsuwała mu nieoczekiwane części ciała, gryzła go w ramię, drapała paznokciami plecy, odchodząc całkowicie od nieśmiałego szacunku, z jakim traktowała jego ciało przedtem. Wiedziała, że powstanie między nimi rodzaj nowego sadyzmu, nie spodziewała się jednak, że wyjdzie on od niej. On — i to podsycalo jej gniew — często wydawał się nieobecny duchem, gdy leżał obok niej albo miotał się nad nią; nie była już kolorem tego, ku czemu zdązał, lecz tego, co zostawił za sobą. Jego penis wciąż ją zadawał, ale nie był już taki zatrzważający; być może to nowa obfitość jej soków zmniejszyła nie tyle jego wielkość, ile prymitywną naturę, uroczą brutalność. Od czasu gdy po raz pierwszy ujrzała go w apartamencie stryja Donaciana, stracił swoją pierwotną monstrualność, swój wygląd charakterystyczny dla gada z epoki znacznie odleglejszej, niż sięga ludzka pamięć. Doszła do smutnego wniosku, że jest znacznie przyjemniej być białą kobietą pieprzoną przez czarnego mężczyznę niż czarną pieprzoną przez białego. Dla potomkini panów kolonialnej Brazylii to pierwsze miało radosny posmak bluźnierstwa, podniecało ją jako coś w rodzaju politycznej prowokacji; to drugie było zdecydowanie bardziej przyziemne. Nic dziwnego, że brazylijskie niewolnice kołysały biodrami w spódnicach o kształcie dzwonów, kręciły parasolkami, i rodziły pokolenia mulatów niczym zrzeszenie wprawnych mistrzyń. Pieprzenie się nie

stanowiło wielkiego problemu czy raczej stanowiło część większego problemu — być może uświadamiały to sobie wszystkie kobiety, ale niewolnice traktowały te sprawy lżej niż delikatne, rozpieszczone panienki z dobrych domów, które nigdy nie widziały swego męża nagiego i skromnie przyjmowały jego organ — instrument zapładniający, który często stawał się przyczyną ich śmierci — przez otwór w ślubnej kapie.

Mimo to — nawet bardziej brutalna w swej zmysłowości — Isabel, leżąc pod pieprzającym ją Tristao, odkryła nowy rodzaj podniecenia — próbowała podłączyć się do jego sieci nerwowej, bardziej kanciastej niż przedtem, mniej zaokrąglonej przez wieczną bezradność. Dźwignąć się w górę do tego systemu, nie zostać w tyle — to były ambicje Isabel, budzące w niej taką namietność, że czerwone ślady, pozostawione przez jej paznokcie na białych plecach Tristao, odznaczały się jeszcze nazajutrz rano. Walczyła o życie, podczas gdy wcześniej walczyła tylko o swoją przyjemność i o to, by się uwolnić od swego ojca.

Świat zmysłów, będący podszewką świata rzeczywistego, jest w pewnym stopniu odwróceniem go. Słabszy przedtem Tristao — był „górami”. Teraz ona dominowała i wymagała. Używając określeń, którymi żartobliwie nazywały z Eudóxią w czasach szkolnych zakonnice, to ona była „siurkiem”, a on, „cipką”.

— Jesteś moim niewolnikiem — powiedziała.

— Tak, pani.

— Liź mnie tam albo cię zbiję. — Potrząsnęła kawałkiem dzidy, którą Jose przeciął na pół swoim pałaszem. Gdy Tristao chętnie wypełnił jej polecenie i po pewnym czasie osiągnęła orgazm, powiedziała: — Chyba i tak cię zbiję.

Kochał ją bardziej niż kiedykolwiek — odczuwał zawrót głowy od tej nowej miłości do niej, pomieszanej z miłością do swego białego „ja”. Ta nowa relacja pozwoliła mu wreszcie w pełni okazać jego instynktowną rycerskość. On również wyczuwał coś brutalnego w swoim dawnym traktowaniu jej. Nie był nieczuły na brzemię, którym go obarczyła jej utrata pozycji społecznej — umożliwiło jej to noszenie twarzowego wieńca męczennicy — ani też na upokorzenia, które znosiła, kurwiąc się w kopalni, jak również na konkubinat w obozie. Gdyby nie był czarny, czy zdradzałaby go tak od niechcenia, z całkowitym spokojem? Wprawdzie mogła, słusznie zarzucili mu, że jego nędza i bezradność nie pozostawiły jej wyboru, ale czy w pewnym stopniu nie rozkoszowała się swym upadkiem, ponieważ była to jego wina? Wykorzystała go po to, żeby stać się bezwstydną, odmawiając mu luksusu wstydu. Prowadziła go przez eleganckie ulice Ipanemy i dalszy labirynt, gdzie nigdy bez niej nie miałby wstępu. Zniżyła się do niego i dlatego jej miłość świeciła jaśniejszym blaskiem, z większym żarem samopoświęcenia.

Teraz to on się zniżał, akceptując czarną dziewczynę jako swą towarzyszkę; on rozkoszował się teraz dreszczem zmysłowego wyzwolenia, kiedy to kochana osoba nie dorównuje ci pod względem społecznym i duchowym, lecz jest tylko przedmiotem z krwi i kości, ciałem przywiezionym z daleka. Przedmiotem posiadającym psychikę; to psychika prowadzi naprzód naszą miłość — kierując nią i pogłębiając — ale to cielesność, niczym masywna i sprawna dłoń onanisty, dostarcza nam rozkoszy. Ciało Isabel wydawało się jeszcze smuklejsze i bardziej muskularne, wypukłości i zagłębienia wyraźniejsze — teraz, gdy jej skóra nie miała już barwy chmur i kryształu, lecz barwę ziemi, wilgotnego gładkiego drewna, lśniącego łajna. Obecnie mógł bez trudu myśleć o Isabel jako o systemie trawiennym chodzącym na nogach, który musi się wypróżniać, lubi biegać, czerpiąc podobnie jak on łagodną przyjemność z ruchu i wydalania kału. Jej odbył, który nigdyś budził w nim lekki wstręt, umieszczony w kieszonce brązowawej skóry niczym smuga między pośladkami, wieczna plama w jedwabistej szczelinie, teraz wyglądał jak delikatny, zwinięty pączek o fioletowym odcieniu, trudny do rozróżnienia na tle połysku bakłażana. Włosy łonowe nie były już proste i jasne, lecz kędzierzawe, sprężyste i lśniące; wystarczyło, że zanurzył w nich nos, podczas gdy ona klęczała okrakiem nad jego twarzą, uśmiechając się do niego znad sterczących piersi, żeby natychmiast miał erekcję, penis wystrzelał niczym pofalowany kiel koloru kości słoniowej, ona zaś, sięgając ręką za siebie, odnajdywała go swawolnie i dotkliwie szczypała. Niegdyś Isabel traktowała go z pewnym szacunkiem, teraz zmuszała go do zuchwałego zdobywania, do tego, żeby brał ją siłą i doznawał — podczas gdy ona wiła się jak szalona, przeklinała i pluła mu w twarz — występnej rozkoszy gwałtu, czując jak każdy wytrysk przechodzi boleśnie niczym pocisk przez jego cewkę moczową. Była w niej wrogość, ale nie przeszkadzało mu to, dopóki mógł ją przyszpilać i pieprzyć z własną wyzwoloną wrogością. Seks jest walką, do której nasze zdrowe psychicznie „ja” czuje awersję.

Pod koniec jednego z takich gwałtownych seansów zdumiała go, gdy wtuliła pupę w jego brzuch, układając się do snu, i powiedziała:

— Może to właśnie on zrobi mi dziecko. — Tym samym przyznała, czego nigdy nie uczyniła w świetle dnia, że dotychczas nie udało im się wspólnie spłodzić dziecka.

— Mam nadzieję, że nie — rzekł z kolei szczerze Tristao. — Jeszcze nie teraz. Najpierw musimy wydostać się z tego bezludzia.

— Gdy wrócimy do cywilizowanego świata, rzucisz mnie. Od czasu do czasu będziesz mnie wykorzystywał jak kurwę, ale znajdziesz sobie inną żonę, białą.

— Nigdy. Jesteś moją jedyną żoną.

— Naprawdę myślę, że to świństwo z twojej strony rzucać mnie, gdy oddałam ci mój cenny kolor skóry, ale tacy właśnie są mężczyźni. Wykorzystają cię, a potem kopną, nic ich nie obchodzisz.

— Isabel, przestań mówić teraz o zajściu w ciążę. Za wcześniej jeszcze. Nie jesteśmy gotowi psychicznie do podjęcia rodzicielskich obowiązków, wciąż jesteśmy zbyt w sobie zakochani. Nigdy cię nie opuszczę. Kocham cię taką, jaka jesteś. Masz w sobie całą swoją dawną wytworność, a poza tym jeszcze coś innego. Wybacz, ale myślę, że dopiero teraz stałaś się naprawdę sobą. Przez cały czas byłaś czarna, twoja biel stanowiła tylko przebranie. Twoje zabawne przechylenie głowy i sposób, w jaki wyginałaś stopę w łuk, były czarne.

Zastanawiała się przez chwilę nad jego słowami, aż wreszcie pomyślał, że zasnęła z mrowiem jego wściekłych plemników, dążących, przepychających się ku jej majaczącemu w oddali, samotnemu jajku, gdy nagle usłyszał, jak mówi niskim głosem, na pograniczu snu:

— Wybaczam ci, Tristao, to, że jesteś takim skurwysynem.

Tristao bardziej palił się do powrotu do cywilizacji niż Isabel. Jego rycerskość bez oprawy społecznej była pusta, pragnął, by inni potwierdzili jego status, chciał zobaczyć swoje białe ciało odziane w wytworny smoking. Wprawdzie biały mąż i czarna żona w Brazylii nie rzucają się tak w oczy, jak w Południowej Afryce czy w Ameryce Północnej, ich widok pozbawiony jest aż takiej pikanterii, mimo to wyobrażał sobie, że będą przyciągać spojrzenia, co stanie się miernikiem oszałamiającej pełni jego miłości. Czyż Portugalia, tutaj, na tej brazylijskiej ziemi, rodzącej trzcinę cukrową i brezylkę, nie uczyniła Afryki swoją żoną, nie potwierdzając jednak tego faktu świętym sakramentem? Będzie jedynym białym mężczyzną, który wyniesie czarną kochankę na swój poziom. W pewnym sensie wydzwignie w ten sposób swoją matkę z rudery i jej nędzy przesiąkniętej *cachaca*, z objęć wszystkich tych przelotnych ojczymów, mężczyzn o błotnistym, pośrednim kolorze skóry bezlitosnych *bandeirantes*.

Isabel zaś, która była sprawczynią całego przeistoczenia, delektowała się zemstą na ojcu. W jej niedojrzałym umyśle powstało podejrzenie, że wzgardził jej darem, tym, że nadała imię Salomao swojemu synkowi, i dlatego dziecko cierpiało na niedorozwój umysłowy. Ojciec, nieuchwytny, lecz wszechobecny, był dla niej bogiem. Wyobrażała sobie, że wciera swój nowy kolor w jego twarz, urągając w ten sposób grubym rybom i identyfikując się z masami znacznie dramatyczniej i trwalej, niż to planowała z kolegami-radykałami na uniwersytecie. Mimo to, paradoksalnie (albowiem dusza rozkwita, żerując na przeciwieństwach, tuczy się zarówno miłością, jak i nienawiścią) wyobrażała sobie, że ojciec pokocha ją w jej zmysłowej nowej skórze i że wreszcie ukradnie go swojej jasnoskórej zmarłej matce przebywającej w niebie.

Tak to, ożywieni oboje nowymi koncepcjami, których rozgałęziające się kombinacje podrażniały system nerwowy i wprawiały ich w nieustanne podniecenie, kochali się niemal bez przerwy. Indianie, kradnący bulwy manioku z pozostawionych bez opieki pól, wskazywali na chatę i mówili: „Skały się ścierają”, odwołując się do mitu, gdzie jeden z dwóch synów Mairy-Monana, Arikut, zły i lekkomyślny, został zmiażdżony między ścierającymi się skałami, jednakże jego bliźniaczy brat, Tamendonar, dobry i spokojny, przywrócił mu życie.

Ponieważ broda Tristao ocierała wargi, piersi oraz wnętrze ud Isabel, zgolił ją żyłką o jednym ostrzu, GEM, z którą — obecnie zardzewiałą i stępioną — nie rozstawał się od przeszło dziewięciu lat, od chwili gdy po raz pierwszy ujrzał swoją kochankę. Dwa lata w fabryce *fuscas*, cztery w kopalni, trzy w obozowisku, gdzie jako niewolnik drażył czołna nad tą bezimienną rzeką. Znowu bez brody, wyglądał młodziej. Policzki miał lekko zapadnięte.

Teraz, gdy był biały, Isabel wzruszała często delikatność, której brakowało czarnemu mężczyźnie, a może to ona nie potrafiła jej dostrzec przez jego skórę. Bywał teraz nieporadny i niepewny, ale był też odważny i wierny. Ta

bezbronność podniecała ją, podczas gdy trzymając w ramionach biednego bezwładnego Salomao o tępych spojrzeniu, nie czuła niczego. Tristao miał w tej chwili w sobie coś tak nienaturalnego, sztywnego, tyle zahamowań, że bawiło ją zadziwianie go, popisywanie się coraz większą seksualną agresją. Jej lechtaczka wydawała się dłuższa i twardsza niż kiedyś. Wbijala tę sterczącą chrząstkę, zakończoną ogromnie wrażliwym ziarenkiem groszku, albo kość łonową w jego twarz, z całej siły, z brutalnością mężczyzny, nie przejmując się drugą osobą, aż górna warga Tristao drętwiała pod tym naciskiem, a później okazywało się, że jest obrzmiała i poraniona. Potem sama kazała sobie płacić za tę brutalną supremację, zachęcając go do stosunków analnych i spuszczenia jej lania, ponieważ ból zadany przez niego wyzwał znów tamten wewnętrzny kształt miłości, któremu groziło zagubienie się w pokrętności i brudzie psyche. Ten kształt miał smak wanilii, gdy była małą dziewczynką i kucharka w kuchni dawała jej oblizać łyżkę, którą mieszała jakieś pyszności. Dla nozdrzy dziecka miał zapach wiórków kokosowych. Zawsze istniało zagrożenie, że ostrość rozkosznych doznań stępuje. Podtrzymywały ją tylko nowe tożsamości i skrzywienia. Perwersja, podobnie jak czystość moralna, jest sposobem panowania człowieka nad tą zwierzęcą energią. Tristao przyłączył się do jej seksualnych ekscesów, kępował jej ręce lianami, umieszczał pałasz Josego pomiędzy nim a Isabel na sienniku podczas snu, włączył do gry swoje stare żelazne okowy, gdy miał do czynienia ze swą bezbronną niewolnicą. Kąsał jej ramiona i wysysał się w jej szyję. Delikatna błona jego żołądki, która tylko odrobinę zmieniła kolor od czasów, gdy był czarny, wciąż wypełniona krwią i gorąca jak serce wydarte z królika, żądała dotyku jej warg. Kontrast między kolorem skóry kochanków był mniej ostry niż między ich narządami płciowymi, dwoma egzotycznymi kwiatami, rozwiniętymi w tak odwrotny sposób. W górę, w dół, agresywni, pasywni, dominujący, ulegli, pełni wrogości, czuli — Tristao i Isabel oscylowali rozkosznie między przeciwnościami i darowali sobie nawzajem fizyczne wyczerpanie i senną jedność z wszechświatem.

XXVI. Ponownie Mato Grosso

Wreszcie nadszedł odpowiedni czas, by wykopać bulwy manioku, zetrzeć je na mąkę, upiec z niej słone placki i wyruszyć w drogę. W obawie przed Guaicuru starali się trzymać na północ od trasy, którą tu przyszl, kierując się pozycją słońca. O tej porze roku padały deszcze, krótkie, lecz intensywne, wcześniej rano i późnym popołudniem, gdy zbliżał się wieczór. Ulewy oslepiały ich, ale mijały błyskawicznie, powierzchnie liści i ziemia parowały i lśniły jak ich zdrowe, ufnie ciała.

Być może dlatego, że szli nową trasą, jałowe tereny wydawały się żyźniejsze niż wówczas, gdy prowadziła ich Kupehaki. W drugim tygodniu wędrówki Isabel porzuciła tęskną, nierealną nadzieję, że natkną się na Guaicuru, a wśród nich na Azora i Cordelię, nagich, pomalowanych, przystrojonych w indiańskie paciorki, ale żywych. W trzecim tygodniu zaczęli spotykać farmy — pojedyncze, niskie, białe *ranchos* o czerwonych dachach. Gospodarowały tam pojedyncze pary, chudzi *mamelucos* w workowatych ubraniach peonów z bojaźliwymi żonami z plemienia Tupi, hodując kury, świnie i obszarpane dzieci i uprawiając kilka akrów tytoniu oraz kukurydzy, bawełny oraz soi na polach, ogrodzonych suchymi ciemnymi krzewami, które chroniły przed dzikimi świniami i bydłem bogatych ludzi, mieszkających na obrzeżach *chapadoes*. Biedni i doprowadzeni do skrajnej ruiny przez kolejne ulewy, farmerzy dzielili się z Tristao i Isabel garstką ryżu i fasoli, odrobiną *pinga* i użyczyli im na noc schronienia, gdzie ich luksusowym łóżem była sterta wyluskanych kolb kukurydzy, uginająca się przy każdym ruchu, tak że z powodu braku punktu oparcia próby kochania się na ogół kończyły śmiechem.

W miarę jak posuwali się na wschód, farm było coraz więcej, coraz bardziej zasobnych, dawały początek małym zakurzonym miasteczkom, w których mogli podjąć się jakiejś pracy, by odnowić swoje zasoby. Z założenia Isabel jako Murzynka powinna umieć pracować; taszczyła więc brudną pościel i kalesony miejscowego burmistrza i handlarza bydła oraz muślinowe koszule ich grubych żon nad rzekę i prała je na płaskich kamieniach, używając żółtego ługowego mydła, od którego zniszczyła całkiem paznokcie, a opuszki jej palców zrobiły się szorstkie jak piaskowiec. Dla Tristao — z jego władczyim spojrzeniem i szerokimi ramionami — znalazły się bardziej godne zajęcia — po kilku dniach jego pobytu w mieście, kiedy nic nie robił, sprawiał jedynie dobre wrażenie, tutejszy prawnik powierzył mu własnoręczne dostarczenie wiadomości klientowi mieszkającemu parę kilometrów poza miastem, a kupiec towarów żelaznych zatrudnił go do ustawiania beczek, worków oraz żelaznych narzędzi na tyłach sklepu, następnie zaś, widząc jego pojętność, jak również atmosferę rzetelności i uczciwości, jaką wokół siebie stwarzał, pozwolił mu zająć stanowisko przy frontowych półkach, skrzyniach, wadze i podręcznej kasie. Szwaczka, litując się nad szorstkimi, popękanymi rękami Isabel, zatrudniła ją przy szyciu, a ponieważ lekcje prac domowych u zakonnic, gruntowne i metodyczne, nie poszły na marne, wkrótce jej pracodawczyni nie mogła wyjść z podziwu, że uboga czarna dziewczyna, zwykła *moleca*, zdobyła takie umiejętności i dobre manieri. Wszystko to zdarzyło się w małym miasteczku na zboczach Serra do Tombador o krętych uliczkach i chodnikach biegnących schodkami w górę po obu stronach brukowanych rynsztoków, po których wlokły się furmanki i sływały ścieki.

W innych miastach, dalej na wschód, Tristao pracował to u kowala, to znów jako mechanik samochodowy. Na zakurzonych drogach interioru samochodu powoli zastępowały miejsce pojazdów konnych. Gdziekolwiek się oboje pojawiali, ich żywe usposobienie i wdzięk zjednywały im sympatię, byli traktowani nader grzecznie i niejednokrotnie proponowano im osiedlenie się na stałe, rozważano przed nimi przyjemne perspektywy, albowiem rozwój był wyraźnie przeznaczaniem *sertao*. Przez pewien czas, regenerując mięśnie wyrobione w kopalni złota, Tristao pracował przy budowie nowej drogi, która miała biec przez ten ogromny, zacofany gospodarczo, a zarazem rokujący wielkie nadzieje region kraju. „Drogi są przyszłością Brazylii” — mawiał co dzień uroczyście kierownik robót, niczym kaznodzieja propagujący młodą religię, by wynagrodzić im ból pleców i skromne wynagrodzenie, wypłacane w walucie, którą tym szybciej zżerały inflacja oraz wysokie ceny, im bardziej cywilizowała się okolica.

Gdy dotarli do prawdziwych miast, zaczęli mieć miejskie przygody. Isabel znalazła sklep handlujący biżuterią i srebrem, którego właściciel potrafił docenić piękno i wartość wysadzanego kamieniami, zabytkowego krzyża stryja Donaciana. Inni kupcy nie przejawili najmniejszego zainteresowania świętym przedmiotem, ale temu jednemu rozbłysły na jego widok oczy. Był *pardovasco*, synem Murzyna i Mulatki, ciemny jak Etiopczyk, o skośnych oczach i wysokim czole. Zawarł z Isabel porozumienie przeciwko niewidocznym właścicielom firm, którzy — jak twierdził — byli japońskimi przemysłowcami rolnymi w odległym Rio Grande do Sul, i zaoferował jej cenę — dziesięć tysięcy cruzeiros — która według niego była absurdalnie wspaniałomyślna za tak zwyczajny przedmiot jak krzyż z epoki kolonialnej.

— Ale muszę coś wyznać — nie tylko beznamietnie studiuję różne religie, jestem również zagorzałym wyznawcą kilku z nich. Trafiłaś w moją słabość, mała damo.

Następnie zaproponował, żeby odwiedziła go w jego pokoju na górze podczas długiej przerwy na lunch, między pierwszą a czwartą trzydzieści.

— Ile jestem dla ciebie warta? — spytała bez ogródek, z zuchwałością, na jaką nie pozwoliłaby sobie w swojej dawnej skórze.

— Poczęstuję cię pysznym lunchem — obiecał jubiler — i puszczę ci moje płyty z najnowszymi piosenkami *afoche* z Bahii.

— Jestem splukana — powiedziała bezczelnie, dając mu do zrozumienia, że nie ma pieniędzy, a jednocześnie podnieca ją seksualnie. Isabel czuła, że po tak długim czasie spółkowania z białym mężczyzną, uwikłana w problemy z powodu swojej osobliwej białej psychiki, winna jest sobie krótki seans z mężczyzną niemal tak czarnym jak ona sama. — Sto cruzeiros — powiedziała. — Sądzę, że muszę być warta jedną setną ceny tego świecidełka. Jego ramiona się nie poruszają; słyszy modlitwy, ale ich nie wysłuchuje. Ja spełnię wszystkie twoje prośby, o ile nie będą zbyt nieprzyzwoite.

Udawał zdziwienie i oburzenie, wreszcie obniżył cenę do osiemdziesięciu pięciu cruzeiros, którą dodał do ceny zakupionego przedmiotu, przenosząc w ten sposób koszt swojej schadzki na dalekich przemysłowców rolnych.

Jego pokój na górze był zatłoczony i jasny, niczym dżungla, przez którą Isabel wędrowała z Ianopamoko; pełno w nim było religijnych, pstrych jak papuga posążków, wyobrażających wszystkich katolickich świętych — Maria z dzieciątkiem, ukrzyżowany Chrystus, święty Sebastian przeszyty strzałami, święta Katarzyna z kołem, papież w białej piusce, który nosił małe okulary i umarł z powodu czkawki — a oprócz tego *orixds* i *exus* kultu Candomble obok takich samych gipsowych główek i beżowych popiersi Elvisa, Buddy'ego Holly'ego i Little Richarda oraz innych amerykańskich nieśmiertelnych gwiazd rocka. Był tam nawet złocony Budda i czarna emaliowana Kali ze swoim czerwonym językiem flaminga i naszyjnikami ze ściętych głów. Ten *pardovasco* naprawdę żył dla swoich religii co zraziło Isabel. Nie wierzyła w męskość mężczyzny, który nie był gotów uczynić jej jedynym przedmiotem uwielbienia.

Zamiast kochać się z nią od razu, jubiler nalegał, żeby posłuchała z nim jego płyt z *afoche*.

— *Afoche* — wyjaśnił — to najbardziej afrykańska muzyka w Brazylii, blisko związana z kultem Candomble; została odmłodzona przez jamajskie reggae i Black Consciousness Movement w obu Amerykach. — Dał jej do zapalenia trawkę, ale nie przeżyła po niej takich kosmicznych wlotów jak po *jage* Tejucupapo. Gdy wreszcie doszło do zbliżenia, ich seks wydawał się byle jaki i mdły w porównaniu z tym, do czego doszli z Tristao. Nie był to mężczyzna, który potrafiłby kochać kobietę aż do samounicestwienia. Miała ochotę na coś zupełnie innego. Mimo to wróciła kilkakrotnie do jubilera — nazywał się Olympio Cipóuna — do jego pokoju pełnego

ogarków świec wotywnych i wyludzone od niego pieniądze zdeponowała na rachunku oszczędnościowym z oprocentowaniem dostosowanym do stopy inflacji.

Im dalej posuwali się na wschód od dzikich terenów zamieszkałych jedynie przez Indian do krainy nie grodzonych pastwisk, a potem pól uprawnych, urozmaiconych skupiskami przemysłu zarządzanego przez państwo, tym wyraźniej uświadamiali sobie, że potrzebują pieniędzy, kapitału. Muszą mieć ubrania, buty, cruzeiros na czynsz i restauracje. To prowincjonalne miasto o nazwie Bunda da Fronteira jeszcze niewiele lat temu miało chodniki z desek, drewniane, szalowane frontony domów i słupy do przywiązywania wierzchowców. Każdy mężczyzna nosił przy sobie broń. Zdjęcia dawnych linczów i sal balowych wisiały w witrynach zakładów fryzjerskich przy Main Street i na ścianach miejscowego towarzystwa historycznego. Wyroby indiańskiej sztuki rękodzielniczej, szczególnie ozdoby z piór pochodzące z plemienia Erikbatsas, były wystawione na sprzedaż wszędzie. Kupowali je niemieccy i szwedzcy turyści, którzy przyjeżdżali tu autokarami; organizowano też wycieczki dla kanadyjskich wędkarzy, którzy pładrowali obfitujące w ryby wody rzek Araguaia i Xingu. Błyskawicznie zadbano o wygodę i przyjemności turystów oraz miejscowych notabli. Budowano dziesięciopiętrowe biurowce ze szczelnymi oknami i klimatyzacją; na sześciu skrzyżowaniach zainstalowano sygnalizację świetlną; woda z kranów nadawała się do picia; na obrzeżach miasta powstawało centrum handlowe.

Isabel, pamiętając swoje dobre doświadczenia ze szwaczką w miasteczku o stromych brukowanych ulicach, znalazła pracę w sklepie z odzieżą, najpierw na zapleczu, gdzie upinała materiał szpilkami i zszywała, a później, dzięki swej urodzie i szelmowsko wyszukany manierom, jako ekspedientka. Tristao zaczął pracować jako bramkarz w świeżo otwartej dyskotekce, która nosiła nazwę „Mato Grosso Eletrico”. Jego główne zadanie polegało nie na wyrzucaniu przypadkowych narkomanów, którzy przedawkowali kokainę i zaczęli chodzić na rzesach, ani handlarzy narkotykami, którzy zbyt rzucali się w oczy, lecz na ocenie, kogo — z tłumy stłoczonego co wieczór na betonowym chodniku — może wpuścić. Przypominało to komponowanie bukietu lub świeżej sałatki, gdzie różnorodność oznacza wesołość i zabawę nie z tej ziemi. Kilku krzykliwie ubranych transwestytów w perukach — w porządku, ale zbyt wielu wystraszyłoby normalnych gości; kilku brzuchatych poszukiwaczy przygód w średnim wieku jest mile widzianych, aby dodali tłumowi tancerzy znaczenia i historycznej perspektywy, ale młodzież musi przeważać; wystrojona dziewczyna w mieniącej się minispódniczce i przezroczystej bluzce — proszę bardzo, jeśli jej krepy niespokojny, bezpłciowy towarzysz nie wygląda na alfonsa. Żeby zapewnić w środku mały raj, niepokój i nadzieja zysku muszą zostać za progiem. Nie wolno wpuścić paskarzy jawnych zbrojeńców, ludzi dążących w zbyt chamski sposób do sukcesu. Tristao przebiegał baczny wzrokiem tłum podnieconych twarzy, oświetlonych neonem „Eletrico”, wypatrując ludzi o godziwych zamiarach. Można wpuścić kilku biedaków, ale nie tylu, żeby sprawić dyskomfort tym, którzy mają dobre samopoczucie, albo sprowokować konflikt społeczny czy rewolucyjne ekscesy w miarę, jak dąsanie się rozkręcał i pozbywano się hamulców. Rewolucja była dobra w latach sześćdziesiątych. Teraz były już lata siedemdziesiąte. Bachanalie muszą zachować posmak apolitycznej niewinności. Czarni, niestety, często musieli być wykluczeni, ponieważ zjawiali się w grupach proporcjonalnie znacznie większych niż ich udział w populacji Bunda da Fronteira, w której przeważali względnie biali. Biali i *branquos* musieli czuć się częścią wielorasowego społeczeństwa, ale nie powinni być przytłoczeni. Dyskoteka to nie *batuque* ani *jamboree* w Congo. Stara się wywołać za pomocą efektów psychodelicznych ekstazę, wolną od niebezpieczeństwa i deprawacji, bez przykrych konsekwencji występku — podatny grunt, w którym delikatne kiełki łączenia się w pary mogą wschodzić i rozrastać się. Błyski lampy stroboskopowej, kolorowe światło laserów, dymy, nienaturalnie rytmiczna muzyka, szampan-cienkusz — wszystko to miało na celu raczej pieszczotliwe podsycanie namiętności, dodawanie odwagi, niż jej hamowanie. Nocny spektakl, kiedy to Tristao coraz umiejętniej selekcionował ludzi, nie może być spektaklem przykrym, zależnym od osób niezdolnie pretensjonalnych i zawodowo ekshibicjonistycznych. Wzrost, wysokie białe czoło, zdecydowane gesty dłoni, wskazujące wybrańców na końcu długiej kolejki, szlachetnie niechętny uśmiech — czy to aprobujący, czy przepraszający, sprawiły, że Tristao był władczy w tej roli arbitra i stał się dość znaną osobistością w Bunda da Fronteira. Jego chlebobawcy, ospowaci metyscy gangsterzy, którzy sami nigdy się nie pokazywali, docenili męską urodę oraz wycucie bramkarza i zaproponowali mu podwyżkę wynagrodzenia, a także inne korzyści, gdy po pięciu miesiącach oświadczył, że odchodzi.

Wraz z Isabel zgromadzili dość pieniędzy, ubrań oraz doświadczenia miejskiego życia, by wyruszyć — nie autobusem, lecz DC-7 (skok trwający niecałą godzinę) — do Brasílii.

Podróż z obozowiska pochłonęła im blisko rok.

XXVII. Znowu Brasilia

Osiem lat minęło od czasu, gdy Isabel studiowała na tutejszym uniwersytecie i kochała się z Tristao w bananowym gaju na pasie zieleni jednej z autostrad prowadzących do stolicy. Jej ojciec nie był już ambasadorem w Afganistanie, gdzie król Muhammad Zahir Szah został zdetronizowany przez grupę młodych oficerów, coraz bardziej ulegających sowieckim wpływom. Islamska wojowniczość wzrastała, w centralnej Azji kłopoty wisiały na włosku; Salomao był zadowolony, że wyjeżdża. Obecnie służył grubym rybom w charakterze wiceministra do spraw rozwoju interioru, zajmując biura w wykładanych marmurem pomieszczeniach Palacio do Planalto. Gdy Isabel zadzwoniła do niego, jej pierwszym wrażeniem było, że się postarzał, jego ojcowski autorytet i majestatyczność zbladły — a może to po prostu ona dorosła, zmieniły ją ciężkie warunki, w jakich żyła, oraz miłość? Miała teraz dwadzieścia dziewięć lat i dostrzegła pierwsze siwe pierścionki we włosach, gdy starała się doprowadzić do porządku swoją niesformą fryzurę afro. W pewnym oświetleniu uwydatniały się żyły na grzbietach jej dłoni, a skóra podbródka lekko zwiotczała. Ojciec nie sprzeciwiał się, gdy powiedziała mu stanowczo:

— Tatusiu, miewam się dobrze, i to nie dzięki tobie. Chciałabym cię odwiedzić, żebyś wreszcie mógł poznać mojego *companheiro*, mojego drogiego męża.

Cisza w słuchawce nie trwała długo, być może dyplomata po prostu starał się znaleźć właściwe słowa.

— Kochanie, nic nie może sprawić mi większej radości. Tęskniłem za tobą, spędziłem wiele bezsennych nocy, myśląc z niepokojem o tym, gdzie się podziewasz i jak ci się powodzi. Ostatnie wiadomości, jakie dotarły do mnie na końcu świata, to że jesteś żoną poszukiwacza złota w Serra do Buraco. Potem zniknęłaś z powierzchni ziemi.

— Nigdy nie wyjechaliśmy z Brazylii — odparła chłodno.

— Zmienił ci się głos. Czy zawsze był taki... gardłowy?

— Ludzie się zmieniają, ojczu. Dzieci dorastają. Mam teraz taki głos. Czy znajdziesz w swoim napiętym kalendarzu trochę czasu jutro o szóstej? I nie kłopotz się o kolację. Herbata albo koktajle całkowicie wystarczą — a może nie trzeba nawet tyle.

Jeśli była szorstka, to częściowo dlatego, że Tristao leżał na hotelowym łóżku, słuchając rozmowy. Gdy odłożyła słuchawkę, powiedział:

— Ten człowiek porwał nas i wysłał płatnego mordercę, żeby mnie zabił, a teraz mam się z nim spotkać na uprzejmej pogawędce?

— Teraz wszystko wygląda inaczej — powiedziała. — I ojciec miał też inny głos. Starszy. Smutniejszy. Wierzę, że za mną naprawdę tęsknił. Nigdy nie miał czasu, żeby być ojcem.

Przymierzyła mnóstwo sukienek, tak jak przed wizytą w domu Chiquinha w Moóca dziesięć lat temu, decydując się wreszcie na długą do kostek suknię bez paska, z jedwabiu w barwne plamy w pawich kolorach. Pęknięcia w szerokich rękawach podkreślały wytwornie czerni jej szczupłych ramion. W takim stroju wyglądałaby niegdyś całkiem bezbarwnie.

Apartament ojca w wieżowcu o białych ścianach i szklanych balkonach przy Eixo Rodoviario Norte wydał jej się mniej okazały niż w czasach, gdy tu mieszkała jako bezkrytyczna studentka. Para służących — wysoki mężczyzna, smętny i zielonkawy, kobieta pulchna i brązowa — których znała i którzy dotrzymywali jej towarzystwa podczas częstych nieobecności ojca, została zastąpiona przez jednego służącego, zwinnego, lekko piegowatego mężczyznę o pomarańczowych włosach splecionych w rastafariańskie dredy, które wyglądały na jego głowie jak koszyk splątanej przędzy. Z impertynenckim ukłonem wpuścił Tristao i Isabel do holu. Gdy czekali na jej ojca, Isabel zdała sobie sprawę, że apartament faktycznie jest mniejszy — że nie jest to ten sam apartament. Owszem, była w nim tybetańska *thang-ka*, *coiffeuse* z czasów Ludwika XV z czarnym wazonem z epoki dynastii Ch'ing, japońskie ryciny i rzeźbione figurki Dogonów, doszedł też dywan z jagnięcej skóry i ogromny, wykuty ręcznie z blachy miedzianej dzban, prawdopodobnie z Afganistanu, ale wszystko wydało jej się nadmiernie stłoczone, brakowało tej przestrzeni, która kiedyś nadawała pięknu tych przedmiotów tchnienie odosobnienia. Teraz ich nagromadzenie stwarzało nerwową atmosferę przyjęcia, na które przyszło zbyt wiele osób. Nie było długiego korytarza, którym codziennie wieczorem, z książkami pod pachą, wędrowała do

swojego pokoju, z okien salonu roztaczał się widok nie na jezioro Paranoi, ale — znacznie mniej atrakcyjny — na Rodoferroviaria. Być może kariera ojca, która za czasów prezydenta Kubitschka, jak się mogło wydawać, miała nieskończone perspektywy, za rządów generałów osiągnęła swój kres; wyjeżdżał jako ambasador na coraz odleglejsze placówki, piastował stanowiska w administracji, które dotyczyły wprawdzie spraw interioru, ale przyczyniały się też w niemałym stopniu do jego zaniedbania.

Salomao Leme wszedł do pokoju. Postarzał się. Na małych wąskich stopach jak zwykle miał błyszczące pantofle domowe z lakierowanej skóry. Na spotkanie z Isabel i Tristao włożył bonzurkę z bordowymi klapami i spodnie w drobne prążki, uprasowane na ostry kant. Rzadkie włosy przerzedziły mu się jeszcze bardziej, został mu tylko delikatny puszek na czubku głowy, jego wypukłe czoło zdawało się jeszcze mocniej wypychać cienką bezbarwną skórę, pod którą znajdowała się siateczka nerwów otaczających oczy.

Czy uległa złudzeniu, czy też drobny mięsień pod jednym z dwojga szarych oczu drgnął na jej widok po tych ośmiu latach? Jeśli nawet rzeczywiście tak było, nie dał nic po sobie poznać, odwrócił wzrok od irytującej niespodzianki i podszedł szybko do Isabel po dywanie z jagnięcej skóry, szurając pantoflami domowymi. Wargi, którymi musnęła najpierw jeden jej policzek, potem drugi, były chłodne.

— Moje piękne dziecko — powiedział, ujmując ją lekko za ramiona, żeby lepiej przyjrzeć się jej wyzywająco uniesionej twarzy.

— Ojciec, to jest mój mąż, czy, jeśli wolisz narzeczony albo ktoś w tym rodzaju, Tristao Raposo. — W obecności ojca poczuła się znów młodą dziewczyną, trzpiotową i pewną jego pobłażliwego stosunku do niej.

— Bardzo mi przyjemnie — odrzekł ojciec, ściskając muskularną białą dłoń mężczyzny we własnej pulchnej dłoni.

— Mnie również, proszę pana — powiedział Tristao, nie odpowiadając nawet cieniem uśmiechu na zaczątek uśmiechu starszego mężczyzny, który odsłaniał — wzruszająco dla Isabel — drobne okrągłe zęby, mniejsze nawet, niż zapamiętała, i pożółkłe z powodu wieku. Widok obu mężczyzn, oceniających się nawzajem, sprawił, że Isabel poczuła nerwowe ściskanie w dołku.

— Sądząc po pańskim akcencie, pochodzi pan z Rio — powiedział jej ojciec do Tristao.

— Urodziłem się tam i wychowałem, proszę pana. Moja rodzina mieszkała na stokach Morro do Babilonia. Dom nie był duży, ale roztaczał się z niego wspaniały widok na morze.

— W dalszym ciągu nie znam dobrze Rio — rzekł dyplomata — mimo że mój brat nie daje się stamtąd wyciągnąć, niczym krab pustelnik ze swojej skorupy. Moje życie w Rio skończyło się praktycznie, gdy stolica została przeniesiona do Brasílii.

— Odważne posunięcie, z którego nasz naród jest dumny — zauważył Tristao, trochę sztywno ignorując subtelne zaproszenie starszego mężczyzny, by usiadł w jednym z miękkich foteli.

— Mimo to mam wątpliwości — powiedział Salomao, sadowiac się w jednym z beżowych, obitych sztruksem foteli o szerokich poręczach. Isabel wiedziała, że w hierarchii upodobań ojca zajmuje on dopiero drugie miejsce. Salomao najbardziej lubił czerwony pluszowy fotel, który wytarł się, spłowił ze starości i nabrał łososiowego koloru. Teraz, ze zbyt oczywistą ostrożnością, przycupnął na nim Tristao. Isabel usiadła pomiędzy nimi na długiej białej kanapie, kolana miała na wysokości intarsjowanego blatu ze wzorem szachownicy. Wysmukły wazon, czysta popielniczka, kryształowy przycisk sugerowały, że gra się toczy. — To posunięcie sprawiło — westchnął — że nasze piękne Rio zostało, jak mówią Anglicy, „słomianym wdowcem”, a u ludzi wzrosło poczucie, że rząd jest czymś odległym i fantastycznym, co ma niewiele wspólnego z nimi.

— Z czasem — pocieszył go Tristao — rozwój Brazylii pociągnie za sobą rozwój stolicy i Brasíliia znajdzie się w samym centrum wszystkiego. Ludzie przyszłości będą się dziwili, czemu jest położona tak daleko na wschód. Wędrując przez Mato Grosso, byliśmy zaskoczeni z Isabel, jak błyskawicznie następuje rozwój. Dotarł już tam cały gnuśny luksus współczesności, łącznie z autokarami pełnymi turystów, które przyjeżdżają do samego centrum dziewiczego pustkowi.

— To okropny problem — zgodził się starszy dżentelmen, dla podkreślenia wagi swoich słów postukując obutą w pantofel z lakierowanej skóry stopą w biały wełniany dywan — i tak się składa, że niestety jest to mój

problem, albowiem ostatnio zostałem, jak zapewne poinformowała pana Isabel, wiceministrem do spraw rozwoju interioru. „Wice” jest tu tylko eufemizmem — *soi-disant* minister jest generałem starej daty, którego jedyną prawdziwą pasją jest szpiegowanie Argentyńczyków i Paragwajczyków w celu upewnienia się, że nie mają w swoim arsenale rakiet ani ponaddźwiękowych myśliwców, których my również nie mamy. Jest kompletnym paranoikiem na tym punkcie, wyobraża sobie, że Castro dostaje od Rosjan wszystkie cudetka, których mu odmawiamy ze względu na nasz sojusz z zachodnimi imperialistami! Ale, ale, co mogę zaproponować wam do picia?

Do salonu wślizgnął się niemal tanecznym krokiem służący z pomarańczowymi dreadami na głowie. Isabel poprosiła o kieliszek białego wina, nie chilijskiego ani australijskiego, ale niekoniecznie francuskiego, ojciec, gestykulujący żywo krótkimi rękami, o gimlet, bardzo wytrawny, z dwiema cebulkami, Tristao zaś, skromnie, o *vitamina*. Isabel odsunęła od siebie drżącą obawę, że chce zachować jasność umysłu przed decydującym starciem i że jego dłoń w kieszeni marynarki ścisła żyletkę.

— Och, tatusiu — powiedziała nerwowo — nie pozwól, żeby wkroczyli z cywilizacją do interioru; to straszne, co oni robią z Indianami!

Ojciec odwrócił ku niej dużą — jak na takiego małego mężczyznę — twarz z wystającym czołem, zmierzył ją ponurym spojrzeniem i powiedział głosem nie na tyle łagodnym, by zamaskował całkowicie ton nagany:

— Mamy, Isabel, narodową fundację do spraw Indian, FUNAI, która rozporządza znacznymi funduszami i wokół której robi się dużo szumu. Indianie, Indianie, wszędzie, gdzie rząd chce uczynić krok, ma ich pod nogami. Zostawiono im ogromne tereny — nad Amazonką, nad Xingu, w Pantanal — żeby swawolili, próżnowali i napadali nawzajem na swoje kobiety. Ale mówiąc poważnie — i tu zwracam się do pana Raposo — jak można pozwolić, by interesy stu tysięcy ludzi niemal pierwotnych hamowały postęp kraju liczącego ponad sto milionów mieszkańców! Troszczmy się o Indian, tak! Żałujmy dawnych okrucieństw, tak! Ale czy jeden ciemny, schorowany Indianin jest naprawdę wart tysiąca cywilizowanych mężczyzn i kobiet? Pytam pana.

— Oczywiście, że nie — odpowiedział Tristao. — Ale wart jest jednego cywilizowanego mężczyzny czy cywilizowanej kobiety, prawda? Jest Brazylijczykiem, jak my wszyscy.

Ojciec Isabel zamrugał powiekami, pociągając kolejny łyk bardzo wytrawnego gimletu. Zdał sobie sprawę, że ugodziła go strzała mądrości, uprzejma, lecz cięta uwaga. Uśmiechnął się z zakłopotaniem, jakiego Isabel nigdy u niego nie widziała.

— Oczywiście.

— Tatusiu — wtrąciła się Isabel — przebywaliśmy wśród Indian przez długi czas, byli naprawdę przemili. Z kilkoma wyjątkami — dodała, wspominając Guaicuru, którzy porwali jej dzieci. Czuli, że znów jest brzemienna, podejrzewała, że ojcem jest religijny *pardovasco*.

— Owszem, kochanie, bez wątplenia. — Gładki polityk przeszedł do porządku dziennego nad zapewnieniami córki. Spytał Tristao: — A czemu pan trzymał się tak długo na uboczu, panie Raposo? Czy może mi pan zdradzić, jaki jest pański zawód?

— Powiedzmy, błędny rycerz — odrzekł Tristao bez uśmiechu po chwili milczenia. — Zajmowałem się wieloma rzeczami — pracowałem w kopalni, w fabryce samochodów, w stoczni, a ostatnio w branży muzyczno-rozrywkowej na kierowniczym stanowisku. Sam nie jestem muzykalny ani nie przejawiam żadnych szczególnych zdolności. Żyłem zawsze dzięki własnemu olejowi w głowie i pewnej obojętnej bezwzględności.

— Tristao! — zaprotestowała Isabel, wstrząśnięta śmiałą szczerością kochanka.

— Kopalnia, fabryka samochodów — powtórzył jej ojciec, jak gdyby chcąc nadać tym słowom większą wagę. Ta kolejność miała dla niego jakieś znaczenie, w jego mózgu zadźwięczał ostrzegawczy dzwonek, ale alkohol łagodnie wsącał się w jego żyły, poza tym pragnął, by to spotkanie poszło dobrze. Był zbyt stary i zmęczony, żeby narażać się na nieprzyjemności. Poznał granice władzy. Napatrzył się dość na fanatyków w Afganistanie, w Irlandii. — Moja córka — wyznał — lubi przygody. Na uniwersytecie, dwa kroki stąd, związała się z chłopcem o tak rewolucyjnych poglądach, że tylko interwencja jego bogatego ojca i dobrowolne dodatkowe opodatkowanie majątku uratowało młodego człowieka przed oficjalnymi konsekwencjami. A kiedyś w Rio, podczas ferii świątecznych... Ale wprawiam ją w zakłopotanie. Może to moja wina. Odziedziczyła po mnie

gorącą krew. Na swój sposób, panie Raposo, w przebraniu negocjatora i administratora, ja również miałem swoje przygody — ich trofea otaczają nas. Stryj Isabel, mój brat, z którym mieszkała przez wiele lat, jestem pewien, że opowiadała panu o tym, jest zupełnie inny — stateczny biznesmen, który niechętnie podróżuje z Ipanemy do Leblonu. Biuro, klub, własny apartament, mieszkanie kochanki... to jego codzienna marszruta. Gdy go błagałem, żeby mnie odwiedził, tłumaczył, że boi się lotu samolotem, że wysokie położenie Brasillii źle oddziałuje na jego ucho wewnętrzne i rozrzedza mu krew! Rozrzedza krew! Zachowuje się jak stara kobieta. Mimo to, niczym pająk, tkwiący bez ruchu pośrodku sieci, Donaciano ma wiele kontaktów. Jeśli chcesz spróbować swoich sił w jakiejś nowej dziedzinie, mój młody przyjacielu, i chciałbyś osiedlić się z Isabel w Sao Paulo, gdzie skupia się najważniejszy przemysł naszego kraju, chyba moglibyśmy z bratem pomóc ci w znalezieniu odpowiedniego stanowiska, gdzie wykorzystałbyś swoje doświadczenia. Co sądzisz o strajkach?

Tristao zerknął w stronę Isabel, szukając w jej szaro-niebieskich oczach jakiejś wskazówki, ale dostrzegł tam jedynie błysk miłości.

— Gdy byłem robotnikiem — powiedział — nie strajkowałem. Prawdę mówiąc, nie potrafiłbym powiedzieć, kto był szefem *sindkato*, a kto dyrektorem fabryki. Wiedziałem tylko, że mnie boją plecy, a ich nie.

— Właśnie! Ewolucja, a nie rewolucja, nie sądzi pan? Zmiana na lepsze, oczywiście, dla wszystkich klas, ale w tempie, które nie zniszczy starej macierzy, prawda?

— Tak, zachowajmy macierz.

— Coś, co młodzi nazywają „systemem”, w cudzysłowie, jak gdyby podnosili szczypcami coś obrzydliwego. Ale czym jest system, co się rozwinęło, co wynikało ze zmagania ludzkich? Każdemu chodzi wyłącznie o własny interes, a pomnażając własne dobra, robimy to przecież jednocześnie dla chwały kraju. — I opowiedział długą historię o tym, jak to, będąc całkiem młodym mężczyzną, przyjechał z żoną — niech Bóg da wieczne odpoczywanie jej przepięknej duszy — i małutką Isabel do Brasillii, gdy było tu jeszcze kompletne pustkowie, dawne marzenie, podtrzymywane przez kilku oddanych ludzi...

Isabel, która już przedtem słyszała tę historię albo jej podobne, wyłączyła się. Wstała, trzymając w jednej dłoni długą nóżkę kieliszka, która wyglądała jak srebrzysta różdżka czarodziejska, a w drugiej papierosa. Podeszła do okna i wyjrzała — sześciany Brasillii jarzyły się w aksamitnym mroku zapadającej nocy. Oświetlone równoległością budynków, autostrady, paraboliczne pomniki narodowej historii konfliktów i walki — wszystkie wydawały się projekcją jej własnego życia wewnętrznego, jej zdolności do konceptualizacji i do miłości, która jest pojęciem sama w sobie. Ci obaj mężczyźni za jej plecami kochali ją, gdy usłyszała więc, że opowieść ojca osiągnęła swój cel i Tristao roześmiał się z uznaniem, odwróciła się triumfalnie, czując wciąż znajome ściskanie w dołku, nastawiając się na wybuch uwielbienia ze strony obydwu.

Tymczasem oni nie zwrócili na nią uwagi, zignorowali ją. Teraz Tristao opowiadał w rewanżu własną historię, mówił o problemach, jakie miał, pracując jako bramkarz w dyskoteci „Mato Grosso Eletrico”, z odróżnieniem kobiet od transwestytów, jak bał się, żeby przez pomyłkę nie wykluczyć wszystkich prawdziwych kobiet, które bardziej przypominały mężczyzn w damskich ciuchach niż kobiety. Był tam również transwestyta karzeł i powstał problem polityczny, ilu karłów powinno się wpuszczać każdego wieczoru, a raczej ilu powinno się zatrzymywać, ponieważ niscy mieszkańcy Bunda da Fronteira tworzyli wprawdzie jedną z najbardziej kolczastych i hałaśliwych uprzywilejowanych grup społeczeństwa miasteczka, ale z drugiej strony bywalcy dyskoteki odznaczający się normalnym wzrostem narzekali, że potykają się o nich na parkiecie.

Ich rozmowa i śmiech, męska rozmowa i męski śmiech, rozbrzmiewały w pokoju, podczas gdy ich umysły toczyły żartobliwą walkę; cudaczny służący przyniósł Isabel drugi kieliszek wina, ojcu gimlet, a Tristao *vitamina*. Wino podziało na jej pęcherz; światła miasta i nostalgia wywołana powrotem do Brasillii, nowa sytuacja, w której jej ojciec i kochanek siedzieli razem i śmiali się — podziały na jej rogówkę, łzy napłynęły jej do oczu. Przeszła przez pokój, zerkając na swoje odbicie w lustrze, wysokim i wąskim jak jeden z boków dwóch drapaczy chmur, w którym mieścił się Congresso Nacional. Trzymała się bardzo prosto w swoim luźnym stroju, szyję miała wyciągniętą, jak gdyby niosła na głowie dzban. Cieniste fałdy w migotliwym materiale sprawiały, że na lśniących, krawędziach kolory wydawały się odwrotne, niż były naprawdę. Ogarnęło ją ogromne zadowolenie, że zbliżając się do trzydziestki, wygląda wspaniale.

Obaj mężczyźni czuli jej obecność — była niczym magnes, który doprowadził do ich zetknięcia. Gdy zniknęła w łazience i Tristao miał pewność, że go nie słyszy, powiedział cicho do Salomao:

— Przedstawiłem siebie jako człowieka uczciwego i chcę pana zapewnić, że zrobię wszystko dla dobra i szczęścia pańskiej córki.

Starszy, niższy mężczyzna zamrugał powiekami i skinął głową, wdzięczny za to oświadczenie.

— Jak już panu mówiłem, Isabel ma dziwny gust, jeśli idzie o męskie towarzystwo. Jak wielu młodym kobietom o gorących sercach, wychowanym w komfortowych warunkach, brakuje jej zrozumienia praktycznych ograniczeń, parametrów brazylijskiej macierzy.

— A może jest mądrzejsza od studentki, którą pan znał kiedyś. Proszę powiedzieć, jeśli wolno mi spytać...

— Tak, mój drogi przyjacielu? — rzekł gospodarz, a Tristao się zawahał.

— Czy zauważył pan — jak to powiedzieć? — jakąś różnicę w jej wyglądzie?

Salomao znów zamrugał powiekami, ale nic nie odpowiedział.

— Czy jej cera — mówił dalej niezręcznie Tristao — jest taka, jak ją pan zapamiętał? Mimo że ją wielokrotnie besztalem, nie zawsze podczas naszych podróży nosiła kapelusze chroniący ją przed słońcem.

Dyplomata uniósł o milimetr piąty stóp obutych w domowe pantofle, wyprostował ramiona i skrzywił się lekko dla podkreślenia wagi swoich słów. Powiedział powoli, wyraźnie, jak gdyby ktoś miał się nauczyć ich na pamięć albo jak gdyby mówił w obcym języku, który dopiero niedawno opanował:

— Dla ojca córka jest zawsze doskonałością. Znajduję Isabel równie uroczą jak wówczas, gdy zobaczyłem ją po raz pierwszy, w ramionach jej świętej matki. Nie martw się zbytnio, nie musisz jej specjalnie chronić przed słońcem, Isabel świetnie się opala. Jej matka była z domu Andrade Guimaraes, a podobno ta rodzina już w Portugalii miała domieszkę krwi mauretańskiej. — Spojrzał młodemu człowiekowi prosto w oczy. — Czy nie podzielasz mojego zdania na temat doskonałości mojej córki?

Tristao zauważył, że mięsista górna warga starszego pana przypomina wargę Isabel z przedziałkiem pośrodku, tyle że w jego przypadku wypadał on nieco z boku, przez co usta miały lekko kpiący wyraz.

— Ależ oczywiście, że podzielam — rzekł z pełnym przekonaniem Tristao. — Ja również zakochałem się w niej od pierwszego wejrzenia i z każdym dniem moja miłość była coraz większa. Isabel jest nie tylko piękna, ale i dzielna, nie tylko dzielna, ale i zaradna. Spotkałem moje przeznaczenie, mój życiowy cel. Jest doskonała.

Salomao dosłyszał ponurą nutkę w zapewnieniach młodego małżonka, ale przypisał to dobrze znanej melancholii rasy portugalskiej; tak poważny autorytet jak Gilberto Freyre zapewnia nas, że gdyby pierwsi kolonizatorzy nie przywieźli Afrykanów, aby rozweselili ich osady, całe brazylijskie przedsięwzięcie uszłoby ze smutku. A jednak sami Afrykanie tak bardzo w Nowym Świecie tęsknili za ojczyzną, że wymyślono na to specjalne określenie *banzo*, odpowiednik czarnej *saudade*.

Isabel wróciła z lśniącej groty łazienki odświeżona i spryskana perfumami. Wyciągnęła obie, wciąż wilgotne, dłonie — jedną do ojca, drugą do kochanka.

— Nie widzę obrączki — zauważył ojciec, przytrzymując jej rękę. — Moje dzieci, czy nie zastosowaliście się do obrządku naszej duchowej matki, Kościoła?

— Miałam pierścionek — odpowiedziała Isabel. — Bardzo cenny pierścionek. Oddałam go za coś bardzo ważnego, proszę nie poczytujcie mi tego za głupotę. Był to piękny pierścionek z napisem DAR. Nie mam pojęcia, skąd mógł pochodzić.

— Ośmielę się wysunąć przypuszczenie — rzekł ojciec — że pierścionek pochodził z jednej z najświętszych i najbardziej tajemniczych instytucji Jankesów — stowarzyszenia szacownych córek żołnierzy, którzy walczyli w ich prymitywnej rewolucji. Byłoby to imponujące osiągnięcie, gdyby udało mi się go zdobyć. Ale mam jeszcze kilku przyjaciół w Waszyngtonie, dopóki Henry Kissinger służy obecnemu prezydentowi — spróbuję, spróbuję.

Kapryśny, żartobliwy ton podpowiadał, że Tristao i Isabel powinni z uśmiechem ocenić, że z pewnością mu się powiedzie. W taki to sposób Salomao udzielił młodej parze długo odmawianego błogosławieństwa.

XXVIII. Znowu Sao Paulo

Tak, żyli później szczęśliwie w Sao Paulo, najpierw w apartamencie w Higienópolis, a następnie w domu w dzielnicy Jardim America, przy ulicy przecinającej Rua Groenlandia, przez dwanaście lat. Braciom Leme udało się uzyskać dla Tristao kierownicze stanowisko średniego szczebla, nie w fabryce *fuscas*, gdzie dokręcał kiedyś śruby mocujące silniki samochodów naprzeciwko Oscara, który miał szczelinę między przednimi zębami — ponieważ przerwano produkcję — lecz w zakładach włókienniczych w Sao Bernardo, jednym z tak zwanych miast ABCD, przemysłowych satelitów Sao Paulo.

Fabryka składała się z jednego ogromnego pomieszczenia, w którym gigantyczne krosna atakowały uszy Tristao milionem drobnych drgań; każdy dźwięk był znacznie cichszy od szczęku metalu o metal w fabryce *fuscas*, ale było ich znacznie więcej. Na początku musiał zrozumieć różne zawilości — osnowa, wątek, bidło krosna, czym różni się splot skośny od splotu płóciennego albo mory, i tak dalej, i tak dalej.

Czółenko tkackie, które przeplata nitkę osnowy przez nitkę wątku, stanowiło dla niego największy kłopot, ponieważ w samym środku tkania musi nastąpić ta chwila zawieszenia, kiedy czółenko przelatuje albo jego lot imitują krosna papierowe czy nawet strumienie powietrza lub wody, przesuwające nitkę od jednego brzegu tkaniny, zwanego krajką, do drugiego. Podobnie w samym środku naszego życia następuje nadprzyrodzony skok, wibrujące nieprawdopodobieństwo. W cudowny sposób krosna brzęczały i stukotały, tworząc przesmyki i przerzucając wątek z bezlitosną szybkością, nie zrywając jednak nitki; materialny wszechświat nie stawiał oporu nieludzkiemu przyspieszeniu. Ludzie obsługujący maszyny wydawali się doprawdy groteskowo nieobecni duchem i miękcy jak mokra glina rozrzucona tu i ówdzie, leniwi widzowie, którzy nagle włączają się do działania, gdy wyczerpie się cewka stożkowa z kolorową nicią albo ciężkie błyszczące czółenko. W zakładzie pracowały przeważnie kobiety, które nosiły na głowach chustki, żeby długie włosy nie wplątały im się w krosna, co groziło oskalpowaniem. Niektóre z kobiet miały domieszkę indiańskiej krwi, inne były japońskimi lub włoskimi imigrantkami, jeszcze inne przywędrowały z Bliskiego Wschodu, ale choć były różnych narodowości, nazywano je ogólnie *turcos*, Turczynkami.

W fabryce znajdowała się jeszcze jedna ogromna hala, w której maszyny, zbudowane na kompletnie różnych zasadach, produkowały najrozmaitsze wyroby dziewiarskie. Przez kilka tygodni Tristao próbował zrozumieć szczegóły związane z produkcją, co spowodowało, że miewał senne koszmary; dopiero wtedy dotarło do niego, że jego rola polega wyłącznie na rozumieniu własnych relacji z ludźmi, którzy znajdują się wyżej od niego w hierarchii zarządzania, oraz z tymi, którzy są niżej, na wpasowaniu się w strukturę organizacyjną. Razem, niczym bezrozumne zwierzę, które mimo to wie dość, by posuwać się w stronę jedzenia, fabryka wraz ze swoimi pracownikami posuwała się ociężale w stronę rynku; tymczasem rząd jechał ciężko na grzbiecie owego zwierzęcia, a inflacja kępowała mu nogi. Niektórzy kierownicy współpracowali z rynkiem — specjalistami od mody, od reklamy, hurtownikami, detalistami, inni z rządem — wyciągającym podatki, regulującym ceny, narzucającym przepisy bezpieczeństwa pracy i ochrony środowiska, przyjmującym łapówki. Jeszcze inni współpracowali z inżynierami i parkiem maszyn, które trzeba było naprawiać, oceniać ich stan techniczny, zastępować nowocześniejszymi, bardziej skomputeryzowanymi i zautomatyzowanymi. Sprawy tak się ułożyły, że Tristao współpracował z robotnikami oraz ich związkami.

Cechowała go pewna społeczna neutralność; jego wysokie czoło i zaskakująco ciemne oczy — tęczówki zlewające się smętnie ze źrenicami — oraz rozważna godność pasowały do jego stanowiska. Mimo że był biały, *claro* — niemal nienaturalnie, jak gdyby jego skóra nigdy nie była wystawiona na promienie słońca — nie miał akcentu typowego dla *paulista*, którego robotnicy oraz kierownicy instynktownie nienawidzili. Nie miał w sobie afektowanej, leniwej arogancji *filhos do poder* i właściwie nie wyglądał na niczyjego syna. Wysłuchiwał z troską i uwagą skarg robotników oraz planów związków zawodowych w dziedzinie zlikwidowania nierówności społecznych i eliminacji wąskich gardeł, jak gdyby próbował przejść przez labirynt, nie kierując się uprzedzeniami. Cały prawdziwy współczesny świat wydawał mu się zagadką, którą musi rozwiązywać krok po kroku. Był cierpliwy. Nigdy nie zachowywał się protekcyjnie. Mimo że podobnie jak wszystkich męczyła go monotonia pracy, nie próbował w faszystowski sposób, przeważający w czasach rządów wojskowych, wykorzystywać swego stanowiska. Zawsze paradował w srebrzystoszarym garniturze i nieskazitelnie białym kołnierzyku, co najwyraźniej wskazywało, że jest członkiem kierownictwa, mimo to cieszył się coraz większym prestiżem u robotników, gdy — poczynając od strajku okupacyjnego w fabryce autobusów w 1978 roku, który rozszerzył się na siedemdziesiąt osiem tysięcy metalowców — fala strajków i buntu spowodowała rewolucję, jeśli idzie o wzrost wynagrodzeń, przepisy higieny i bezpieczeństwa pracy, opiekę zdrowotną oraz prawa pracownicze. Na stadionach piłkarskich odbywały się liczne wiece; biura związkowe przeniosły się spod skrzydeł rządu i układów zbiorowych do katedry Sao Bernardo, na zaproszenie świeżo zreformowanego Kościoła. Ostatnim bastionem oporu przeciwko komunizmowi jest zmieszczająca klasa robotnicza i Tristao,

którego własne zmieszczanie miało w sobie coś powierzchownego, był pewnego rodzaju enzymem w tym procesie. Jego neutralne zachowanie i akcent przypominały zachowanie aktora w telewizji, co podnosiło na duchu robotników, którzy nawet znajdując się na skraju biedy, coraz bardziej żyli telewizyjnymi operami mydlanymi, wiadomościami i kwizowymi programami rozrywkowymi.

Zakłady włókiennicze Tristao wyszły ze strajków w 1980 roku z nienaruszonymi stosunkami między pracodawcą a pracobiorcą; stało się jasne, że dawna walka klasowa, która niczym przegrzany silnik prowadziła kapitalizm do wybuchu, w świecie zdominowanym przez japońską i niemiecką technikę musi ustąpić miejsca układom o wzajemnej zależności i wspólnocie, układom między rządem, przemysłem i społeczeństwem. Wspaniałe zwycięstwo Tancreda Nevesa w 1985 roku nad rządem wojskowych oraz jego zaskakująca śmierć w nocy poprzedzającej wybory przeszły w hałaśliwym świecie Tristao niemal niezauważalnie. Z biegiem lat Tristao coraz bardziej cierpliwie (i trzeba przyznać — z coraz większym roztargnieniem) słuchał głosów robotników — z kojącym taktem, zachowując dyplomatyczne milczenie, niczym freudowski psychiatra, który nigdy nie wyleczonemu pacjentowi umożliwia jednak kuśtykanie przed siebie z ciężarem codziennych nieszczęść. Tristao dobrze się powodziło w pracy. Zaczął robić to, co przystoi człowiekowi z jego statutem społecznym — grał w tenisa, squasha, uprawiał jogging, windsurfing — i we wszystkim był świetny, demonstrował swój zwinny wdzięk i skrywaną dzikość. Uwiódł nawet kilka żon kolegów ze średniego personelu kierowniczego, gdy stało się jasne, że jest to również coś w rodzaju gry.

Mimo to nigdy nie czuł się w Sao Paulo jak w domu. Z wyjątkiem swej codziennej marszrutu do dzielnicy przemysłowej oraz szlaków do ulubionych restauracji i domu na plaży w Ubatuba, zawsze błądził, odkrywając, że jeździ w kółko tym samym wiaduktem albo krąży w tej samej dzielnicy, a może innej, która wygląda identycznie. Nie potrafił otrząsnąć się z wrażenia, które odniósł podczas swego pierwszego pobytu w tym mieście, prawie dwadzieścia lat temu, a mianowicie, że nie ma ono granic ani kształtu w porównaniu z Rio, gdzie plaże i góry, przypominające bochny chleba, ściskają ulice w ciąg wąskich przesmyków, gdzie zawsze widać na widnokręgu nie oswojoną naturę — nagie szczyty gór i skąpane w słońcu morze. Gdy oboje z Isabel — jak przystało ludziom o ich statusie społecznym — podróżowali do Paryża i Rzymu, Nowego Jorku i Tokio, Buenos Aires i Mexico City, wszystko przypominało mu — poza wyraźną różnicą między wieżą Eiffla a Koloseum — Sao Paulo, cementowoszare rozrastanie się miast, pożerających planetę. Z nostalgią wracał myślą do bezludzia Mato Grosso, kiedy po raz pierwszy przemierzali je z Isabel, przypominał sobie delikatny zapach rdzenia drzewnego, stada flamingów na tle płynących w kierunku wschodnim błękitnobrzuchych chmur, widziane z dołu sylwetki *pinheiros*, powiewające do nich gałęziami z dalekiego różowego urwiska, gdy układali się do snu. Myślał o tym, jak w najgorszych czasach jej jasne ciało utrzymywało go przy życiu, karmiąc miłością.

Isabel, wzorując się na matce i pełnej fantazji stryjence Lunie, zapamiętanych z czasów dzieciństwa, stała się typową młodą mężatką należącą do klasy średniej. Należec do klasy średniej w Brazylii oznacza cieszyć się tym, co w innych krajach, w których bogactwo jest podzielone sprawiedliwiej, uznano by za arystokratyczny styl życia. Służba jest tańsza od nowoczesnego sprzętu gospodarstwa domowego i Isabel od początku miała służącą i kucharkę w jednej osobie, a następnie, gdy przenieśli się z apartamentu w Higienópolis do domu przy Rua Groenlandia, zatrudniła opiekunkę do dzieci. Było ich troje — Bartolomeu, potomek religijnego *pardovasco*, o etiopskich oczach i skórze o jeden ton jaśniejszej od jej własnej, oraz bliźnięta, Aluisio i Afrodisia, nie identyczne, ale będące następstwem tego samego wytrysku spermy późną nocą w składziku na szczotki, w drodze do damskiej toalety między kolejnymi tańcami lambady w „Som de Cristal”. Ich ojcem był mężczyzna, którego prawie nie знаła, partner handlowy Tristao w zakładach włókienniczych, dostawca poliestrowych nici, o drapieżnych rysach, mocno opalony podczas gry w tenisa, na tyle ciemny, mimo że należał właściwie do białej rasy, że się jej spodobał. Przez kilka chwil miała wrażenie, że to *bandeirante*, że znalazła się na powrót w Mato Grosso. Gdy ta nieostrożność przyniosła podwójny plon — żadne z bliźniąt nie przejawiało nawet odrobiny naturalnej godności Tristao ani nie miało nawet kosmyka jego prostych jasnych włosów — Isabel zaczęła stosować regulację urodzin, spijając wyłącznie z własnym mężem.

Dawno już zdała sobie sprawę, że ceną, jaką zapłacili za ogrom i głębię swej miłości, jest bezpłodność. Duchowy żar wypalił naturalne konsekwencje związku fizycznego. To, czy mógłby mieć dzieci z innymi kobietami — albo czy rzeczywiście je miał i czy gdzieś w dżungli albo gdziekolwiek indziej nie chodzi sobie mały brązowy Tristao o błyszczących zabich oczach — interesowało ją raczej abstrakcyjnie, jak gdyby należało do zupełnie innej opowieści. W swojej własnej historii, w życiu, które dane jej było przeżyć i które toczyło się obecnie w przerażającym — jak się jej wydawało — tempie, odkryła, że odczuwa pewne współczucie dla Tristao, że ma wrażenie, iż jest jej ofiarą, jak gdyby to ona podeszła do niego na plaży Copacabana, a nie odwrotnie. Miała wtedy na sobie pastelowy dwuczęściowy kostium, bardzo śmiały jak na owe czasy, w którym wyglądała z daleka, jak gdyby była naga. Z pewnością to ona weszła w konszachty z szamanem, żeby Tristao

mógł stać się biały, żeby zaakceptował go jej ojciec i żeby mogli wieść wygodne życie. „Z mojej strony nie grozi pani żadne niebezpieczeństwo” — zapewnił ją na plaży, choć roztaczał wokół siebie atmosferę zagrożenia i desperackiej wolności. Ale czy jemu groziło niebezpieczeństwo z jej strony? Potulność, z jaką wkładał codziennie rano szary garnitur i jechał używanym szarym mercedesem przez coraz większy labirynt miasta do fabryki w Sao Bernardo, napelniała ją poczuciem winy, toteż od czasu do czasu, gdy znaleźli się już w domu po wieczornym przyjęciu albo przedstawieniu w operze, pytała go nagle:

— Czy brakuje ci dawnej wolności i życia pełnego przygód, z czasów gdy mnie jeszcze nie znałeś?

Tristao przerywał na chwilę rozbieranie się i wyjmując spinki z plisowanej koszuli, wraz ze szpilką do krawata wkładał je do szuflady niedużej komódki, gdzie trzymał przedmioty tego rodzaju, po czym odpowiadał ze swą zwykłą uroczystą powagą:

— To było życie ulicznika. Nie minęłoby kilka lat, a z pewnością zginąłbym z rąk policji albo jakiegoś innego ulicznika. Z tobą moje życie było nadzieją, miało cel. Nie wspominam źle nawet lat katorżniczej pracy w kopalni, gdy wiedziałem, że mam do kogo wrócić. Pamiętasz, jak siedziałem na dworze, gdy zapadła ciemność, kruszyłem kamienie i płukałem żwir, szukając okruchów złota, a ty szykowałeś w środku posiłek dla nas, jak potem sprzątałaś i kładłaś nasze dzieci spać? Nigdy nie byłem szczęśliwszy, Isabel.

— Och, nie, Tristao! — wykrzyknęła, czując, że lzy napływają jej gorącą falą do oczu. — Nie czyni ze mnie lepszej, niż jestem! Zrobiłam z ciebie sztucznego człowieka! Twoja obecna praca — powiedz szczerze, czy nie jest bezsensowna i okropna? Czy naprawdę nie czujesz do mnie nienawiści?

— Nie, moja praca jest bardzo interesująca — powiedział cicho, beznamyślnie, być może chcąc ją delikatnie ukarać. — Mam do czynienia z ludźmi — mężczyznami i kobietami oczywiście, chociaż kobiety w kierownictwie przedsiębiorstwa zdarzają się nadal rzadko — których muszę zjednoczyć dla wspólnego, jedyne go celu, stworzenia przyszłego świata. Widzimy koniec świata niewolników i panów w Brazylii, a ja, mając niewielkie kompetencje, tutaj akurat mogę pomóc, ponieważ byłem i jednym, i drugim. A co do tego, czy cię nienawidzę — gdyby tak było, gdybym cię miał znienawidzić, mój świat przestałby istnieć. Amazonka zmieniłaby bieg, popłynęłaby z powrotem w kierunku Andów. Jesteś moją ukochaną niewolnicą, błękitnooką *negrinha*.

Podszedł bliżej, tutaj, w ich sypialni z poduszkami, zasłonami, fotografiami w ramkach, przedstawiającymi ich oboje na wakacjach oraz trójkę dzieci w szkolnych mundurkach, i stanął obok Isabel siedzącej przy toalecie na stołku z atlasowym obiciem. Bulwa ignamu wybrzuszała materiał spodni od smokingu, czuła jej ciepło, mogła dotknąć jej palcami, a potem wargami przez czarną tkaninę. Kochali się niezbyt często, niczym bogate małżeństwo, które rzadko zagląda do kasetki z kosztownościami w swoim sejfie; ale gdy już to czynili, skarb wciąż znajdował się na miejscu i nigdy nie był absolutnie taki sam, jak gdyby podczas ich nieobecności ktoś potrzęsnał kasetką.

Isabel była nieustannie zajęta, chociaż trudno opisać, na czym polegało jej życie. Wydawała polecenia służbie i obdarzała czułościami dzieci, gdy je do niej przyprowadzano w szkolnych mundurkach albo w piżamach. Układała menu wieczornych posiłków Tristao i pilnowała, czy te leniwe, niechlujne służące — jedna po drugiej, wszystkie *nordestinas* — nie zaniedbują w burzającym sposobie gospodarstwa domowego, albo strofowała w szopie młodego ogrodnika. Kupowała stroje w domach mody Fiorucci i Huis Cios i planowała wycieczki zagraniczne, które zamierzali odbyć z Tristao. Grała również w tenisa, chociaż wypada nadmienić, że celem tych zajęć sportowych były późniejsze ploteczki i fałszywe pogaduszki podczas lunchów ze znajomymi kobietami — przy ogródkowych stolikach w cieniu parasoli, w przepoconych strojach do tenisa i bawełnianych rozpinanych swetrach, udrapowanych twarzowo i odsłaniających nagie ramiona.

Minęła jednak moda na bogate próżniakowanie w stylu stryja Donaciana. Mężczyźni, nawet bogaci, pracowali, pracowały też kobiety młodsze od Isabel. Praca stała się modna. Dla niej było już trochę za późno. Jej nauka została roztrwoniona w podniecających rozmowach o rewolucji; Mato Grosso — to były jej studia, szkoła przeżycia w ginącym świecie. Błoga cisza spowiła jej przeszłość; nowi przyjaciele nigdy nie pytali, gdzie się uczyła czy jak wyglądało jej życie, zanim poślubiła Tristao. Założyli, że wywindowała się ze slumsów w górę przez łóżko. Niebieskie oczy przydawały jej czar, ale nie były najważniejszą sprawą dla towarzystwa, w którym się obracała. Portugalczycy, których nie cechowała zabobonna obawa północnych Europejczyków przed czarnymi, nigdy nie wyparli się Afryki; Brazylijczycy wypierają się jedynie ogromnej czarnej nędzy i przestępczości, którą rodzi. Isabel — z tak uroczymi manierami, tak intrygująca w swej żywotności — dodawała wszystkim otuchy; cieszyli się, że ich społeczeństwo produkuje takie hebanowe ozdoby. Bardzo aktywnie

udzielała się w dziedzinie dobroczynności, jej zdjęcia często ukazywały się w gazetach, o pół tonu ciemniejsze skupisko punkcików pośród jaśniejszych. Wszyscy ją kochali, kochali ich oboje — za ich monogamię w tym świecie, gdzie wszystko, co trwałe, rozpada się, wszystko, co święte, jest wykpiwane, a żądza trawi wszystko od wewnątrz, drażąc całe korporacje i firmy, które upadają, wydzielając kłęb cuchnącego dymu niczym ciało zdechłej kapibary, której wnętrzości zostały w niewidoczny dla oka sposób wyjedzone przez żarłoczne robactwo. Rosnąca inflacja zbliżyła się do tysiąca procent; grube ryby sprzedawały przyszłość Brazylii międzynarodowym bankom, a pieniądze spożytkowali dla własnych celów.

Przez wszystkie te lata przeżyli awanse w pracy, remonty w domu, niewielkie kryzysy zdrowotne, jeden czy dwa wypadki samochodowe, wakacje, dorastanie Bartolomeu, Aluisia i Afrodisii, uczęszczających do katolickich szkół. Nie ominął ich też pogrzeb — zmarł ojciec Isabel wskutek arteriosklerozy i zapalenia mięśnia sercowego spowodowanych przepracowaniem i przemęczeniem. Nie bez wpływu na jego stan zdrowia były lata spędzone za granicą. Już od pewnego czasu niedomagał zarówno fizycznie, jak i umysłowo. Zatrudnienie rastafariańskiego głupca w charakterze służącego było jedną z pierwszych oznak pogorszenia. Wszystkie informacje w jego przeciążonym mózgu, języki, protokoły i subtelności dawnych intryg przyspieszyły koniec. Wśród rzeczy osobistych Salomao znaleźli ze zdumieniem złoty samorodek, który Tristao wykopał w Serra do Buraco i złożył w depozycie spółdzielczego banku; jakimś sposobem trafił pod opiekę wiceministra do spraw rozwoju interioru. Znajdowała się przy nim zagadkowa notatka: „Proszę przeznaczyć połowę dochodu na wykształcenie mojego syna, a jeśli będzie już na to za późno, mojego wnuka, Pacheco”. Pacheco? W głowie Tristao zabręczał jakiś dzwonek, ale nie potrafił go zlokalizować. Poza tym potrzebne im były wszystkie pieniądze, które mogli odziedziczyć. Śmierć Salomao uczyniła ich mniej zamożnymi, niż się spodziewali. Pieniądze — w formie cyfr obcinanych od czasu do czasu przez rządową denominację, aby przeciwdziałać nienasyconej inflacji — napływały na ich konto bankowe, odpływały z niego i wciąż było ich za mało w porównaniu z tym, czym dysponowali ich przyjaciele. Wizyty u dentysty, herbatki, przyjęcia, bierzmowania, uroczystości wręczania świadectw, szkolne mecze piłki nożnej, występy dzieci — wszystko to wymagało pieniędzy. Banalność, maskowana nuda mieszczańskiego życia — narratorzy wzdragają się przed takimi opisami. Mimo że ten rozdział obejmuje najdłuższy okres, niech nie będzie dłuższy niż jest!

XXIX. Znowu apartament

Stryjowi Donacianowi przydarzyła się dziwna rzecz. W 1977 roku zalegalizowano w Brazylii rozwody, a w dziesięć lat później Donaciano rozwiódł się ze swoją żoną Luną i po wszystkich tych latach wspólnego mieszkania poślubił swoją gospozię i kucharkę, Marię. Nie minął rok, gdy go opuściła, nikt nie potrafił zrozumieć dlaczego. Miał chyba pecha w sercowych sprawach. Isabel bardzo mu współczuła i częściej odwiedzała w Rio swego stryja.

Namówiła Tristao, by odwiedził wraz z nią stryja podczas kilkudniowego urlopu w okresie po Bożym Narodzeniu. Rozważali możliwość zabrania ze sobą dzieci, ale zgodzili się, że słoneczne Rio stwarza małolatom zbyt wiele okazji do łobuzowania. Przystępstwa, bezdomni, publiczna nagość były na porządku dziennym. Ich dzieci były rozpuszczonymi, chowanymi pod kłosem *paulistanos* i ich obecność byłaby trudna do zniesienia dla bezdzietnego, starzejącego się stryja.

Stryj Donaciano przywitał ich ciepło, z wdzięcznością — postarzał się, nie bez wpływu był tu cios, który zadała jego dumie druga żona. Włosy, przyprószone już siwizną, zaczesywał z obu stron do góry, co przypominało koguci grzebień, ręce trzęsły mu się od nadużywania koktajli z dżinem. Nie miał już swego dawnego wdzięku, pozostała mu raczej automatyczna kurtuazja.

W apartamencie dwa kryształowe świeczniki, które Isabel i Tristao ukradli wiele lat temu, zostały zastąpione niemal identycznymi, ogromny żyrandol z wygiętymi węzowato ramionami w dalszym ciągu zwisał z sufitu jak wielki pajak. Tristao i tym razem odniósł wrażenie, że w mieszkaniu panuje atmosfera ciszy, jak w kościele, ale meble, poduszki z frędzlami, mozaikowe wazony i złożone grzbiety nigdy nie otwieranych książek już nie wydawały mu się bajeczne, lecz nieco wyświechtane i tracące myszką, należące do minionej epoki luksusowych ozdób. On i jego przyjaciele z Sao Paulo woleli teraz bardziej surowy wystrój, niskie lampy, przyćmione światło rzucające okrągłe cienie — faktycznie styl nowoczesnego biura, nieco złagodzony, nie przeładowany błyszczącym, pokrytym plastikiem sprzętem elektronicznym. W porównaniu z takimi surowymi pomieszczeniami, pokoje apartamentu zdawały się tworzyć okratowany harem, wyłożony poduszkami na przyjęcie ubranych w przezroczyste szaty kobiet, których niestety tutaj zabrakło.

— Co się tyczy Marii — spróbował wyjaśnić starszy pan, gdy ostre czerwone wino argentyńskie i smakowita,

mocno przyprawiona czosnkiem *pato ao tucupi* rozwiązały im języki i wytworzyły luźną atmosferę — myślę, że wolała wyraźne, choć skromne wynagrodzenie służącej od większych, lecz bliżej nie określonych apanaży żony. Nakłaniałem ją usilnie, by wydawała pieniądze na siebie — na ubrania, fryzjera, manicure, zdrojowiska — ale uważała, że wysuwając takie propozycje, chcę jej w zawołany sposób wytknąć, że jest nieporządna, źle ubrana, pospolita i za gruba — co, prawdę mówiąc, rzeczywiście robiłem. Ale przecież mogła lekceważyć moje sugestie, przyjmować je lub nie, podobnie jak brała lub odpychała mnie przed ślubem. Gdy jednak zostałem jej mężem, zacząłem ją denerwować, jak gdybym stał się częścią jej samej, częścią nad którą nie miała kontroli, czymś w rodzaju raka. Kiedyś nie ośmieliła się wypowiedzieć nawet jednego krytycznego słowa pod adresem mojego palenia, teraz stało się ono dla niej źródłem zmartwienia i udręki, bez przerwy suszyła mi tym głowę. Prawdę mówiąc, zrobiła się jędzą w wielu sprawach, w których niegdyś była tak kojąco flegmatyczna. Ani jedna z dziewczyn, które zatrudniłem na jej miejsce, nie potrafiła jej zadowolić; według niej wszystkie były nieuczciwe, niechlujne, opieszale, podstępne, z sieczką w głowach — litania nie miała końca, żadna nie była dobra, wyszło na to, że każdą po tygodniu zwalniałem. W przerwach natomiast, gdy przejmowała obowiązki, które niegdyś należały do niej, narzekała, że fakt poślubienia mnie nic nie zmienił w jej życiu z wyjątkiem tego, że nie dostaje pensji. Nawet seks między nami — wybacz mi, Isabel, takie szczegóły, ale od dawna jesteś już dojrzałą mężatką — stał się z jej strony wymuszony i sztywny, podczas gdy przedtem chętnie ulegała najbardziej kategorycznym żądaniom. Doszedłem niestety do wniosku, że brutalny autorytet pracodawcy podniecał ją bardziej od mężowskiego. Odchodząc, zostawiła mi krótki list, napisany niezbyt wprawną, lecz pięknie ukształtowaną ręką: „To wymaga ode mnie zbyt wiele”.

— Tristao i ja odkryliśmy — dobrowolnie udzieliła informacji Isabel, sprowokowana stwierdzeniem stryja, iż jest doświadczoną mężatką — że czasami dobrze nam robi, jeśli udajemy, że nigdy przedtem się nie spotkaliśmy, że po prostu przypadkiem znaleźliśmy się w jednym pokoju.

Stryj Donaciano wydawał się nieco zdenerwowany i zakłopotany jej wyznaniem. Drażniąc się z nim dalej, Isabel rzekła pouczającym tonem:

— Kobiety również nie cierpią tyranii seksu i konieczności społecznej legalizacji tego, czym rządzi natura, i co być może jest sprawą przemijającą. Kobiety i mężczyźni znajdują się na przeciwnych biegunach — ich łączenie się w pary przypomina chwilę, gdy ptak chwytą rybę.

— Rozumiem — rzekł bardziej praktycznie Tristao — że ją pan bijał.

— Bardzo rzadko — pospieszył z zaprzeczeniem zakłopotany niegdysiejszy dandys. — Może raz czy dwa wpadłem w złość, gdy byłem znacznie młodszy. Kobiety, z którymi się wówczas zadawałem, były doprowadzającymi do szału flirciarkami, wobec czego wyładowywałem frustracje w domu, na jedynej stałej i wiernej kochance.

— Być może — wtrącił Tristao — choć to brzmi barbarzyńsko, gdy przestał pan bić Marię już jako swoją żonę, poczytała to za brak uczucia z pańskiej strony i przekorne zachowanie, które pan opisał, było próbą sprowokowania pana do użycia pięści. Biedacy mają takie grube skóry, że pieszczotliwy dotyk musi być bardzo ciężki.

Isabel czuła kochającym sercem, że wypowiadając te słowa, myśli o własnej matce, poniekąd usprawiedliwia w ten sposób jej brutalne zachowanie wobec niego.

Zanim stryj Donaciano zdążył zmienić temat, Isabel wykorzystała sytuację i spytała:

— A stryjenka Luna — czemu cię opuściła, jak sądzisz?

Donaciano umilkł na długą chwilę, jego twarz nabrała jeszcze bardziej bezbronny wyraz, posmutniał, jak kiedyś, gdy w czasach dzieciństwa Isabel przychodził wieczorami do pokoju dziewczynki, by poczytać jej bajki i przypieczętować pocałunkiem życzenia dobrej nocy oraz miłych snów. W ciszy obecna zastępczyni Marii wniosła powoli deser, *fruta-do-conde*, z sorbetem z rosy miodowej w kieliszkach w kształcie tulipanów, o długich nóżkach.

— Nigdy tego nie rozumiałem — wyznał stryj Donaciano. — Zdrada twojej stryjenki jest największą porażką w moim życiu. Ona też zmarnowała swoje życie, i to w rozkwicie młodości, słyszałem bowiem, że z dała ode mnie, w Paryżu, również nie znalazła szczęścia. Kilka romansów z żonatymi mężczyznami, którzy nie potrafili się zdobyć na to, by porzucić swoje żony, później paru młodszych mężczyzn, dla których magnesem były jej

pieniądze, a teraz nie zostało jej nic, nawet Kościół, ponieważ jest niewierząca.

Zapadło długie milczenie, Tristao, chcąc być uprzejmy, odezwał się rzeczowym tonem:

— Wiara jest rzeczą konieczną. W przeciwnym razie pojawia się zbyt wiele wątpliwości, które musimy rozstrzygnąć.

Stryj Donaciano jednak nie spuszczał wzroku z Isabel; jego twarz, wytworna i znużona, wydawała się skażona cieniami nie ujawnionej tęsknoty, tak jak wówczas, gdy opatulął ją kołderką do snu.

— Miałem w swoim życiu dwie miłosne porażki. Tą drugą była twoja matka, która nigdy nie traktowała mnie inaczej jak z uprzejmością należną szwagrowi.

— Być może ta jedna porażka była przyczyną drugiej — zauważyła Isabel. — Stryjenka Luna czuła, że kochasz moją matkę.

Tutaj jednak starszy pan zdecydowanie nie przyjął jej słów do wiadomości, kręcąc przecząco głową.

— Nie, wykluczone, nigdy się o tym nie dowiedziała. Ja sam nie całkiem zdawałem sobie z tego sprawę.

— Och, opowiedz mi jeszcze o mojej matce! — wykrzyknęła Isabel z żywością, która rozdrażniła Tristao. Widział, że jest ona skutkiem zbyt dużej ilości czerwonego wina, lekkiego zawrotu głowy z powodu uwolnienia się od dzieci na kilka dni i dziewczęcego pragnienia przypodobania się stryjowi za pomocą podróży w przeszłość. Siedziała z rozchylonymi wargami, jak gdyby chciała zademonstrować stryjowi swój wygięty aksamitny język. — Czy jestem do niej podobna?

Donaciano obrzucił siostrzenicę smutnym, spokojnym spojrzeniem — szopa kędzierzawych włosów, złote obręcze kolczyków, szczupłe ręce opalizująco brązowe, w kolorze palonego cukru, obwieszane niemal do łokci bransoletami. Miała na sobie luźną, prostą suknię z odkrytymi ramionami w kolorze nefrytu, w której było jej bardzo do twarzy. Przybrała lekko na wadze, nie więcej jednak niż trzy kilo.

— Stanowisz skrzyżowanie jej najistotniejszych cech ze zdecydowaniem Leme'ów — stwierdził. — Była kobietą, która pasowała jedynie do leniwego życia w haremie. Podobno Andrade Guimaraesowie mieli domieszkę krwi mauretańskiej. Nie potrafiła zrobić niczego — nawet ugotować jajka, napisać listu, zorganizować przyjęcia. Nie kiwnęła palcem, żeby pomóc twojemu ojcu w karierze. Nie udało jej się nawet za drugim razem znieść trudów porodu. Matkowanie tobie, moja droga Isabel, zostawiła służącym oraz Lunie. Moja żona, opiekując się tobą, otaczała cię wielką czułością. Swoją stanowczość i nerwowy charakter przejęłaś od niej, ale w swej zmysłowości jesteś wykapana Cordelią.

Z impulsywnością, co do której była pewna, że mąż uzna ją za uroczą, Isabel wyciągnęła rękę nad blatem — żeby żaden z mężczyzn nie czuł się poszkodowany, zajmowała miejsce u szczytu stołu — i mocno ścisnęła białą dłoń Tristao w palcach, które w blasku świecy wydawały się tak ciemne, poza jasnymi paznokciami, jak smolista czarna *cafezinho*, która została podana w małych filiżankach.

— Słyszałeś, Tristao? Łączy nas pewne podobieństwo — oboje mieliśmy niedobre matki!

— Moja matka nie była zła. Jak na podłe warunki, w których żyła, dawała z siebie wszystko — rzekł ponuro.

Czuła, że próbuje jej się wymknąć. Nie, nie mogła do tego dopuścić.

— Widzisz! I tu jesteśmy podobni. Kochaliśmy je! Kochaliśmy nasze niedobre matki!

Stryj Donaciano spoglądał to na jedno, to na drugie znad uniesionej do ust filiżanki z kawą, wyczuwając drobny konflikt między swoimi gośćmi.

— Wszyscy jesteśmy dziećmi naszej Ziemi — rzekł ugodowym tonem — a można powiedzieć, że jest ona niedobrą matką. Naszym zwycięstwem jest to, że ją kochamy, że kochamy życie.

Siedzieli do późna w nocy, Isabel i stryj Donaciano wspominali jej matkę, czasy, kiedy Rio było niczym kieliszek z weneckiego szkła, ucieczki do Petrópolis przed letnim skwarem. Petrópolis! Wspaniałe królewskie

ogrody, gdzie spacerował niegdyś sam Dom Pedro z cesarzową Teresą Christine i ich upartą córką, słynną Isabel, która buntowniczo tańczyła z inżynierem Andre Reboucasem i jako księżniczka regentka podpisała „Złotą Ustawę”, znosząc niewolnictwo. Ach, te kanały i mosty, skwerki i parki, tak europejskie w swoim charakterze i wdzięku; gotycka katedra i dokładna kopia londyńskiego Crystal Palace; widok gór z restauracji, łącznie z nitką wodospadu! Razem ze stryjem Isabel wspominała z ożywieniem tamte czarodziejskie dni rodzinnych wakacji, kiedy ojciec siedział obok niej przy stole nakrytym śnieżnobiałym obrusem, a smukła, zabawna stryjenka Luna uczyła ją, jak się posługiwać sztucami. Była rozpieszczanym dzieckiem, dumną dziewczynką w wykrochmalonej sukience, otoczoną przez kłaniających się kelnerów, przez daleką muzykę i migotliwą, kwiecistą, wilgotną macierz — Brazylię, Europę bez napięć, bez poczucia winy. Ach, tamten dzień, gdy zawałił się namiot w hotelowym ogrodzie; dzień, gdy biały pudel *senhory* Wanderley pogryzł kucharza, przygotowującego mięso na rożnie; dzień, gdy Marlena Dietrich jadła obiad z miejscowymi Niemcami w „La Belle Meuniere”!

Tristao, słuchając tych wspomnień, niecierpliwił się coraz bardziej; nie mógł brać udziału w rozmowie. Ich świat nie był jego światem. W Sao Paulo stworzył przeszłość i wśród ich wspólnych przyjaciół mógł snuć wspomnienia sięgające dwunastu lat wstecz. Teraz jednak, z wyjątkiem chwili, gdy stryj Donaciano uczynił celowy wysiłek, żeby wciągnąć go do rozmowy na ogólne tematy („Co wy, przemysłowcy, sądzicie na temat ostatniego zamrożenia cen?”, „Czy wy, młodzi ludzie, jesteście również zaniepokojeni perspektywą wolnych wyborów prezydenckich?”), Tristao nie pozostało nic innego, jak wypuścić kłęb dymu z kubańskiego cygara, zagłębić się w skórzanym fotelu i, wyciągnawszy nogi, starać się opanować drżenie mięśni. W tej przymusowej beczynności obserwował Isabel wzruszoną, zagubioną w swoim śnie o dzieciństwie, wyobrażającą sobie własną idyllę. Zdjęła buty i gołe stopy, zgrabne dwukolorowe murzyńskie stopy, podwinęła pod siebie na miękkiej purpurowej kanapie. Tristao miał uczucie, że serdeczność między Isabel a jej stryjem jest przytłaczająca, trochę niezdrowa niczym dym z cygara. To był jej świat, zaczarowany świat. „Czego ona chciała ode mnie?” — zastanawiał się w otumanieniu. Tylko bulwy ignamu. Żeby wykonała brudną pracę natury.

W końcu ich gospodarz, którego potargane włosy sterczały w kosmykach na wszystkie strony, udał się na spoczynek. Oni oboje też poszli do swojej sypialni znajdującej się na górze, za dawnym dziecinnyim pokojem Isabel, który Maria podczas swej krótkiej kadencji żony zamieniła na składzik. Do ich okien zaglądały szampańskie światła Rio.

— Kochanie — powiedział Tristao — czy masz coś przeciwko temu, że pójde na mały spacer? Kręci mi się w głowie od dymu cygar. Nie przywykłem do cygar ani tak długich rozmów przy kolacji.

— Znudziłem cię, zdaję sobie z tego sprawę, najdroższy. Wybacz nam. Mój stryj nie zostanie na zawsze z nami, bawi go wspomnianie dawnych czasów. Boi się przyszłości. Jest pewien, że jeśli odbędą się wybory powszechne, zwyciężą komuniści. Komuniści albo jakaś kretyńska osobistość propagowana w telewizji. Jest biednym, przerażonym, starym człowiekiem. — Wyczuwając, że w jakiś sposób uraziła Tristao, Isabel podeszła do niego; nie miała już na sobie zielonej sukni, została tylko w białej bieliźnie, kontrastującej z jej ciemną skórą. — Jest jedynym człowiekiem, którego znam — wymówiła gardłowym, uwodzicielskim głosem — który pamięta mnie z czasów mojej... niewinności.

— On wie — powiedział Tristao. — Wie, że mimo mojego szarego garnituru jestem tym samym czarnym śmieciem, z którym zabronił się spotykać swojej siostrzenicy dwadzieścia dwa lata temu. Wie, ale nie może nic z tym zrobić.

— Nie chce niczego robić — uśmiechnęła się Isabel do Tristao, muskając pieszczotliwie palcami jego twarz i próbując wygładzić gniewną zmarszczkę między jego brwiami. — Widzi, że jestem szczęśliwa, a to jest dla niego najważniejsze. — Jasne proste włosy Tristao lekko się przeredziły, przez co jego czoło wydawało się jeszcze wyższe. Poglaskała jego odsłonięte skronie.

Uparte próby Isabel, by go pocieszyć, zirytowały Tristao, potrząsnął głową, strącając jej dłoń. Miała na środkowym palcu substytut pierścionka z napisem DAR, który ojcu Isabel udało się zdobyć w Waszyngtonie, tak jak jej obiecał; nie był jednak ani tak ładny, ani tak pięknie wygrawerowany, ani tak stary jak tamten, który Tristao ukradł niebieskowłosej cudzoziemce w Cinelandii, i to jeszcze bardziej go rozdrażniło.

— Nie tylko twój stryj był zafascynowany przeszłością. Ciebie również zachwycały wspomnienia luksusu, zbudowanego na nędzy. Zatonęłaś w nich, byłaś poza moim zasięgiem.

— Ale wróciłam, Tristao — powiedziała — jestem w twoim zasięgu. — Obserwując bacznie jego urażoną minę,

jak gdyby obawiała się, że ją uderzy, gdy tylko spuści wzrok, schyliła się, zdejmując figi. Z okrągłymi oczami i wielkimi białkami wyglądała jak szpiegująca czarna dziewczyna, która jest przerażona, wystarczy jednak najmniejsza zachęta, żeby wybuchnęła śmiechem. Ale z wyjątkiem jasnych oczu ze swoją małą twarzą i kędzierzawymi włosami przypominała jedną z obszarpanych towarzyszek jego dziecinnych zabaw, którą znał w dzielnicy ruder, tę, którą lubił najbardziej, Esmeraldę. Uśmiechnął się przyzwalająco, a Isabel roześmiała się z ulgą, prostując się. W zestawieniu z trójkątem czarnych lśniących włosów jej skóra wydawała się jasna, zaledwie brązowa. Jej pępek był niczym wgłębienie w spodzie brązowej misy z dwoma grubymi uchami — krągłymi biodrami. Gdy położył dłoń na jej pośladku, zauważył, że jest również brązowa, tylko w innym odcieniu — opalenizny, którą zdobył podczas gry w tenisa i windsurfingu. Włosy na grzbiecie dłoni miały miedziany połysk.

— Z przyjemnością przyglądałem się tobie i twojemu stryjowi — powiedział ze znużeniem. Jego głos miał niskie, męskie brzmienie. — Istnieje między wami głębokie uczucie, wynikające z więzów krwi i wspólnych wspomnień. Nie jestem ani odrobinę zły. Po prostu ogarnęła mnie melancholia, ponieważ znalazłem się tak blisko mojego dawnego domu...

— Tristao, tam już nic nie ma. *Favela* została zrównana z ziemią, powstał na jej miejscu ogród botaniczny i taras widokowy dla turystów.

Będąc w Ipanemie, zajrzeliby do sklepu Apollonia de Todi, ale zgodnie z zapisami w księgach kryształowy świecznik nigdy tu nie trafił. „Zatrzymaj mój prezent, jeśli tak wolisz, i zapal świecę na nasz powrót którejs ciemnej nocy”.

— Poza tym, gdybyś nawet ich odnalazł — dodała ostrożnie — i tak by cię nie poznali.

— Tak — westchnął. — Jesteś taka rozsądna, Isabel, gdy chodzi o moją przeszłość, a nie twoją własną. Ale pozwól mi na mały spacer. Łydki mi ścierpły, głowa mi pęka. Wrócę za kilka minut. Przygotuj się do snu, najdroższa. Wezmę klucz. Gdybyś już zasnęła, wślizgnę się do twoich snów. Będę nagi.

Przysunęła się bliżej i wspiawszy się na czubki palców, przycisnęła ciepłe wargi do jego ust.

— Dobrze, idź. Bądź ostrożny — dodała poważnie.

Zdumiał się. Ostrożny w swoim własnym mieście? Ile miał lat? Isabel stuknęła czterdziestka, czyli jemu czterdzieści jeden. Gdy się obejrzał, zobaczył, że zdjęła stanik i żartobliwie upozowała się dla niego obok łóżka jak naga tancerka w *boite*. Pamiętał, jak go spytała: „Czy wciąż mnie lubisz?”. Jej widok podzielał na niego jak pompa ssąca, mimo to wyszedł z pokoju.

XXX. Znowu plaża

Tropikalne powietrze sugeruje w ciągu dnia, że nic się nie uda, że przeznaczeniem człowieka jest znużenie i rozkład. Ale nocą nasycone jest podnieceniem i możliwościami działania. Jakaś wilgotna, pachnąca obietnica czeka, żeby ją spełnić.

Stary Japończyk za kontuarem z zielonkawego marmuru skłonił się z szacunkiem dżentelmenowi w srebrzystoszarym garniturze. Tristao otworzył przezroczyste drzwi, słone powietrze powitało lekkim pocałunkiem jego nozdrza. Ruszył w stronę dalekiej muzyki, dobiegającej z nocnych klubów i lokali ze striptizem, rozmieszczonych wzdłuż plaży Copacabana. Sklepy w Ipanemie były zamknięte, strażnicy bloków mieszkalnych stali za szklanymi drzwiami niczym widzowie zaglądający do akwarium, w którego mętnych wodach pływał Tristao. Kilka restauracji było oświetlonych, jak również bankomaty, nie spotykał jednak prawie wcale przechodniów, przemykały tylko obok niego liczne samochody, chociaż zbliżała się północ. Copacabana od strony fortu była oświetlona jaśniej, panował tam większy ruch, stały otworem podwoje dużych hoteli, gdzie turyści podjeżdżali i odjeżdżali taksówkami żółtymi i zielonymi jak papugi, a w oświetlonych witrynach sklepów wystawione były szlachetne kamienie i minerały — turmaliny i ametysty, topazy i rubelity — wydobyte z gór Minas Gerais.

Stoliki na świeżym powietrzu, mieszanina nędzy i bogactwa kupujących i sprzedających, czekały na nocne transakcje podczas pogawędek przy słodkiej mocnej kawie, jak gdyby życie i czas nie wymagały rozliczeń. Przy tych stolikach kręcili się kiedyś z Euclidesem, kradnąc napiwki spod talerzy i wypatrując zwisających damskich torebek, których skórzane paski można było przeciąć w gnieniu oka. W ciemnych bocznych uliczkach

odchodzących od Avenida Atlantica natykali się na pijanych turystów, rozanielonych po półgodzinnym seansie z czekoladową kurwą, których łatwo było oskubać.

Teraz, gdy szedł bez towarzystwa, w szarym garniturze, ścigał na siebie uwagę młodych kobiet we frywolnych strojach, jak również niektórych mężczyzn w nieprawdopodobnie opiętych dżinsach i o twarzach wymalowanych tak wymyślnie i starannie, jak to robią Indianie. Tristao szedł prosto pasiastym, czarno-białym chodnikiem; nocne powietrze, dreszcz podniecenia, dźwięki samby i *forró*, wesołość spleciona z zapachem kawy, piwa i tanich perfum — tego pragnął, chciał pozbyć się stęchłej woni przeszłości Isabel, przykrej prawdy, że została tam większa jej część, niż mógłby kiedykolwiek posiadać. Uświadomił sobie, co pomogło mu wrócić na chwilę do apartamentu, że jego starania, by ją posiadać, zwichrowały mu życie i nie ma od tego odwołania — zostało zbrukane morderstwem i ucieczką.

Tristao pragnął uwolnić głowę od tego zamętu bezużytecznych myśli. Również tęsknił za dawną niewinnością. Przeszedł na drugą stronę *avenida* i zstąpił z chodnika na piasek. Usiadł na ławce, zdjął czarne sznurowane buty i jedwabne skarpetki. Ukrył je w pobliżu ławki pod krzakiem, tym samym czy też takim samym jak w 1966 roku.

Pod jego stopami wierzchnia warstwa piasku była jeszcze letnia, głębiej — zimna. Na oświetlonych terenach plaży porzucone dzieciaki grały tu i ówdzie w piłkę nożną. Tristao ruszył w stronę morza, gdzie fale zostawiały pienne smugi na piasku. Rytmiczny szum morza, jego wilgotny, senny oddech, tłumiały uliczny hałas i dźwięki muzyki, nie wyciszając ich jednak całkowicie.

Krzyż Południa, niczym niedoskonały latawiec, mały i kruchy, wisiał na bezkłęskowym niebie. Nad głową Tristao rozbłyskiwały tu i ówdzie gwiazdy, tam gdzie nie niknęły w nocnych światłach Copacabany. Drobne fale omywały jego stopy, rozbyskując i gasnąc, jak gdyby zamazywał je piasek. Te światełka były niczym duchy, były duchami, żywymi tak jak on. Wędrował brzegiem, czując na stopach dotyk piany i umykającego piasku, języki wody lizaly jego nagie kostki — pamiętał te doznania z dzieciństwa, kiedy plaża i widok z rudery były jedynym luksusem jego życia.

Potem, w miejscu gdzie światła plaży zaczęły niknąć w oddali, a jego oczy świeciły już wyłącznie własnym, a nie odbitym blaskiem, pojawił się przed nim cień, cień człowieka, a za nim jeszcze kilka. W blasku gwiazd błysnął średniej wielkości nóż.

— Zegarek — odezwał się po angielsku cienki, spanikowany, chłopięcy głos, dodając na wszelki wypadek: — *Ibr Armbanduhr*.

— Nie bądź *pentelho* — powiedział Tristao. — Jestem jednym z was.

Jego głęboki akcent, typowy dla mieszkańca Rio, sprawił, że napastnik zawahał się przez chwilę, ale nie zrezygnował.

— Zegarek, portfel, karty kredytowe, spinki, wszystko — rozkazał chłopiec, dodając, jak gdyby chciał dodać sobie odwagi: — Ty, *filho da puta*!

— Chcesz mnie obrazić, ale po prostu mówisz prawdę — odrzekł Tristao. — Idźcie do domu, do własnych kurewskich matek, a nie zrobię wam krzywdy. — Jego dorosły głos drżał, jak gdyby podniósł mu się znacznie poziom adrenaliny. Czuł ostry ucisk noża między łopatkami i rękę trzeciego chłopca, która błyskawicznie jak jaszczurka wślizgnęła się do wewnętrznej kieszeni jego marynarki i wyciągnęła portfel. Ta zuchwała delikatność, jak gdyby jedno z dzieci, których nigdy nie spłodził, bawiło się ubraniami tatusia, rozśmieszyła i jednocześnie wściekła Tristao. W reflektorach samochodu skręcającego z dalekiej alei ujrzał twarz cienia stojącego przed nim — błyszczącą, napiętą twarz młodego Murzyna. Tristao mógł nawet odczytać napis na ciemnej koszulce chłopca — białe litery reklamowały nowy nocny klub o nazwie BLACK HOLE.

— Chcesz mój zegarek? Proszę. — Podniósłszy wysoko ręce jak tancerz *xangó*, Tristao ściągnął z nadgarstka giętką bransoletkę, pozwalając zobaczyć chłopcom, że jest to Rolex z ciężką bransoletą ze złota i platyny, po czym cisnął go do morza, firmamentu fosforescencji.

— *Porra!* — wykrzyknął ze szczerym zdumieniem chłopak stojący przed nim.

Nóż, którym Tristao został ugodzony w plecy, wydał się tępy niczym patyk albo kłykieć, ale przeciął jego

marynarkę oraz skórę łatwo jak żyletka, w pierwszej chwili bezboleśnie, potem palący ból wzmagał się, aż stał się nie do wytrzymania. Sięgnął do paska po żyletkę, ale jej tam oczywiście nie było. GEM była jego przyjaciółką w innym życiu, roześmiał się, chcąc wyjaśnić to i wiele innych rzeczy chłopcom, którzy mogliby być jego synami, ale którzy teraz, oszaleli ze strachu i podnieceni rozmiarami swego czynu, ale solidarni, cięli i dźgali pochylającego się, padającego białego mężczyznę — miała to być lekcja dla wszystkich podobnych mu białych mężczyzn, którym wydaje się, że nadal są panami świata. Wśród głośniejszych westchnień morza rozlegały się pomruki morderców, jęki ofiary i zgrzyt noża o kości.

Ciało Tristao upadło w spienione fale, które cofnęły się, po czym znowu nadbiegły, przewalając się nad nim. Chłopcy, pragnąc gorączkowo ukryć ciało w morzu, próbowali ściągnąć go niżej, Tristao jednak, wciąż żywy, żelaznym uściskiem chwycił jednego z nich za kostkę. Dwunastoletni zaledwie dzieciak wrzasnął, jak gdyby dotknął go duch. Chwył żelża, chłopcy uciekli w popłochu, wzbijając tumany piasku i rozproszyli się, wtopili w ciemność po drugiej stronie zgiekłej Avenida Atlantica.

Tristao, czując, jak ciepła, pulsująca, słona woda zastępuje jego wypływającą krew, stracił przytomność. Umarł. Fale toczyły jego ciało w szarym garniturze, pociemniałym od wilgoci, w tę i z powrotem od wału wodorostów do znajdującej się w odległości pięciu metrów ławicy piasków, która nie pozwalała, by uniosły je dalej, w stronę horyzontu, lecz trzymała je w miejscu, gdzie bezładne fale przybrzeżne rozбивały się, wznosząc drżące w poświęcie księżycy welony pyłu wodnego.

Isabel, która zasnęła błyskawicznie, otumaniona lekko czerwonym winem, obudziła się ze snu, w którym trójka jej zaginionych czy też nieżyjących już dzieci wraz z rozpieszczoną trójką z Sao Paulo nie dawała jej spokoju, żądając czegoś — śniadania, czystych ubrań do szkoły, pieniędzy na kasety magnetofonowe — ona zaś była zbyt odrętwiała, by dać im, czego chcieli. Patrzyła na ich napięte twarze i czuła, jak rośnie w niej lęk. W jej śnie wszystkie dzieci były w tym samym wieku, sięgały jej do pasa, choć niektóre nigdy nie osiągnęły tego wzrostu, a niektóre były już wyższe. Presja ich żądań, przekraczająca granice wytrzymałości, wyrwała jej ciało ze spoczynku; obudziła się, jej lęk zmaterializował się — obok na łóżku miejsce było puste, choć Tristao obiecał, że przyjdzie do niej nagi. Dotknęła zimnej, nie zgniecionej pościeli najpierw stopą, następnie pomacała ją na oślep, z przerażeniem, dłonią.

Wstała, osłoniła swą nagocść długim, białym bawełnianym szlafrokiem, który należał kiedyś do stryjenki Luny i wciąż wisiał w gościnnej łazience, zaczęła przeszukiwać mieszkanie. Przeszła galeryjką, otworzyła drzwi i zerknęła w dół, żeby sprawdzić, czy jej mąż nie śpi skulony na kanapie. Zegar pokazywał piątą piętnaście. Zadzwoiła na dół do strażnika; zaspany Japończyk powiedział jej, że dzentelmen w szarym garniturze wyszedł tuż przed północą i jeszcze nie wrócił. Zapukała do drzwi stryja. Nie obudził się, wziął bowiem pigułkę nasenną, miał w uszach zatyczki, a na oczach opaskę. Isabel podeszła do emanującej ciepłem pościeli i potrząsnęła nim. Z początku chciał złożyć nieobecność Tristao na karb drobnych męskich grzeszków, z których będzie się z zakłopotaniem tłumaczył przed żoną, wróciwszy rano, ale łzy Isabel, jej rozpaczliwy płacz, który miał siłę złego przecucia, skłonił go do tego, by zadzwonić na policję.

Policja w Rio była przeciążona pracą i opłacana w walucie tracącej bezustannie wartość. Podobnie jak na całym świecie, również brazylijscy policjanci, obcując na co dzień z korupcją, sami jej ulegają; nieustanna nędza doprowadza ich do wściekłości; w dzielnicach ruder zrezygnowali ze zrobienia porządku z handlarzami narkotyków. Uginają się pod ciężarem naszej skłonności do grzechu i nieporządku, nieprzestrzegania nakazów religijnych. Mimo to na posterunku znajdował się pełniący służbę policjant, który po długiej, szarpiącej nerwy nieobecności, wrócił do telefonu z informacją, że nie znalazł w policyjnych raportach dotyczących dzisiejszej nocy nikogo, kto odpowiadałby rysopisowi Tristao. On również był raczej skłonny potraktować lekko sprawę zbłąkanego męża, ale w końcu, słysząc w kółko o tym, jaką to ważną osobistością jest Donaciano i jakie to ma koneksje, zgodził się przysłać funkcjonariusza. Isabel postanowiła nie czekać. Naga pod szlafrokiem, włożywszy tylko brązowe sandały, ruszyła ze ślepą determinacją lunaticzki w kierunku Copacabany, tymczasem jej stryj w spodniach od garnituru i białej koszuli bez krawata próbował, ciężko dysząc, dotrzymać jej kroku i podnieść na duchu.

Isabel jednak czuła w sobie ogromną pustkę, którą mogła wypełnić tylko w jeden sposób — iść przed siebie, aż ten straszliwy mózdzierz w jej wnętrznościach znajdzie swój tłuczek.

Zamierał rojny szum nocnych *boites*, birbanci wynurzali się na świeże powietrze z odprężonymi twarzami. Cienkie, ozdobione błyskotkami stroje mieli wymięte, w uszach wciąż dzwoniło im przeżyte uniesienie. Reflektory nielicznych taksówek wydawały się mdłe i niepotrzebne. Mijała też biegaczy ubranych w dresy do joggingu, które miały ich chronić przed porannym chłodem. Rozmyte nocne chmury nabierały coraz

wyraźniejszych błękitnych kształtów — zaokrąglone zamki, rząd końskich łbów, odciętych na wysokości karku — na tle nieba zaczynała się powoli rysować za garbami wysepek szarobrzazowa, ostra jak miecz linia horyzontu.

Tak, przyszedł tutaj, brodził po piasku, który niegdyś nosił ślady ich młodych stóp, odcisniętych wśród milionów innych, i ukrył buty pod krzakiem, tam, gdzie je teraz znalazła. Szedł brzegiem falującego morza jak chłopiec, rozmyślając o sobie takim, jaki był, zanim go zmieniła za pomocą magii. Dojrzała z daleka coś, co wyglądało na stertę wodorostów — ciemna przerwa w jasnym gościńcu morskiej piany. Nie zatrzymała się ani też nie zaczęła biec w kierunku tego ciemnego kształtu, lecz zdjęła sandały i poszła brzegiem, wyobrażając sobie, że stąpa po głębokich śladach Tristao, choć dawno zostały całkiem zatarte.

Leżał twarzą w dół, szczerząc w lekkim, uprzejmym uśmiechu nieskazitelne zęby, z dłonią podłożoną pod brodę dzieciennym gestem, tak jak zwykł zasypiać. Na wpół otwarte oczy — źrenic nie było widać spod opuszczonych powiek — miały połysk muszelek wyrzuconych przez fale na brzeg. Palce nagich stóp, które bezustannie omywała spieniona woda, były zanurzone w piasku, kostki nóg zgięte pod kątem prostym w śmiertelnym odrętwieniu. Jego sztywne ciało, lgnące do piasku, zdawało się mówić: „Wierność”.

Stryj Donaciano podszedł do niej, był z nim też młody, krępy policjant. W świetle poranka zaczął gromadzić się tłum — tancerze, kelnerzy, kierowcy taksówek, dziewczyny lekkich obyczajów, bankierzy i właściciele butików, a także panie domu, które zaczynały dzień od biegu po plaży Copacabana. Wokół wyrósł las brązowych nóg. Stary, pomarszczony handlarz uliczny z siwą szczecinią kontrastującą z jego opaloną twarzą otworzył już swój kiosk, w którym sprzedawał mleczko kokosowe, coca-cola oraz wczorajsze zimne *empadinhas* tym, którzy byli głodni. Jakiś czarny chłopiec z oczami jak guziki przyniósł pusty portfel Tristao, który został porzucony przy krawężniku, i popatrzył wyczekująco najpierw na policjanta, potem na Isabel, wreszcie na Donaciana. Gdy dostał pastelowy plik *cruzeiros*, czmychnął, wzbijając tumany piasku. Mordercy przesądnie zostawili w portfelu zdjęcie Isabel i Tristao z przechylonymi ku sobie głowami, zrobione wkrótce po tym, jak się poznali, w ekspresowym punkcie fotograficznym przy Corcovado, oraz order świętego Krzysztofa, cienki jak żyłtka. Czy dała mu go w swej dziewczęcej pobożności podczas pierwszych, ukradkowych, pełnych żaru spotkań? Uwaga tłumu skoncentrowała się na Isabel — ludzie zadawali pytania, wyrażali swoje zainteresowanie i współczucie, spoglądali na nią wyczekująco. Tłum spodziewał się, że zacznie szlochać, dając świadectwo swojej rozpacz, która pozostawi niezatarte wspomnienie. Ale jej uczucia miały w sobie pewną sztywną surowość, niczym fragmenty starożytnej rzeźby, zniszczone i wyszczerbione, ale wciąż świadczące o dawnej symetrii.

Przypomniała sobie historię, którą przeczytała, w pierwszych dniach ich wspólnego życia w Serra do Buraco, zanim jeszcze związała się z manikiurzystkami i urodziła Azora i Cordelię. Aby wypełnić czymś dni, które spędzała samotnie w chacie, czytała namiętnie rozmaite opowieści dotyczące znanych ludzi, przeważnie o ich miłosnych przygodach i skandalach. Jedna z nich mówiła o kobiecie, która, gdy umarł jej kochanek, położyła się obok niego i siłą woli ściągnęła śmierć również na siebie. Umarła, żeby dowieść swojej miłości.

Ciało Tristao odciągnięto wyżej, czekano na ambulans. Ziarenka piasku przylgnęły do rogówki jego otwartych oczu i pocukrzyły wykrzywione wargi. Isabel położyła się obok niego i ucałowała jego powieki i usta. Skóra Tristao miała gorzkawy posmak wodorostów. Tłum odczuł doniosłość tego, co chciała uczynić, i zamilkł z szacunkiem. Tylko jej stryj zakłócił ciszę.

— Na miłość boską, Isabel! — wykrzyknął, głęboko zakłopotany tą prymitywną demonstracją brazylijskiego romantyzmu.

Podciągnęła się odrobinę wyżej i rozchyliła szlafrok, tak że głowa Tristao spoczęła na jej ciepłej piersi, objęła go ramieniem i błagała serce, by przestało bić. Czekala, aż martwe ciało kochanka uniesie ją, niczym delfin, w podwodne królestwo śmierci. Wiedziała, co czuje mężczyzna w chwili poprzedzającej pieprzenie, jego dusza przeży się, by zatonać w zmysłowej ciemności.

Ale wschodzące słońce nadal prześwitywało czerwienią przez jej zamknięte powieki, niezgłębione procesy chemiczne nadal toczyły się w jej ciele, znudzenie tłumu rosło. Dzisiaj cudu nie będzie. Z zamkniętymi wciąż oczami Isabel słyszała, że ludzie zaczynają rozmawiać na zwykłe tematy, powoli się rozchodzą; usłyszała odległy dźwięk ambulansu, który niczym złośliwie chichoczący klaun wdarł się w rozgwar ludzkich głosów. Przyjechał po Tristao, a właściwie po jego nędzne doczesne szczątki. Duch jest silny, ale silniejsza od niego jest ślepa materia. Pogodziwszy się z tą smutną prawdą, wdowa o pociemniałych oczach wstała z trudem, osłoniła dokładniej szlafrokiem swoją nagość i pozwoliła stryjowi zaprowadzić się do domu.

Postowie

Do napisania tej skromnej książki zainspirowały mnie dwa wspaniałe dzieła: *Os Sertoës* Euclidesa da Cunhy (w tłumaczeniu Samuela Putnama) oraz *Smutek tropików* Claude'a Levi-Straussa (w tłumaczeniu Johna Russella). *Through the Brazilian Wilderness* Teodora Roosevelta nie jest być może wielką książką, ale uważam ją za ciekawą i zawierającą wiele informacji. Bardzo przydatne okazały się również: *Red Gold* Johna Hemminga, *The Masters and the Slaves* Gilberta Freyre'a (w tłumaczeniu Samuela Putnama), *Brazil* pióra Elizabeth Bishop i wydawców czasopisma „Life” oraz dwa przewodniki po Brazylii, wydane w serii „Real Guide and Lonely Planet”, napisane przez młodych, przedsiębiorczych ludzi. *Dzieje Tristana i Izoldy* (w tłumaczeniu Hilaire Belloc i Paula Rosenfelda) stały się dla mnie inspiracją do opisanie historii miłości. Duży wpływ, zwłaszcza na lokalny koloryt, wywarli brazylijscy pisarze — Joachim Machado de Assis, Gracilian Ramos, Clarice Lispector, Rubem Fonseca, Ana Miranda, Jorge Amado i Nelida Piñon. Dzięki Luizowi Schwarczowi i jego kolegom z Companhia Das Letras w Sao Paulo poprawiono wiele błędów; jeśli jakieś pozostały, ja ponoszę całą winę.